

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Maria Nurowska**

# **Niemiecki taniec**

*Jackowi*

Wydawnictwo „Tower Press”  
Gdańsk 2001

Zamek w Krokowej na Pomorzu... a właściwie ruiny tego zamku, otoczone kilkusetletnimi platanami, na wiele lat zawładnęły moją wyobraźnią. W przeszłości, spędzając w tych okolicach wakacje z moją córką, odwiedzałam te ruiny. Córka była wtedy mała, teraz jest już dorosła. Nie ma też ruin zamku, został odbudowany i wiele stracił ze swojej tajemniczości. Choć schody skrzypią tak samo, nie stąpają już po nich duchy. Mimo to postanowiłam wprowadzić na nie moje bohaterki. Dlaczego zdecydowałam się napisać książkę o dwóch starych Niemkach, które nie mogą pogodzić się z własną przeszłością? Nie ma innego wyjścia: zbyt wiele materiału literackiego zgromadziłam przez te wszystkie lata, zbyt wiele pojawiło się we mnie pytań, na które nie umiałam znaleźć odpowiedzi, abym mogła się teraz wycofać. Pomysł powieści przyszedł mi do głowy ponad dwadzieścia lat temu, kiedy nieznajoma kobieta z pociągu opowiedziała mi swoją historię. Tuż po wojnie jako młoda dziewczyna została w jednym z pomorskich miasteczek postawiona pod pręgierzem – dlatego że była Niemką. Naga, z zawieszoną na szyi tabliczką z napisem „Heil Hitler”, przez trzy dni stała na rynku, przykuta łańcuchem do studzienki. Jej prześladowcami byli Polacy, niedawno jeszcze sami prześladowani – za to tylko, że byli Polakami. Zapamiętałam twarz mojej rozmówczynie, opowiadającej mi o zdarzeniu, które odcisnęło piętno na całym jej późniejszym życiu. Musiały minąć lata, aby ta twarz stała się twarzą jednej z moich bohaterek.

*Maria Nurowska*

Konieczność wyboru... zawsze się staje przed koniecznością jakiegoś wyboru, myślała, idąc aleją parkową. Był ciepły wrześnieowy dzień, więc przedłużyła sobie spacer i teraz bolały ją nogi. Powinna była to przewidzieć, ale tak lubiła Englischen Garten, szczególnie jesienią. Liczyła zresztą na to, że odpocznie w chińskim pawilonie, wypije herbatę i dopiero potem ruszy w drogę powrotną do pensjonatu. Pensjonat! Nazwijmy rzecz po imieniu: dom starców, na który się zdecydowała po długich wahaniach. Mogłaby niczego nie zmieniać, pozostać w swoim mieszkaniu i zatrudnić służącą, ale mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze, a ona nie znosiła windy. Kiedy była młodsza, wchodziła po schodach, z czasem stawało się to coraz bardziej uciążliwe. Więc stanęła przed wyborem: zmienić lokum albo sposób życia. Bo przenosiny do pensjonatu oznaczały zmianę, nie tylko przyzwyczajęń, ale myślenia o sobie. Stawała się oto pensjonariuszką domu opieki, kobietą bez rodziny, którą miano się zajmować za pieniądze. Gdyby jej powiedziano w młodości, że taka będzie jej starość, nie uwierzyłyby. Wtedy wydawało się, że życie upłynie jej w miejscu, w którym przyszła na świat, pośród znajomych twarzy. W pobliżu grobów rodzinnych. Miała też prawo myśleć o obecności wnuków, była przecież kiedyś matką...

Pawilon okazał się zamknięty i chcąc nie chcąc, zawróciła.

Poszukując dla siebie miejsca, brała pod uwagę położenie takiego domu, a także to, ile trzeba będzie tam płacić. Miała pewne oszczędności, ale musiała gospodarować nimi bardzo ostrożnie. Ceny w pensjonatach, które odwiedzała, były wygórowane, a zależało jej na pozostaniu w Monachium. Lubiła to miasto, spędziła tu bowiem większość swojego życia. Jest takie powiedzenie, że nie przesadza się starych drzew. A co z młodymi? Czy nie jest to jeszcze bardziej niebezpieczne? Czy takie wyrwanie z korzeniami ze znajomej gleby nie może skończyć się katastrofą? Była tego dobrym przykładem...

Z ulgą rozpoznała znajomą fasadę domu opieki; był to stary, trzypiętrowy budynek porośnięty dzikim winem, które teraz nabierało koloru purpury. Przytrzymując się balustrady, weszła po schodkach i od razu skierowała się do swojego apartamentu, na parterze. Mijając dyżurkę, pozdrowiła znajomą recepcjonistkę. Eliza lubiła jej twarz, kiedy dziewczyna się uśmiechała, robiły jej się w policzkach zabawne dołki.

–*Frau* Eliza! – zawołała, a gdy Eliza przystanęła, wręczyła jej list.

– List do mnie? – spytała ze zdumieniem.

– I to z daleka – odpowiedziała dziewczyna – aż z Afryki!

Koperta oklejona egzotycznymi znaczkami zaadresowana była na jej nazwisko, więc nie należało myśleć o pomyłce. Ale kto mógł do niej pisać z Afryki? Na odwrocie nie było nadawcy. Rozerwała kopertę.

*Droga moja, Elizo – czytała –zapewne zdziwi Cię ten list po latach milczenia. Minęło pół wieku od czasu, kiedy widziałyśmy się po raz ostatni. Stałaś przede mną, Elizo, wyprostowana, nie zaszczyciwszy mnie nawet jednym spojrzeniem. A ja czekałam. Czekałam na Twoje pytanie. Nie zadałaś go jednak. Nie zezwalała Ci na to twoja duma. Ani na chwilę nie byłaś w stanie zapomnieć, kim jesteś. Najpierw byłaś Elizą baronówną Falkenberg, wdową po Ulrichu von Saarow, dopiero potem kobietą... Być może jako kobieta zrozumiałabyś mnie albo chociaż starała się zrozumieć. Przez pół wieku hodowałaś swoją nienawiść do mnie, karmiłaś się nią, to ona trzymała Cię przy życiu. Czulałam to niemal każdego dnia, udało Ci się nawet przerzucić tę krwawą nić na drugi kontynent... Dlaczego wtedy, po moim powrocie z Pomorza, swoim milczeniem ułatwiłaś mi podjęcie tamtej decyzji? Piekło wyrzutów sumienia jest piekłem najgorszym, nie mógł tego umniejszyć fakt, iż włożyłam habit zakonny. Przywdziałam go jako dojrzała osoba, unikam tu słowa kobieta, bo chyba tak naprawdę nie byłam nią nigdy. Ty byłaś kwintesencją kobiecości, próbowałam Cię naśladować, lecz tak nieudolnie... że przestałam. Mogłam przeżyć tylko coś, czego Ty nie zaznałaś. Z dala od Ciebie. To główny powód, dla którego opuściłam Niemcy na zawsze... Latami powtarzałam sobie, że to Ty jesteś bardziej winna, to Ty skazałaś nas obie na mękę milczenia; milczenia, które zatruwa duszę, jest jak powolna śmierć. Ona nadchodzi naprawdę,*

*Elizo. Moje dni są policzone, zmogły mnie wiek i choroba. Mam głęboką nadzieję, że nie odmówisz mojej prośbie i przybędziesz do łóżka umierającej. Twoja obecność tutaj jest konieczna dla spokoju mojej i Twojej duszy.*

*matka Elżbieta*

Ja jeszcze nie umieram, więc się tak o moją duszę nie troszcz, pomyślała z nutą mściwej satysfakcji. Jak ona to sobie wyobraża, że opuści swoje schronienie i uda się w nieznane? Nie ruszała się stąd, odkąd skończyła siedemdziesiątkę, czyli od z górą pięciu lat, i miałaby to zmienić tylko dlatego, że Marianna von Saarow nagle zapragnęła się z nią zobaczyć? Żeby to jeszcze była podróż do cywilizowanego miejsca. Ale ona ją wzywa do buszu. Wiadomo, misjonarki żyją w spartańskich warunkach, na co w żadnym wypadku nie ma ochoty. Od lat na śniadanie podają jej kawę ze śmietanką i maślane bułeczki i nie ma zamiaru z tego rezygnować. Włożyła habit zakonny! Coś takiego... nigdy by się po szwagierce tego nie spodziewała... Wszystko jedno, czegokolwiek ta matka Elżbieta od niej chce, niech sobie nie myśli, że uda jej się zburzyć tak ciężko wywalczony spokój. Nie uda się to nikomu. Postanowiła nie oglądać się wstecz. Postanowiła tak tamtego dnia, kiedy szwagierka wróciła z Polski.

Polska... tak dawno nie przywoływała w myślach tej nazwy. Budziła w niej uczucia nie takie, jakich tamta by mogła się po niej spodziewać... To były uczucia dobre, wiążące się z młodością. Oto ma osiemnaście lat, jest wczesny ranek, budzi się w swoim pokoju. Biała toaletka z lustrem, obok niej fotel obity materiałem w wytłaczane róże, ten materiał był koloru kości słoniowej, tak jak tapety na ścianach i ciężkie okienne story. Wystarczyło je odsunąć, aby całe wnętrze wypełniło się światłem. Okna jej pokoju wychodziły na wschód, za nimi rozciągał się widok na park z barokowym pawilonem stylizowanym na grotę, lubiła się tam bawić jako dziecko, często chowała się przed *Madame*, która uczyła francuskiego w taki nudny, monotony sposób. A dookoła tyle było ciekawych rzeczy. Coś się działo w kuźni, w stajniach, w spichlerzach, prawdziwe życie toczyło się w pałacowych oficynach, skąd dochodził gwar rozmów, ludzki śmiech... Pewnie tam wiatr hula, pomyślała z nagłą przykrością, bo przecież pałac został spalony zaraz po wejściu Rosjan w początkach czterdziestego piątego roku. I z tego, co wie, nie odbudowano go, jak zamku w Saarow. Polacy przechrzcili to na Zarowo. Ich prawo, prawo zwycięzców. Nie pojechała tam, kiedy już było można. Ani do Falkenbergu, gdzie pozostały ruiny jej rodowej siedziby. Marianna też nie pojechała. Mimo że tylko one dwie pozostały przy życiu z całej rodziny. Eliza postarała się zresztą, aby hrabiów von Saarow rozmnożyć, z konieczności. Każdy z sześciu adoptowanych synów wypłaca jej miesięcznie 800 marek. Czysta transakcja, oni otrzymali tytuł dla siebie i swoich potomków, a ona fundusze na opłacenie pensjonatu. Zastrzegła sobie tylko, aby żaden z nowych członków rodziny jej nie odwiedzał, nie życzyła sobie bliższych kontaktów, a wszelkie wyniki z tego pokrewieństwa sprawy miały być załatwiane drogą listowną.

W pensjonacie miała do dyspozycji dwa pokoje, pokój sypialny i pokój dzienny, tudzież przestronną werandę, z której można było zejść wprost do parku. Na miejscu był lekarz. Na wypadek gdyby odczuwała potrzebę zwierzeń, także psycholog. Nie korzystała nigdy z jego pomocy, zatrudniała natomiast sekretarza, najczęściej jakiegoś studenta. Lubiła towarzystwo ludzi dużo młodszych od siebie i zdecydowanie wolała mężczyzn. Z biegiem lat zresztą rola sekretarza się zmieniała, dawniej wybierała się z nim do teatru, do kina, do cukierni, czasami na wieczorek taneczny w jakiejś restauracji, ale raczej nie tańczyła, siedząc przy stoliku patrzyła na innych. Nawet kiedy mogła jeszcze uchodzić za atrakcyjną kobietę, zachowywała dystans wobec swojego towarzysza, jego rola była ściśle określona. Gdy przestała opuszczać pensjonat, wymagała, aby wyszukiwał jej ciekawe lektury wśród światowych nowości, czytała po angielsku i po francusku. Zawsze szła do łóżka z książką, ale od paru lat oczy ją już zawodziły, zarządziła więc, aby sekretarz przyjął rolę lektora i nagrywał dla niej wybraną prozę na taśmę magnetofonową, nie lubiła poezji. Spotykała się z nim rano, zaraz po śniadaniu. Przyjmowała młodego człowieka w saloniku, gdzie streszczał jej artykuły z porannej prasy, a gdy jakiś problem ją zainteresował,

prosiła o więcej szczegółów. Ostatnio była to wyborcza porażka kanclerza Kohla. Osobiście uważała, że jest ona przejściowa i że Niemcy jeszcze za nim zatęsknią. I jak życie pokazało, nie myliła się. Socjalizm w jakiegokolwiek formie nie może się sprawdzić, bo nie uwzględnia indywidualności człowieka – powtarzała.

Wydawało się, że jej życie dobiegnie końca bez większych niespodzianek. Aż tu nagle ten głos z przeszłości. Coś z tym trzeba było zrobić. Nie mogła udawać, że list z Afryki do niej nie dotarł. Minęło już kilka dni, odkąd go jej doręczono.

Ujęła słuchawkę i wykręciła numer Vaclava Pavelki, którego zatrudniała dopiero od kilku miesięcy. Był Czechem, ale miał matkę Niemkę. Kończył właśnie prawo na uniwersytecie monachijskim, a przedtem mieszkał w Trewirze. Jego rodzice rozstali się, kiedy był dzieckiem, i matka wyjechała z Pragi w rodzinne strony, zabierając go ze sobą. Ojciec, znany czeski opozycjonista, chociaż wszystko przemawiało za wspólnym wyjazdem, postanowił zostać w kraju. Vaclav opowiadał jej o rozczarowaniu ojca do reform w Czechach, o jego rezygnacji z wysokiego stanowiska. Nowa rzeczywistość okazała się o wiele bardziej skomplikowana niż dawny czarnobiałe świat. Od nowa nawiązali kontakt, gdy Vaclav zaczął studia.

Podobał jej się ten nowy sekretarz, miał w sobie jakiś wdzięk, tę słowiańską miękkość, która zawsze ją pociągała. Być może z tego powodu przed laty, gdy tylko przejęła rządy na zamku w Saarow, zaczęła kompletować polski personel, stopniowo zwolniła niemal wszystkich Niemców, co teść miał jej bardzo za złe. Teść... osobny rozdział w jej życiu. Stary hrabia zmarł dawno temu, teraz nie oceniała go już tak negatywnie jak kiedyś. W końcu Otton graf von Saarow niezamierzenie dla samego siebie stał się męczennikiem. Zakończenie jego żywota z pewnością nadawało się do utrwalenia w legendzie. Nie chciał opuścić majątku, kiedy zbliżali się Rosjanie, postanowił wyjść naprzeciw swojemu losowi i przyjąć z pokorą to, co mu przeznaczył. Opowiadano jej, że czekał na zwycięzców w zamku. Podobno zdziwił się, że nie zastrzelili go od razu, ale skoro tak, pełnił honory domu, oprowadzając ich po pokojach. Wieczorem przybysze urządzili pijatykę, jedynym trunkiem, którego nie zabrakło, był samogon z zamkowej gorzelnii. Zaprosili hrabiego do stołu ustawionego w holu na wprost schodów. Usiadł skromnie z boku, z przeproszającym uśmiechem. Jego czas się skończył wraz z nadejściem nowych władców. To już nie był jego świat. Świat Hitlera też nim nie był, ale ciągle miał jeszcze zamek, teraz aby zachować życie, musiałby go opuścić chyłkiem i uciekać. Nie pozwoliła mu na to duma. Goście całkiem o nim zapomnieli, rozpanoszyli się tu na dobre, aż wzrok któregoś z nich spoczął na zgarbionej sylwetce.

– Nu, graf – wykrzyknął Rosjanin, wznosząc kielich nad głową – nic nie pijesz, nic nie jesz, to może wejdiesz tam do środka. – Wskazał na wystawioną w holu czterechsetletnią augsburską zbroję. Hełm zakończony był pióropuszem, łuska napierśnika cyzelowana złotem połyskiwała matowo w świetle kandelabrow. Zbroja wewnątrz była pusta, pijani żołdaci kazali więc hrabiemu w nią wejść i pełnić honorową wartę. Początkowo z otwartą przyłbicą, bo chcieli widzieć jego twarz. Potem któryś z biesiadników z trzaskiem ją zamknął. Co jakiś czas wlewali do środka trochę samogonu, aby starszemu panu nie zaschło w gardle. W końcu przestało ich to bawić. Kiedy posnęli, leżąc, gdzie popadnie, na krzesłach, stołach, pod ścianami, lokaj odkrył w żelaznej pułapce zeszczytniałe zwłoki. Tej nocy podobny los spotkał jedyną siostrę grafa, która, jak i on, odmówiła ucieczki. Z innych co prawda powodów. Była od hrabiego znacznie starsza i uważała, że nogi daleko już jej nie poniosą, lepiej więc ginąć u siebie. W pałacyku myśliwskim, w którym się schroniła, Rosjanie pojawili się mniej więcej w tym samym czasie co na zamku Saarow. Kiedy byli już dobrze podpici, kazali zawołać „tę swołocz germańską, staruchę grafinię”. Rozkazali jej wyjść przed fronton pałacyku i stanąć na środku gazonu, po czym zaczęli się zabawiać, puszczając serie z pepeszy wprost pod jej stopy. Staruszka przestępowała z nogi na nogę, co z daleka wyglądało, jakby podskakiwała. Budziło to ogólną wesołość. W końcu zabłąkana kula trafiła ją w szyję. Z przebitej arterii trysnęła krew. Żołdaci nie pozwolili nikomu podejść do kobiety, więc szybko wykrwawiła się na śmierć. Ukochana siostrzyczka Ottona von Saarow tak właśnie dokończyła

życia... Eliza jej nie lubiła, bo zawsze stawała po stronie brata, a nawet buntowała go przeciwko synowej zaprowadzającej nowe porządki na zamku. A przecież Emma von Saarow, matka Ulricha, jej męża, przekazała jej swoją władzę. Emma od lat nie mieszkała z rodziną, przebywała w ich domu w Zoppot. Urodziła Ottonowi czworo dzieci. Tylko to ją z mężem łączyło. Była osobą subtelną, uzdolnioną muzycznie i wykształconą i raziło ją zarówno prostactwo męża, jak i dwóch starszych synów, którzy wrodzili się w ojca. Dopiero najmłodszy Wolfgang zaskarbił sobie jej uczucia, odziedziczył też talent muzyczny. Emma pragnęła, aby kształcił się w tym kierunku, ale natrafiła na zdecydowany opór męża i Wolfi zaczął studiować prawo w Heidelbergu. Z Heidelbergu przyjechał na ślub Elizy z Ulrichem.

Wtedy Eliza zobaczyła go po raz pierwszy, w dniu ślubnej uroczystości, wczesnym rankiem. Wybiegła właśnie z drzwi w bocznym skrzydle, w którym przygotowano pokoje dla młodej pary – do dnia ślubu ze zrozumiałych względów tylko ona tam przebywała – więc wybiegła stamtąd jak zwykle niczym burza i niemal się z nim zderzyła. Zatrzymała się gwałtownie, a niestarannie upięte włosy rozsypały jej się na ramiona i plecy. Miała, jak to się mówiło, duże włosy, gdyby ich nie przycinała, wkrótce mogłyby się nimi okrywać niczym płaszczem. Nie była z tego powodu zbytnio zadowolona, te ciężkie sploty jej zawadzały, ale w tamtych czasach w jej stronach noszenie krótkiej fryzury uważano za niestosowne. To było dobre dla szansonistek, ale nie dla spadkobierczyni fortuny Falkenbergów i przyszłej pani na zamku Saarow. Ich spotkanie na schodach... czy Wolfigo... Nikt nigdy tak na nią nie patrzył, Wolfi miał głębokie, ciepłe spojrzenie, takie słowiańskie... Czy już wtedy go pokochała? Od pierwszej chwili na całe życie, bardzo niedługie jego życie i bardzo długie jej...

Podniosła słuchawkę.

– Vaclav? Mówi Eliza Saarow... Dzwonię tak nieoczekiwanie, bo... potrzebuję pana dzisiaj, jeżeli to możliwe, około piątej po południu, aby omówić pewną sprawę. Czy miałby pan czas? Doskonale, więc czekam.

Po co właściwie go wezwałam, pomyślała, rozłączając się, czy on może mi pomóc rozwiązać ten problem? Jest zbyt młody. I obcy. Ale wszyscy byli obcy. Także ta kobieta oddalona o tysiące kilometrów, na innym kontynencie. Z jakiego powodu przerwała milczenie, które dawno uznała za rzecz naturalną. Nie rozumiała też, o jakiej nienawiści tamta pisze. Matka Elżbieta wyłaniała się z niebytu, latami nieprzywoływana w myślach. Nie zastanawiała się nad tym, co się z nią dzieje i czy w ogóle jeszcze żyje. Marianna von Saarow była cieniem przeszłości, który się nagle zmaterializował.

A gdyby odwołać spotkanie z sekretarzem i udać, że ten list w ogóle nie nadszedł? Jak można pisać w sposób tak niestosowny. Umieram, przyjeżdżaj. Nie wolno nikogo zmuszać, aby był świadkiem twojej śmierci, umierać powinno się w samotności, ale ta mała Marianna zawsze była niezłą komediantką, chyba nawet kiedyś marzyła o scenie. Jednak wybuchła wojna, a gdyby nie wybuchła, i tak rodzina nigdy by się na to nie zgodziła. Więc zamiast aktorką została misjonarką, też ma audytorium... Swoją drogą to zdumiewające, że szwagierka znalazła się w Afryce w stroju zakonnicy. Nic nie zapowiadało u niej żarliwej wiary, chyba trzeba być bardzo zakochanym w Bogu, aby zdecydować się na coś takiego. Pamięta, że uczestnicząc w niedzielnych nabożeństwach, obie się nudziły, więc wymyślały sobie różne rozrywki, na przykład liczyły, ile jest w kościele kobiet w kapeluszach, a ilu mężczyzn z brodą, potem porównywały, czy liczby się zgadzają. Czy wtedy, w młodości, były przyjaciółkami? Marianna wodziła za nią wzrokiem, odkąd Eliza pojawiła się na zamku, chodziła za nią krok w krok. Pewnie tęskniła za kobiecym towarzystwem, nie dziwnego, matka przebywała daleko, a tutaj byli tylko mężczyźni, ojciec i bracia, nie licząc służby, z którą nie należało się spoufalać. Służbę należało traktować uprzejmie i z dystansem, tego ich wszystkich uczono, a ponieważ Eliza się do tego nie zastosowała, od razu popadła w konflikt ze swoją nową rodziną, głównie z teściem. Nie przejmowała się tym zbytnio. Otton von Saarow był jak stary odyniec, który stracił kły, złościł się, fukał, ale nie atakował. Wychodziła zwycięsko z

takich potyczek, a on wycofywał się do swoich pokoi. Tam starał się egzekwować resztki władzy. Eliza zawsze zręcznie to wykorzystywała, chcąc pozbyć się kogoś z personelu. Na przykład Helgi. Była to wyjątkowo niesympatyczna osoba, wredna Niemra – jak o niej mówiła pokojówka Genusia. Właśnie, Helga była Niemką i to wystarczało, aby stary hrabia traktował ją lepiej od innych. Należało poczekać na przyływ jego złego humoru. Poleciała swojej pokojówce podrzucić w przedpokoju starszego pana psie gówienie i nie sprzątać pod żadnym pozorem. Hrabia wyznaczał służbie zadania i nie znosił, jeśli się do tego nie stosowano. Gówienie leżało przez jakiś czas na dywanie, wreszcie graf von Saarow kazał wezwać do siebie swoją podopieczną.

– Helgo – Eliza usłyszała jego podniesiony głos – czy Helga sprzątała dzisiaj w moich pokojach?

– Sprzątałam.

– A wczoraj?

– Też sprzątałam.

– A przedwczoraj?

– Tak samo.

– To dlaczego w przedpokoju od kilku dni leżą psie odchody?

Chwila ciszy.

– Bo to niech Polki zrobią, one są od brudnej roboty. Ja tutaj dziewięć lat pracuję i zarabiam trzydzieści marek, a taka *eine Polin* u młodej pani hrabiny tylko przysłała i dostaje trzydzieści pięć!

Eliza usłyszała dziwny dźwięk, coś jak bulgotanie, a potem ostry głos teścia:

– W takim razie niech Helga spakuje swoje rzeczy i do jutra ma jej tu nie być!

Prywatna wojna Elizy miała o wiele łagodniejszy przebieg niż ta, która toczyła się za murami zamku, lecz o ile tę prywatną na pewno chciała wygrać, o tyle w tej drugiej raczej życzyła zwycięstwa stronie przeciwnej. I tak w duchu cieszyła się, że Ulrich, jej mąż, wcielony został w trzydziestym dziewiątym roku do polskiej armii, bo przecież mieszkali na polskim terytorium i mieli polskie obywatelstwo. Stary hrabia przyjął je, a z nim cała rodzina, z obawy, aby mu polskie władze nie odebrały dóbr ziemskich, tudzież rodowej siedziby. Musiało go to jednak gnębić, bo często podkreślał, że czuje się Niemcem, ale gotów był pójść na wszelkie ustępstwa, byle tylko zachować ziemię. Gdyby obstawał przy swoim, musiałby opuścić Prusy Zachodnie, swój Heimat, i osiedlić się w republice weimarskiej, jak inni Niemcy z tych stron, którzy zadowolili się odszkodowaniem.

– Myśmy tu trwali od siedmiuset lat! – mówił podniesionym głosem. – Byliśmy tu i będziemy! Jako Niemcy, jako Polacy, znowu jako Niemcy...

Ale Niemcy w hitlerowskich mundurach chcieli majątek skonfiskować, bo w ich oczach stary hrabia, mając polskie obywatelstwo, był Polakiem. Teść jeździł w tej sprawie do Berlina i widać przekonał kogo trzeba, że jednak na przekór formalnościom ma niemiecką duszę. Saarow pozostało w jego rękach, choć nie do końca, bo musiał przepisać majątek na najmłodszego syna Wolfganga, który przebywał na terytorium Niemiec i po wybuchu wojny został wcielony do Wehrmachtu. Na ślub brata przyjechał w mundurze, Ulrich w październiku odwiesił swój mundur polskiego kawalerzysty do szafy. I te dwa uniformy spokojnie wisały obok siebie, kiedy Wolfgang przebrał się w cywilne ubranie. Eliza zauważyła, że jej polska pokojówka tak te mundury odsuwa, żeby się ze sobą nie stykały.

– Boisz się, że się pogryzą? – spytała.

Genusia się zaczerwiła po czubki włosów, miała jasną karnację i rumieniec sprawiał, że jej twarz stawała w ogniu.

– Mogłyby się pognieść – odpowiedziała.

Dziwne to były czasy, miało się uczucie stapania po zdradliwym gruncie, jeden nieuważny krok i można się zapaść po kolana, nawet głębiej, do pasa albo po szyję. Takie snuła myśli, idąc do ołtarza z mężczyzną, którego przyszło jej poślubić. Wiedziała już wtedy, że to nie jest ten mężczyzna...



Sekretarz zjawił się punktualnie o piątej po południu. Przyjrzała mu się uważnie, jakby widziała go po raz pierwszy. Był dość wysoki, a przy tym bardzo szczupły, wręcz chudy. Jasne włosy, krótko ostrzyżone, sprawiały, że jego twarz wydawała się bardziej pociągła niż w rzeczywistości. I gdyby nie inteligentne, bystre spojrzenie niebieskich oczu, mogłaby powiedzieć, że jest nijaki. To spojrzenie wyróżniało go z tłumu.

Zadzwoiła na pokojową i poprosiła o podanie podwieczorku dla dwóch osób. *Kaffe und Kuchen*. I jeszcze owoce.

– Wezwałam pana, bo mam pewien problem... którego w żaden sposób nie potrafię rozwiązać...

Umilkła speszona niezbyt fortuną wypowiedzią. Po chwili ponowiła próbę wytłumaczenia młodemu człowiekowi, o co naprawdę chodzi.

– Chodzi o to, że otrzymałam list i ten list wymaga odpowiedzi... podjęcia przeze mnie działania, które nie jest możliwe ze względu na okoliczności...

Znowu umilkła, weszła pokojówka z tacą, postawiła na stoliku dwie filiżanki, cukiernicę i talerzyki z ciastem.

– Proszę przynieść owoce – upomniała ją Eliza, a kiedy dziewczyna, dygnawszy, wyszła, powiedziała do sekretarza: – Nie lubię trzymać niczego do jedzenia w pokoju, ze względu na te małe muszki...

Zamieszała kawę srebrną łyżeczką.

– Pewna osoba, której nie widziałam przeszło pięćdziesiąt lat, napisała do mnie...

Nagle poczuła się zupełnie bezradna, a było to uczucie, jakiego od dawna nie doświadczała. Bezradność nie leżała w jej naturze, Eliza z każdej sytuacji umiała znaleźć wyjście. Nigdy się długo nad niczym nie zastanawiała, skoro był problem, należało go rozwiązać, a jeżeli okazywało się to niemożliwe, trzeba było o nim zapomnieć. Ale w tym przypadku problem nie dawał się usunąć ze świadomości. Aby móc istnieć, Eliza pozostawiła za sobą dawne życie i nie powracała do niego nawet w myślach, oddzieliła czas teraźniejszy od przeszłego w sposób zdecydowany i nieodwołalny, niby cięciem skalpela. Jej młodość, rodzinne strony, groby bliskich to były tematy tabu. Kiedy znalazła się w Niemczech w początkach czterdziestego szóstego roku, miała dwadzieścia jeden lat. Pozostawiła to wszystko na granicznym przejściu, porzuciła niczym znoszone ubranie... A może jeszcze nie wtedy, może wciąż czekała. Tak, czekała z tą amputacją przeszłości do powrotu szwagierki. Wyrok na tamto jej życie zapadł w momencie, gdy się okazało, że Marianna wróciła z Polski sama...

Sekretarz był człowiekiem niezwykle taktownym, nie zadawał pytań, czekał, aż Eliza przekaze mu w miarę zrozumiałe informacje.

– Sprawy tak się mają – podjęła kolejną próbę – że napisała do mnie moja szwagierka, która przebywa w Afryce... jest stara jak ja... chora, a nawet, zdaje się, umierająca...

Zapadło milczenie, Vaclav Pavelka patrzył na czubki swoich butów.

– Chce, abym do niej pojechała!

Sekretarz podniósł głowę i spojrzał na Elizę pytająco.

– Czy... miałbym pani towarzyszyć?

Tak! To było wyjście, którego bezskutecznie poszukiwała od kilku dni. Że też nie wpadła na to od razu.

– Nie, pan pojedzie tam sam. Pojedzie pan i wybada sytuację. Czego ona ode mnie oczekuje...

W jego oczach pojawił się przestach.

– Ja, pani hrabino... jak ja tam mogę pojechać? Jako kto?

– Jako mój sekretarz.

– Ale... ta pani jest chora, a nawet umiera... więc jak to będzie wyglądało?

Eliza machnęła ręką.

– Ach, to osoba skłonna do przesady, gdyby było naprawdę tak źle, nie wysyłałaby do mnie wiadomości. Ludzie umierający zajmują się umieraniem, a nie pisaniem listów. Rzecz w tym, czy jest pan w stanie to dla mnie zrobić?

Sekretarz milczał.

Niestety, pomyślała, na nikogo nie mogę liczyć, poza sobą. Nawet Marianna chce teraz przerzucić na nią ciężar umierania, jeżeli rzeczywiście umiera. Jak w ogóle śmie ją tym obarczać! Ona nigdy by czegoś podobnego nie zrobiła. Nie potrzebowała świadków swojego życia, była samowystarczalna. To trochę tak, jakby cały czas przeglądała się w wewnętrznym lustrze, które pomagało jej korygować życiowe błędy. Tylko raz ta metoda ją zawiodła, pomyliła się w swoich obliczeniach, czegoś nie przewidziała. Nie przewidziała, że skręci nogę i do Polski zamiast niej pojedzie Marianna... Jej mała córeczka Julia... byłaby teraz starzejącą się już kobietą. Czy potrafiłyby się porozumieć? Eliza zamknięta w sobie, nieokazująca uczuć, przesadnie dbająca o swój wygląd, zewnętrzny wizerunek. Nikt od dawna nie oglądał jej niestannie ubranej, bez makijażu, nawet sprzątaczką. Kiedy raz jeden, odkąd przebywa w tym domu, przytrafiła jej się poważniejsza niedyspozycja, długo nie mogła sobie wybaczyć, że lekarz zastał ją w szlafroku. Ale może gdyby Marianna przywiozła wtedy małą Julię, byłaby inna. Taka jak w przeszłości, na Pomorzu. Jako młoda osoba kipiała nadmiarem energii i według matki była zbyt łatwowierna. Czy to możliwe, że właśnie taka była? Ona, nieufająca nikomu poza sobą.

– Mógłbym pojechać do Afryki, pani hrabino – usłyszała głos sekretarza – ale co ja mam tej pani powiedzieć?

Eliza uśmiechnęła się z wyższością.

– To ona ma nam coś do powiedzenia, drogi Vaclavie – odrzekła.

Kobiety są dziwne i są z nimi same kłopoty, myślał Vaclav Pavelka, udając się taksówką na lotnisko Zaventem w Brukseli, skąd odlatywały samoloty do Zairu. Do tej pory jego doświadczenia z kobietami kończyły się na własnej matce, która była wystarczająco kapryśna i niekonsekwentna, aby go zrazić do zawierania bliższych kontaktów z innymi przedstawicielkami tej płci, nawet dużo młodszymi. Każda pewnie by miała swoje humory. A czy hrabina von Saarow miała humory? Trudno by było tak to nazwać. Wydawała się przeciwieństwem matki, zdecydowana i chyba nazbyt konsekwentna we wszystkim, co zamierzyła. Nie bardzo rozumiał, jak to się stało, że przyjął tak dziwaczną propozycję. W tamtej chwili wydawało mu się, że nie może postąpić inaczej. Potem nie był już taki tego pewien, ale nie wypadało mu się wycofać. Sytuacja wyglądała więc następująco: nieopatrznie zgodził się pełnić rolę mostu powietrznego pomiędzy dwiema starymi kobietami, pozostającymi od lat w konflikcie, w dodatku jedna z tych kobiet była umierająca. Co z tego wyniknie, nie umiał przewidzieć. Miał jednak niejasne przeczucie, że nic dobrego.

Taksówka utknęła w korku, znalazł się w morzu samochodów, które poruszały się z prędkością pięciu kilometrów na godzinę, a do odlotu pozostało niewiele czasu, zważywszy że miał ze sobą bagaże. Nie bardzo wiedział, co zabrać. W Brukseli temperatura utrzymywała się w okolicy zera, a tam z pewnością panowały tropikalne upały. Mało wiedział o Afryce, tyle co wszyscy, przed wyjazdem sięgnął po książki Karen Blixen, ale to była Afryka literacka. Jaka okaże się ta prawdziwa? Z pewnością o wiele mniej romantyczna. Przez chwilę pomyślał, że chciałby to wszystko mieć już za sobą. Nie był typem podróżnika. Najlepiej się czuł przy swoim biurku z nosem w szpargałach. I tkwiłby przy nim do tej pory, gdyby nie anons w prasie, który przypadkowo przeczytał.

*Samotna osoba w późnym wieku poszukuje sekretarza, towarzysza do rozmów i wspólnych lektur, najchętniej studenta znającego angielski i francuski. Kandydaci tylko płci męskiej do lat trzydziestu.*

Jego uwagę przykuła anachroniczność tego ogłoszenia, nikt już takich zwrotów jak „kandydat płci męskiej” albo „towarzysz do rozmów i lektur” nie używał. Podejrzewał, że ta „samotna osoba”

to kobieta, ale nie miało to większego znaczenia. A może zwyczajnie potrzebował pieniędzy. Odpowiedział na ogłoszenie, podając swój adres i telefon. I telefon wkrótce się odezwał.

– Mówi Eliza von Saarow, czy to pan Pavelka? – usłyszał w słuchawce melodyjny, wcale nie starczy głos. Gdyby nie informacja w ogłoszeniu, sądziłby, że rozmawia z kimś młodym.

– Tak, to ja.

– Jest pan Czechem?

– Mam matkę Niemkę.

– Dobrze. I ma pan odpowiednio dużo wolnego czasu?

– Tak jak napisałem w liście, zbieram materiały do pracy dyplomowej, ale pracuję głównie wieczorami.

– Oczywiście, oczywiście. To by mi odpowiadało. Czy w takim razie możemy się zobaczyć?

Podala adres gdzieś w pobliżu Ogrodu Angielskiego. Na miejscu zorientował się, że to pensjonat dla ludzi w podeszłym wieku. Młoda kobieta w stroju pokojówki poprowadziła go korytarzem. Zapukała do drzwi, a kiedy odezwało się krótkie: „Proszę” – oddaliła się.

Vaclav znalazł się naprzeciw wysokiej, szczupłej pani o zupełnie siwych włosach i twarzy niemal pozbawionej zmarszczek, dopiero kiedy pani Eliza się uśmiechnęła, zmarszczki rozbiegły się wokół oczu, aby za chwilę zniknąć. Te oczy były ciemne i bardzo uważne. Oczy bez cienia uśmiechu, pomyślał.

– No cóż – usłyszał – zacznijmy tę grę w pana młodość i moją starość.

Zdziwiło go takie postawienie sprawy, ale nic nie odpowiedział.

– Jak chciałby się pan rozliczać, na godziny czy miesięcznie? I ile chciałby pan zarabiać?

Poczuł się spłoszony tym pytaniem.

– Nie wiem... jak się kształtują stawki...

Uśmiechnęła się, chociaż oczy pozostały poważne, miał wrażenie, że go śledzą.

– Ja też nie wiem, ale to sprawdzę. I chyba pozostaniemy przy miesięcznym wynagrodzeniu, żeby pan za często nie spoglądał na zegarek.

Na szczęście korek się rozluźnił i po kilkunastu minutach taksówka zatrzymała się przed wejściem do hali dla odlatujących. Vaclav dość nerwowo poszukiwał właściwego stanowiska, a kiedy je wreszcie znalazł, okazało się, że jego samolot odleciał w godzinach rannych.

– Jak to odleciał? – zdumiał się. – Przecież powinien odlecieć dopiero za półtorej godziny.

Dziewczyna za pulpitem uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Proszę się udać do przedstawiciela linii Air Zaïre.

Przedstawiciel linii Air Zaïre udawał jednak Greka, nie chciał wyjaśnić, dlaczego samolot wystartował za wcześnie i kiedy będzie następny. W końcu ktoś z obsługi portu poradził mu, aby się uzbroił w cierpliwość, bo jeżeli chodzi o linię Air Zaïre, nigdy nic nie wiadomo, tutaj nawet nazywają ją między sobą „Air c”.

Zrezygnowany wrócił do hotelu i zadzwonił do pani Elizy.

– Gdzie pan jest, Vaclavie?

– Niestety, ciągle w Brukseli i z małą nadzieją na jej opuszczenie. Podobno następny samolot ma być w piątek, czyli za cztery dni. I nie jest to wiadomość całkiem pewna.

– Ale dlaczego tak się dzieje? – Pani Eliza była tak samo zaskoczona, jak on parę godzin wcześniej.

– Bo tam, gdzie lecę, czas jest pojęciem względnym...

Vaclav odczuł to na własnej skórze, włączając się po obcym mieście w deszczu i zimnie. W walizce miał same letnie rzeczy, nie mógł więc ubrać się ciepłej, w końcu kupił sobie sweter. Z każdą godziną cel jego podróży w nieznane wydawał się coraz bardziej pozbawiony sensu. Przecież tamta kobieta wcale się go nie spodziewa, może nawet nie zechce z nim rozmawiać i wszystkie te zabiegi okażą się daremne. Nie umiał sobie wyobrazić tej zakonnicy przebywającej od tyłu lat w Afryce. Dlaczego podjęła decyzję, która przeciętnemu człowiekowi mogła wydawać się

niezrozumiała. Już samo włożenie habitu, ten szczególny rodzaj życiowej odwagi, budziło w nim lęk i podziw zarazem. A wyjazd na stałe do Afryki, czyli dobrowolna rezygnacja z uczestnictwa w życiu cywilizowanego świata, wręcz przerażał. Co skłoniło matkę Elżbietę do podjęcia takiej decyzji? Czy po latach wciąż wydawała jej się słuszna? Tylko ona mogła odpowiedzieć sobie na to pytanie, świadkowie byli tu zbędni. Pani Eliza nie brała tego jednak pod uwagę i wymagała od niego, aby podjął się czegoś, co przerastało jego siły. Miał ochotę zatelefonować do niej i oświadczyć, że samolot do Zairu nie odleci nigdy, wobec czego on wraca do Monachium, które teraz wydawało mu się rajem utraconym. Zapewne tak by też zrobił, gdyby pora roku była odpowiednia na górskie wędrówki. Poczł fizyczną nieomal tęsknotę za widokami rozciągającymi się za wschodnią ścianą masywu Watzmann, w okolicach Berchtesgaden. Wciśnięte między skały jezioro Königssee z przytulonym do zbocza kościółkiem Świętego Bartłomieja i wspaniałe krajobraz przeciwległego łańcucha górskiego Steinernes Meer. Tak, z pewnością ani mokra Bruksela, ani tym bardziej odległa Afryka nie należały do jego świata.

Nagle ogarnęło go niejasne poczucie, że godząc się na propozycję wyjazdu, rozstał się nie tylko ze swoim dotychczasowym miejscem, ale również wyszedł ze swego strumienia czasu i znalazł się w jakimś innym, płynącym w nieznanym kierunku.

Nadszedł wreszcie piątek, samolot rzeczywiście był, ale Vaclav dowiedział się, iż leci tylko do Kinszaszy i na razie nie ma żadnego połączenia lotniczego z miejscowością, do której powinien dotrzeć.

– A kiedy będzie takie połączenie?

– Być może we wtorek.

– Być może?

– Tak – odpowiedziano mu – przecież to jest linia „Air peut-être”.

Miał więc do wyboru, czekać tutaj albo na lotnisku w Kinszasie. Po namyśle wybrał Brukselę.

Minęło znowu kilka jałowych dni, zanim znalazł się w samolocie. Pani Eliza codziennie do niego telefonowała, aby się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja.

– A może... może jednak zrezygnować? – odważył się zapytać.

– Nie możemy zrezygnować – usłyszał w odpowiedzi. – Mała Marianna na nas czeka.

Na nas, pomyślał z goryczą.

Chyba dobrze zrobiła, wysyłając do Afryki tego młodego człowieka. Bo cóż innego można było w tej sytuacji uczynić? O tym, aby ona sama udała się w podróż, nie mogło być mowy. Ani jej wiek, ani życiowa sytuacja na to nie zezwalały. Jej życiowa sytuacja... No cóż, kończyła życie jako osoba samotna, choć w młodości tylu było ludzi wokół niej, mężczyzn, którzy ją kochali, kobiet, które ją podziwiała, zazdrościły... Baronówna Eliza... mało kto pozostawał wobec niej obojętny. Dla niej jednak istniał tylko Wolfgang. On jeden był naprawdę ważny, jego jednego kochała, mimo że poślubiła innego. Tak dobrze pamiętała twarz Wolfganga, jego oczy w kolorze tataraku... Co miał w sobie ten mężczyzna, że wybrała go i pokochała na całe życie? Był dobry i czuły... A inni? Czyż nie zabiegali o jej względy, czyż nie żądali od niej miłości? Otóż to, inni mężczyźni wymagali wyłączności, starali się ją zmienić, przypasować do swoich wyobrażeń o tym, jaka powinna być. Wolfgang nie żądał niczego, zachwycał go sam fakt jej istnienia, to, że jest blisko, że się do niego uśmiecha.

– Elizo, oddałbym życie za jeden twój uśmiech – mówił, a oddał je w imię obłędnej idei, która zresztą w chwili, gdy umierał, legła już w gruzach.

Mieli dla siebie tak mało czasu...

Zapukała pokojówka, pytając jak zwykle, czy może posprzątać.

– Nie teraz...

Dziewczyna zdziwiła się, bo do tej pory Eliza rygorystycznie trzymała się planu dnia. O dziewiątej śniadanie, o dziesiątej porządku, o dwunastej spacer, o pierwszej obiad. Koło

przyzwyczaję obracało się wolno, ale bez przystanków. A teraz nagle coś się zacięło. Przeszłość wdierała się do jej życia, powodując przyspieszone bicie serca. Ten list, mimo że starała się umniejszyć jego znaczenie, odebrał jej spokój. Dawno zapomniane obrazy ożywały w pamięci. Dom rodzinny... wystarczyło przymknąć oczy, aby niemal jak na fotografii ujrzeć fasadę pałacu. Położony był na jednym ze wzgórz, w dole, ponad wierzchołkami drzew, widać było morze. Na teren posiadłości wiodły trzy bramy wjazdowe, a do drzwi wejściowych prowadziły rozległe schody z bogato rzeźbioną balustradą. Pamięta, jako dziecko zjeżdżała po niej, mimo surowego zakazu matki... Tamta poranna rozmowa w panińskim pokoju Elizy: „Był tu hrabia von Saarow prosić o twoją rękę. Oni nie mogą się z nami równać, ale są stąd, znamy ich z najlepszej strony, to dobrzy sąsiedzi i gospodarze”. Dla którego z synów, pomyślała. Liczyli się tylko dwaj starsi, Otton i Ulrich, bo ten najmłodszy był nieobecny. Nie potrafiła powiedzieć, którego z nich wolałaby za męża. Pozostawiała to matce...

Odsunęła szufladę, w której leżało kolorowe pismo przesłane jej kilka lat temu z Polski, tygodnik ukazujący się na Pomorzu, w jej dawnych stronach. Wtedy nawet do niego nie zajrzała, teraz przewróciła kilka kartek i zdumiona natknęła się na wywiad Genowefy Pyrki, jej dawnej pokojówki. W Polsce musiało się wiele zmienić, za reżimu komunistycznego podobna rozmowa nie mogłaby się ukazać, dla komunistów takie postaci jak byli właściciele ziemscy na „ziemiach odzyskanych” to był temat tabu.

„– *Jak pani trafiła do zamku?*

– W czasie okupacji Niemcy wywozili na roboty, a ja nie chciałam, więc szukałam pracy tutaj. W niemieckiej gazecie znalazłam ogłoszenie, że potrzebna jest panienka do prac domowych we dworze. «Katoliczka», napisane było, a to miało znaczyć, że im chodzi o Polkę. Nie mogli napisać prosto, że «Polka», więc napisali «katoliczka», ale to na jedno przecież wychodziło. I moja mama nadała telegram napisany po niemiecku, że mogłabym przyjechać i że prosi o odpowiedź. No i zaraz na drugi dzień odpowiedź nadeszła, żebym przyjeżdżała... Wybrałyśmy się z mamą, starsza hrabina nas przyjęła, była w takim czymś czarnym, w takim piniuarze, tak się chyba ten strój nazywał... była bardzo miła dla nas, kazała nam dać obiad i powiedziała, że jej syn się żeni i przyszła synowa potrzebuje pokojówki, Polki...”

Kochana Emma, spełniała jej życzenia, zanim jeszcze Eliza pojawiła się na zamku... Zamek w Saarow, kiedy go zobaczyła, wydał jej się mały, niczym zbudowany z klocków. Takie było jej pierwsze wrażenie, ale może tylko nie wytrzymał porównania z ich pałacem, potężną budowlą górującą nad okolicą. Tutaj widziało się przede wszystkim drzewa, kilkusetletnie platany o rozrośniętych pniach i poskręcanych konarach. Ich gałęzie, pozbawione późną jesienią liści, przypominały wijące się węże, które zrzucają właśnie skórę...

„– Ta moja pani to była młodziutka, w tych samych latach co ja. I piękna była, tylko nic a nic o sobie nie dbała. Codziennie jeździła w pole na koniu, w byle czym, w jakichś portkach i długich butach, miała takie wielkie włosy, zawsze były potargane, nie mogliśmy ich rozczesać wieczorem, bo na wietrze się plątały. Pani Eliza złościła się: «przeklęte kłaki» – mówiła. A te włosy były jak pszenica, w słońcu to się mieniły, aż oczy trzeba było mrużyć...”

– *Była pani zadowolona ze swojej pracy?*

– Lubiłam młodą hrabinę... ona, wie pani, pochodziła z baronów, nie tak daleko mieli pałac z dziesięć razy większy od zamku. Raz matka młodej pani zaprosiła nas, ten ich majątek był koło miasta Susz, co po niemiecku nazywało się

Rosenberg, coś około ośmiu kilometrów od Rosenbergu, na takiej górze... Pociąg był przeładowany przeważnie żołnierzami, ja pierwsza się wygramoliłam z walizką, postawiłam ją na peronie, a tutaj dwie dziewczyny walizkę chwyciły i idą, a ja w krzyk. A młoda pani się śmieje, bo to jej matka przysłała samochód po nas i dwie pokojówki. Jak myśmy zajechały przed ten pałac, to myślałam, że jestem w niebie... Wszystkie światła pozapalane. W holu te pokojówki szły przede mną i były tam takie flizy – tak wyświecone, że jak one szły, to nogi im było widać do kolan! Jakby po lustrze szły...”

Pamiętała tę wizytę, tak jakby to było wczoraj, pierwsza wizyta w domu po jej ślubie z Ulrichem. Wieczorne rozmowy z matką.

– Jak sobie radzisz, Elizo? Szczęśliwa jesteś z mężem?

Jestem bardzo szczęśliwa – chciała odpowiedzieć – i nieszczęśliwa zarazem, bo nie mogę być z tym, którego kocham. Nie powiedziała tego, nie zwierzyła się matce, chociaż miała wielką ochotę. W ich wzajemnych stosunkach nie było miejsca na takie zwierzenia.

„– Matka młodej hrabiny to była wielka pani, pochodziła z rodu francuskiego. Nawet wcześniej ją poznałam niż swoją panią, bo pani Eliza z panem Ulrichem pojechali w podróż poślubną, a my szykowaliśmy dla nich pokoje i baronowa Falkenberg też w tym uczestniczyła. Jak przyjechała na zamek, to już wszystko było wysprzątane, tylko łazienka jeszcze nie, ale zrobiło się późno i ja już poszłam spać. Wstałam o szóstej, idę, a tam coś szoru, szoru, coś szoru, szoru! Zaglądam do łazienki – pani baronowa ma chustkę zawiązaną na głowie, fartuch. I kto wannę szoruje? Baronowa! Ja mówię: *«Guten morgen»*, a ona mówi, że sobie pomyślała, skoro się wcześniej obudziła, to się weźmie za robotę. I tak żeśmy obydwie sprzątały, ja okna, ona wannę, wszystko razem robiłyśmy. Ona mnie spytała, jakiej jestem wiary, odpowiadam, że katolickiej. Ona na to: *«Meine Tochter ist auch katholisch»*. I taką sympatię jedna do drugiej poczułyśmy. A potem jak młodzi przyjechali, to pani baronowa się wystroiła, że trudno było poznać, która młoda, która stara. Ale obie miały coś takiego miłego w obojętności, coś prostego, nie wywyższały się. Jak mnie starsza przedstawiła młodszej, to ta młodsza objęła mnie za szyję z jednej strony, matka z drugiej i tak się okręciłyśmy jak w tańcu kilka razy. Obie miały coś francuskiego we krwi. Więc jak dla takich nie pracować i nie być im wiernym?

–*Nawet w czasie wojny?*

– Tam obrazka Hitlera nie było nigdzie... A jak starszy pan hrabia zwolnił taką Niemrę, Helgę, zaczęły się kłopoty, bo ona się spakowała i wyjechała, ale potem poznała esesmana, wyszła za niego i nasyłała go na tę rodzinę... Mnie na przykład wzywali do biura meldunkowego, bo likwidowano podobno polski personel. Zawiadomienie przyszło do mojej mamy, pani Eliza kazała mi to wyrzucić do kosza, ale potem przyszło drugie wezwanie, trzecie, więc hrabina się zdenerwowała i postanowiła pojechać do urzędu. Ale jak ona pojechała! W starym, za dużym męskim płaszczu. To był płaszcz najmłodszego brata pana Ulricha, taki brezentowy z kołnierzem, który ona stawiała i mówiła, że jej chroni włosy. Ścisnęła się paskiem, do tego gumiaci. No więc poszła do Arbeitsamtu i tam była długa kolejka ludzi z tymi wezwaniami, stanęła na samym końcu i jeszcze przepuszczała innych. A w okienku siedziała pyskata dziewczucha, bardzo nieprzyjemna. Jak doszło do pani Elizy, zaczęła na nią strasznie krzyczeć, bo pani Eliza podała się za mnie, za Genowefę Pyrkę. Nawyzywała ją, a kiedy przestała, pani Eliza spokojnie powiedziała, że jest hrabiną von Saarow we własnej osobie.

W tamtą jakby piorun strzelił, a pani Eliza zażądała sprowadzenia głównego dyrektora tego urzędu, i oczywiście nikt mnie już nie wzywał, a SS przyjechało do zamku na kawę!

– *A ten płaszcz hrabina Eliza nosiła tylko dlatego, że jej ochraniał włosy? Czy może z jeszcze innego powodu?*

– No... lubiła ten płaszcz...”

Zadawano ci podchwytliwe pytania, Genusiu, pomyślała. Dziwnie się czuła, czytając wyznania swojej dawnej pokojówki, która nazywała ją „młodą panią”. Jej młodość dawno przeminęła, a tamten czas był bezpowrotnie stracony. Gdyby nie wojna i wypędzenie, może obie byłyby w tym samym miejscu i w tych samych rolach, tyle że o pół wieku starsze. Zatrzymałaby swoją służącą, chociażby dlatego, że była łącznikiem z młodością, świadkiem tamtego czasu. Sojuszniczką nie tylko jej miłości do Wolfganga, ale także wspomnień o nim. Ona jedna na zamku sprzyjała tej miłości. Dla niej „młody pan” to nie był mąż Elizy, ale jego brat... Polka wspomina w wywiadzie o jej podróży poślubnej z Ulrichem do Włoch. To było okropne przeżycie. Tyle cudownych miejsc, Florencja ze swoimi muzeami, Wenecja, Rzym i oni oboje, obcy sobie ludzie dzielący zbyt duże małżeńskie łóżce. Eliza skulona przy jednej krawędzi, Ulrich, odwrócony do niej plecami, przy drugiej. Nie mogła tego wytrzymać. Podczas kolejnej takiej nocy ze łzami w głosie zaproponowała, żeby byli ze sobą:

– Wiem, że tego chcesz, że tego pragniesz...

Nawet się do niej nie odezwał, a rano przy śniadaniu miał jeszcze bardziej zaciętą twarz. Nie umiał jej wybaczyć. Także wtedy, gdy wyjeżdżał na Wschód, nie znalazł dla niej jednego cieplejszego słowa. A ona? Wiedziała, że wyprawia na tę przegraną wojnę kogoś, kto z niej nie chce wrócić. Ale nic nie mogła na to poradzić. Coś w niej krzyczało, coś ostrzegało, aby nie pozwolić mu tak odejść. Gotowa była upaść mu do nóg, wiedziała jednak, że on by ją odtrącił. Więc nie zrobiła tego. Stali naprzeciw siebie, ona z zapuchniętymi od płaczu oczyma.

– I za kim tak rozpaczasz, Elizo? – spytał, prześwidrowując ją na wyłot wzrokiem.

Prawie nie mógł uwierzyć, że siedzi w samolocie, a ten samolot startuje. Widział oddalające się światła Brukseli i było to jak pożegnanie z Europą. Obok niego siedziała młoda Murzynka z niemowlęciem, którego twarzyczka wystająca z kolorowych szmat wyglądała jak mały czarny księżyc. Od dłuższego czasu dziecko ani razu się nie poruszyło i wydawało się to niepokojące, miał ochotę dotknąć jego policzka, aby sprawdzić, czy jest ciepły. Oczywiście nie zrobił tego. Powziął nawet podejrzenie, że kobieta trzyma w objęciach lalkę, byłoby to jednak co najmniej dziwne. Czuł się nieswojo, tym bardziej że nikt z obsługi samolotu jak dotąd się nie ujawnił, zupełnie jakby samolot unosił się w przestworzach bez załogi. Po jakimś czasie przymknął oczy i chyba się zdrzemnął, otrzeźwiło go szarpnięcie za ramię. Podawano obiad, mimo że było już po północy. Przyjmując od stewarda tacę, zerknął na zawiniątko na kolanach swojej sąsiadki. Zamknięte powieki dziecka nadal były nieruchome. Tym razem postanowił to wyjaśnić. Przewyciężając nieśmiałość, zagadnął kobietę po francusku, że jej synek albo córka to nadzwyczaj spokojne niemowlę... Uśmiechnęła się w odpowiedzi, nie był pewny, czy go zrozumiała.

Co go czeka tam na miejscu, czy ktoś po niego przyjedzie? Kontakt z misją w Kolwezi, w której przebywała szwagierka pani Elizy, był utrudniony, nie można było tam zatelefonować, a listy szły miesiącami, chyba że powierzono je komuś, kto właśnie jechał do Europy. Wiadomość o jego przyjeździe została wprawdzie przekazana drogą dyplomatyczną, ale odpowiedź nie nadeszła, więc wybieranie się w taką podróż wydawało się wielce ryzykowne.

– Gdyby nie mogli powiadomić Marianny, daliby nam znać – stwierdziła pani Eliza.

Wczesnym rankiem samolot wylądował w Kinszasie, ale nie był to jeszcze koniec podróży, powiadomiono pasażerów lecących dalej, iż trzeba poczekać około godziny na wylądowanie bagaży i załadowanie nowych. Poproszono wszystkich o opuszczenie samolotu. Na zewnątrz

owiało go wilgotne gorąco, koszula niemal natychmiast przylgnęła do ciała, dochodziła siódma rano, a upał był nie do wytrzymania. Nic dziwnego, Kinszasa leży trzy stopnie na południe od równika, sprawdził to w jednym z przewodników, w które zaopatrzył się na drogę. Była to jedna z nielicznych informacji o Zairze. Autorzy tejsze wzmianki powoływali się, ku jego zdumieniu, na mapy sztabu generalnego Armii Czerwonej. Uświadomiło mu to, że kraj, do którego się wybierał, musi różnić się od miejsc uczęszczanych przez turystów. Od Kenii na przykład, gdzie spędzało urlopy wielu jego rodaków.

Poczekalnia lotniska wyglądała jak stajnia, z której usunięto konie, pod ścianami stały koślawe krzeselka, panował zaduch, bo wnętrze wypełnione było ludźmi. Rozejrzał się za toaletą, jego największym marzeniem było teraz umycie rąk pod bieżącą wodą. W końcu wypatrzył drzwi z odpowiednim oznaczeniem, ale były zamknięte. Przeszło godzinę trwało poszukiwanie klucza, nie musiał się jednak obawiać, że spóźni się na samolot, bo właśnie powiadomiono oczekujących, iż odlot przesunie się z „powodu trudności z wyładowaniem bagaży”. W pomieszczeniu spełniającym funkcję toalety był tylko klozet bez deski i kran wystający wprost ze ściany, ani śladu umywalki, okazała się jednak zbędna, gdyż w kranie nie było wody. Z niemiłym uczuciem, że oblepia go brud, opuścił pomieszczenie i natknął się na osobnika, który otwierał mu ten przybytek.

–*Monsieur*, bakszysz – usłyszał.

Vaclav sięgnął do kieszeni, nie znalazłszy drobnych, wręczył chudemu, wysokiemu Afrykańczykowi sto franków belgijskich, w nadziei, że otrzyma resztę, tamten jednak schwycił jego rękę i usiłując ją pocałować, wylewnie mu dziękował. Po czym śpiesznie się oddalił. Nie był to koniec niespodzianek. Zanim poproszono pasażerów do samolotu, minęła kolejna godzina, potem jeszcze jedna, ostatecznie opóźnienie przeciągnęło się do sześciu i pół godziny. Pasażerowie informowani byli o coraz to nowych przeszkodach opóźniających odlot, Vaclav miał nadzieję, że informowano o tym również oczekujących na lotnisku w Lubumbaszi. Jeśli w ogóle ktoś tam na niego czekał... Nieprędko miał się o tym przekonać, bo właśnie ogłoszono, iż będzie jeszcze jedna przerwa w podróży. Pilot skierował samolot do Luandy, gdzie miał nadzieję zatankować paliwo. Linia Air Zaïre, zadłużona po uszy, wszędzie spotykała się z odmową tankowania na kredyt, chyba że udało jej się coś wyżebrać. Tym razem w Angoli. Po czterdziestu minutach odbyło się lądowanie i długie targi z władzami lotniska o udzielenie kredytu. W końcu rozmowy dały rezultat i samolot wzbił się w powietrze. Pasażerowie czekali na to jak na zbawienie, gdyż wewnątrz panowała temperatura bliska wrzenia wody, a nie było niczego do picia, ani kropli jakiegokolwiek płynu. Vaclav miał uczucie, że pot wysycha mu na skórze. Inni musieli czuć się podobnie. Nie można było wysiąść i kupić czegoś na lotnisku, bo nikt nie miał wizy angolskiej. Na moment udało mu się zapomnieć o tych cierpieniach. Na jednym z foteli wyszedł swoją niedawną sąsiadkę z dziwnym zawiniątkiem, która, jak się okazało, też podróżowała dalej. Tym razem na jego oczach odwinęła dziecko z gałganów i przystawiła do piersi. Odczuł ulgę – więc nie było figurką wystruganą z hebanowego drewna.

Nieodwołalnie przybliżał się do miejsca przeznaczenia i z coraz większym niepokojem myślał o tym, co się wkrótce wydarzy. Niedogodności podróży skończą się, a tam na płycie lotniska w Lubumbaszi czekało niewiadome. Dużo by dał za to, aby znaleźć się teraz w swoim mieszkaniu w Monachium, wyjąć z lodówki schłodzone piwo i pić je drobnymi łykami...

Nigdy nie marzył o podróży do Afryki. Dużo bardziej ciągnęło go na północ, choćby do Norwegii. Ale cóż, Norwegia była zbyt droga jak na studencką kieszeń, a jego chlebodawczyni wysyłała go w przeciwnym kierunku.

O dziwo, pojawił się steward i podał wszystkim podwieczorek, dochodziła szósta po południu, z powodu długich przestojów w podróży pasażerowie nie mieli nic w ustach od nocnego obiadu, ominęło ich śniadanie. Vaclav otrzymał dwa rogaliki i kawę, za piwo musiał zapłacić pieniędzmi, które wymienił jeszcze na lotnisku w Kinszasie. Płyn nie przypominał piwa, może dlatego, że był obrzydliwie ciepły, ale ponieważ kosztował majątek, bo aż 750 tysięcy zairów, zmusił się do opróżnienia butelki do końca.



Kiedy samolot zniżał się do lądowania, przeżył coś w rodzaju wstrząsu, ciało odmówiło mu posłuszeństwa, nie był w stanie poruszyć ręką ani nogą, nawet powieki wydawały się jak z ołowiu. To był paralizujący strach przed nieznanym i ustąpił, gdy koła podwozia twardo uderzyły o asfalt lotniska. Po odpowiednio długim oczekiwaniu na bagaż znalazł się wreszcie w holu dworca lotniczego, czy raczej w salce udającej taki hol, bardziej obskurnej i ciasnej niż podobne pomieszczenie w Kinszasie. Rozejrzał się w tłumie oczekujących, ale nikt nie wyglądał na wysłannika misji. Miał nawet niemiłe uczucie, że otaczające go zewsząd czarne twarze napierają na niego i osaczają ze wszystkich stron. W końcu jego wzrok wyłowił sylwetki dwóch młodych kobiet ubranych w szare fartuchy, z krzyżami na piersi, włosy schowane miały pod chustkami zawiązanymi z tyłu głowy. Dość niepewnie ruszył w ich stronę.

– Czy siostry są z misji Serca Jezusowego? – spytał po francusku.

Były wyraźnie zaskoczone jego widokiem.

– Nie dotarła do was wiadomość od pani Elizy von Saarow?

– Dotarła... – odpowiedziała starsza z nich – ale... sądziłyśmy, że to ona przyjeżdża.

– Jestem jej wysłannikiem – wyjaśnił, a one przyjęły to do wiadomości. Prawie jednocześnie schyliły się, aby podnieść jego walizkę, ale je uprzedził.

Przed dworcem stał zaparkowany džip i tam się skierowali. Starsza z siostr usiadła za kierownicą, młodsza zajęła miejsce obok niej, a Vaclav na tylnym siedzeniu. Siostra przy kierownicy odwróciła się w jego stronę.

– Zawieziemy pana do niemieckiego przedstawicielstwa – powiedziała. – Wyruszymy wcześniej rano.

– Nie możemy jechać od razu? – spytał zmęczony postojami.

– Do naszej misji jest ponad trzysta kilometrów, to w najlepszym razie siedem godzin jazdy, nie wolno nam wyruszać na noc.

Musiał przyznać im rację.

W czasie jazdy przez miasto wyglądał przez okno. Lubumbaszi miało zabudowę parterową, ale zdarzały się też większe budynki i, co go zdziwiło, były tu supermarkety, zupełnie jak w Europie. Spytał siostry, co można kupić w takim sklepie. Odpowiedziały, że jak się ma pieniądze, wszystko. Zaopatrzenie jest bardzo dobre. Wjechali do eleganckiej dzielnicy, w której mieściło się niemieckie przedstawicielstwo handlowe, okazało się, że w tych okolicach są bogate złoża miedzi. Okno pokoju, w którym go umieszczono, wychodziło na tyły jakiegoś hotelu. Był tam basen, przy stolikach pod parasolami siedzieli goście hotelowi, biali, wokół nich krążył czarny kelner. Dalej ciągnęła się zielona pofałdowana płaszczyzna, widać było poruszające się sylwetki ludzi, wyglądało na to, że grają w golfa.

Vaclav wziął prysznic, zmienił ubranie i od razu poczuł się lepiej. Pracownik przedstawicielstwa, inżynier Wittman z Kolonii, zaprosił go na kolację do hotelu. Hotel nazywał się „Karavia”, był czterogwiazdkowy i miał całkiem dobrą kuchnię. Po skromnych posiłkach, jakie serwowała linia Air Zaïre, była to istna uczta. Widok szronu na butelkach piwa, które zamówili, sprawił Vaclava niemal w zachwyty.

– Chyba jednak da się tutaj żyć – powiedział, pociągając spory łyk lodowatego płynu. – A już myślałem, że do wyjazdu z Afryki nic nie ugasi mojego pragnienia!

Inżynier roześmiał się. Był to mężczyzna w średnim wieku, lekko szpakowaty.

– O tak, tutaj jak się ma pieniądze, da się całkiem przyzwoicie żyć.

– Niewielu jest chyba takich szczęśliwców – westchnął Vaclav.

– Niestety, ma pan rację – zgodził się z nim inżynier. – Ale dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach, drogi kolego.

Siostry nocowały w tutejszej misji, przyjechały dzień wcześniej i tam się właśnie zatrzymały.

Nazajutrz wyruszyli zaraz po szóstej. Lubumbaszi okazało się miastem względnego dobrobytu i skrajnej nędzy, która rzucała się w oczy, kiedy mijali dzielnice peryferyjne. Domy stały się coraz niższe, sprawiały wrażenie prowizorycznych bud z połatanymi dachami.

To, co widział po drodze, odbiegało znacznie od jego wyobrażeń o zielonej Afryce. Wszystko wydawało się brudne i zakurzone, przyroda i ludzie. Miał wrażenie, że przed jego oczyma przesuwa się taśma w zwolnionym tempie, w dodatku taśma złej jakości. Mijali koślawe lepianki, do których wchodząc, należało schylać głowę, wyliniałe zwierzęta, świnie czarne lub łaciate, kury, króliki, wszystko to żerowało wprost przy drodze; jego uwagę zwrócił stary kozioł przywiązany do drzewa, boki i grzbiet miał w kolorze grafitu. Nie wiadomo, czy był to jego naturalny kolor, czy też pokrył go przydrożny kurz.

Chcąc jakoś przerwać milczenie, opowiedział siostrze swoją przygodę z męską babką klozetową w Kinszasie.

– Ludzie tutaj są bardzo biedni – odrzekła ta zza kierownicy. – Sto franków belgijskich to dwa miliony sześćset zairów, czyli pięć dniówek robotnika. Chleb kosztuje tutaj pięćset tysięcy...

– To podarowałem temu biedakowi pięć bochenków chleba – uśmiechnął się.

Pokiwała na to głową.

– A... jak się czuje pani Marianna von Saarow? – odważył się wreszcie spytać.

– Matka Elżbieta umiera – usłyszał i prostota tej odpowiedzi zbiła go z tropu.

– Ale... jest przytomna?

– Jest przytomna, zbyt słaba jednak, by chodzić.

Znowu jechali w milczeniu.

– Jakie wrażenie zrobiła na panu Afryka? – spytała po dłuższym czasie siostra.

– Za krótko tu jestem – odparł wymijająco.

Uśmiechnęła się.

– Jest pan przerażony, jak wszyscy, których nie wozi się szlakami turystycznymi. Ta Afryka jest prawdziwsza, biedna, brzydka, a jednak prawdziwa...

Po jej słowach odczuł ulgę, że oboje widzą to samo.

– Musi się pan przygotować na niespodzianki...

– Jakiego rodzaju?

– To będzie zależało od pana. Czego pan oczekuje po Afryce?

Wzruszył ramionami.

– Jak siostra słusznie zauważyła, nie przyjechałem tu jako turysta, po Afryce nie oczekuję właściwie niczego.

Zakonnica znowu się uśmiechnęła, uśmiech w lusterku, w którym odbijała się jej twarz, był co najmniej zagadkowy.

– Afryka sama się upomni o pana...

Tym razem jej słowa trochę go zirytowały. Siostra Filozofka, pomyślał. Ta druga przynajmniej siedziała cicho.

Droga zmieniła się teraz w wąski pasek asfaltu, pełen dziur i wybojów. Na poboczach leżała gruba warstwa czerwonego pyłu, który pod kołami samochodu wzbijał się w powietrze, pokrywając ich od stóp do głów, wdzierał się do nosa, pod powieki. Było to wyjątkowo przykre, oczy zaczynały łzawić.

– To ziemia laterytowa, dlatego tak pyli – poinformowała go siostra za kierownicą. – Okien nie można zamknąć, bo się podusimy.

Wioski przy tej czerwonej drodze zabudowane były ulepiionymi z gliny i trawy lepianko-szałasami. Z jednego takiego szałasu wyszło kilkanaście osób, przez chwilę myślał nawet, że mu się dwoi w oczach.

– Jak oni się tam wszyscy mieszczą? – spytał ze zdumieniem.

– Nie mają innego wyjścia – odrzekła jego rozmówczyni.

– Ale traktują to z humorem – wtrąciła ta młodsza. Kiedy się uśmiechnęła, w policzkach pojawiły się dołki.

Miała nieco pucułową twarz i rumieńce jakby narysowane dziecięcą kredką. Musiała być naprawdę bardzo młoda. Jak sobie radziła w tak trudnych warunkach? I co ją sprowadziło do tej głuszy? Nazwał ją w myślach siostrą Śmieszką.

Dojechali do rzeki i okazało się, że most jest zerwany. Siostry o tym wiedziały. Stało się to zeszłej jesieni. Ciężarówka wjechała ze zbyt dużym obciążeniem i przęsła nie wytrzymała. Mostu do tej pory nie naprawiono, trzeba było czekać na prom. Ustawili się w kolejce samochodów. Vaclav rozglądał się ciekawie. Wyraźnie można było dostrzec to, co się działo po drugiej stronie dość szerokiej rzeki. Tam też utworzył się długi wąż samochodów, a więc ruch tutaj był prawie jak na monachijskiej autostradzie. Tylko sceneria znacznie się różniła od tamtej, ojczystej. Rzeka w dole płynęła leniwie, co jakiś czas tworzyły się na niej rozchodzące się kręgi, możliwe, że przepływał tamtędy jakiś krokodyl. Jej brzegi porastały gęste krzewy, gnieździły się w nich stada ptaków, które co jakiś czas z głośnym trzepotaniem skrzydeł ulatywały w powietrze.

– Już prawie jesteśmy w domu, do Kolwezi jest stąd około trzydziestu kilometrów... – powiedziała siostra kierowca.

Tak jak Lubumbaszi nie wytrzymało porównania z Kinszasą, tak Kolwezi nie mogło się równać z tym pierwszym, było jeszcze nędzniejsze. Ich dżip zatrzymał się przed niskim betonowym budynkiem, przed którym rosły zielone iglaste krzewy. Siostry poprosiły go, aby zaczekał w samochodzie, a one uzgodnią, gdzie go umieścić. Po około dwudziestu minutach pojawiła się ta starsza i zakomunikowała mu, iż będzie miał kwatery w innej części miasta, tutaj nie może zamieszkać. Znowu podróż po mieście i podobny bunkier, jeszcze bardziej ponury, bo bez roślinności. Jego pokój przypominał więzienną celę, wszystko z betonu, ani kawałka drewna, drzwi metalowe, kraty w oknach, żelazna rama łóżka.

– To ochrona przed termitami – wyjaśnił ojciec Josef, tak się przedstawił niski zakonnik z dużą łysiną, o przyciągających uwagę ogromnych brązowych oczach – zjedzą wszystko.

– A kraty w oknach też przed termitami? – spytał Vaclav, rozglądając się.

Ojciec Josef uśmiechnął się.

– Nie, przed złodziejami, którzy są w stanie ukraść wszystko.

Potem przy kolacji trochę rozmawiali. Zakonnik przebywał tutaj od wielu lat i nie wyobrażał już sobie życia nigdzie indziej.

– Afryka wciąga jak nałóg, jak narkotyk, kto nie wyjedzie stąd w pierwszym roku pobytu, nie wyjedzie już nigdy...

Nie mógł pojąć, co mogło tak fascynować w tym brudzie, kurzu, upiornym klimacie, w tych ludziach o obcej mentalności i niezrozumiałym dla Europejczyka sposobie zachowania.

– Kiedy będę mógł się spotkać z matką Elżbietą? – spytał, gdy ojciec Josef odprowadzał go do pokoju.

– Przyślą po pana – odrzekł zakonnik. – Siostry prosiły, aby pan cierpliwie czekał.

– A czy ona wie, że tutaj jestem?

– Ona wie o wszystkim, co się dzieje w misji, i o wszystkim decyduje. To święta kobieta, wiele dobrego zrobiła dla tych ludzi.

– Podobno jest bardzo chora.

– Tak, jest bardzo chora – odrzekł krótko.

Pomimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Kwarantanna w Brukseli, trudy podróży, potem spotkanie z siostrami... Ciekawe, jakiej były narodowości, rozmawiali po francusku, więc raczej nie były Niemkami. Może jednak były, a rozmawiały z nim w tym języku przez uprzejmość, on przecież zaczął rozmowę... Ale z drugiej strony wiedziały, że jest Niemcem. Tylko... czy na pewno czuł się Niemcem... Przypomniała mu się niedawna wymiana zdań z panią Elizą, już po tym, jak nadszedł list z Afryki i zapadła decyzja o jego podróży.

– Uważam, że żyjące obok rasy nordycka i słowiańska zawsze się wzajemnie sobą fascynowały – powiedziała nieoczekiwanie.

– I stąd się brały wszystkie wojny? – wtrącił.

Roześmiała się.

– Wojny są tak stare jak ludzkość, najpierw o kość, potem o jaskinię, wreszcie o miedzę... Najdziwniejsze były relacje pomiędzy Polakami i Niemcami, raz jedni, raz drudzy stawali się dla siebie zwierzyną, a jednak to nie wyjaśnia niczego do końca...

– Czasami mam wrażenie, iż to, że my, Słowianie, istniejemy w waszej zbiorowej świadomości, jest wam do czegoś potrzebne – odpowiedział na to.

– Chodzi panu o nasze kompleksy? – spytała pani Eliza, znacząco unosząc brwi. – To by się nawet zgadzało...

Opowiedziała mu historię o tym, jak w czterdziestym szóstym roku jechała ze swoją szwagierką Marianną do Niemiec, legalnie, z biletem w jedną stronę – to miał być rekonesans, rozpoznanie, czy tam da się żyć i czy można sprowadzić dziecko. Zostało pod opieką pokojówki pani Elizy, osoby godnej zaufania. Nocą, gdzieś w polu, szabrownicy zatrzymali pociąg, byli brutalni...

– Broniłam się, jak mogłam, przed złymi ludźmi – mówiła – a ona broniła się przed Polakami... rozumie pan, powiedziała do mnie: gdyby to byli Rosjanie, ale ci, ci nie wygrali wojny! W takiej chwili ważne było dla niej, kto rozrywa jej sukienkę i sprawdza, czy nie ukryła czegoś w bieliźnie, zwycięzca czy jego satelita! Tego ją nauczono w domu rodzinnym. Mnie uczono czego innego...

Vaclav zastanowił się, co on wyniósł ze swojego domu. Przyszła mu na myśl jedna z pogadanek ojca. Ojciec z nim nie rozmawiał, najczęściej wygłaszał pouczające monologi. Ten dotyczył napaści Hitlera na Polskę.

– W trzydziestym dziewiątym roku Niemcy walczyli z Niemcami. Co tak gały wybałuszasz – perorował – popatrz na nazwiska generałów po polskiej stronie: Juliusz Rómmel, generał dywizji, dowódca obrony Warszawy, generał brygady Anders, generał brygady Kleeberg, admirał Unrug, generał Schylling, dowódca Armii Kraków, generał Langner, dowódca obrony Lwowa, zmarły w obozie w Murnau generał Zulauf... i jeszcze dałoby się wymienić sporo innych, na przykład generała dywizji Orlicz-Dreszera, dowódcę lotnictwa polskiego, przyjaciela marszałka Piłsudskiego, albo tego słynnego Hallera, toż to wszystko Niemcy! W drugą stronę też ci mogę coś podrzucić: generał oberst von Blaskowitz, generał oberst Milch, do trzydziestego dziewiątego roku Mleczo – szef sztabu Luftwaffe, albo Kempka, osobisty adiutant i kierowca Hitlera, albo obergruppenführer von dem Bach-Żelewski... Jak Bór-Komorowski poddawał Warszawę, rozmawiali po polsku...

– Słyszałem, że po francusku – udało mu się wtrącić.

– Najpierw po francusku, potem po polsku, a na końcu po niemiecku.

– No, Bór-Komorowski na pewno nie był Niemcem! To był rdzennie polski hrabia.

– Rdzennie polski hrabia – podchwycił ojciec tę niezamierzoną śmieszność.

Ojciec miał ukryty kompleks niższości wobec Niemców i Polaków. Bardzo bolał nad tym, że Czesi nie umieją się bić, nie są narodem żołnierzy. Szczycił się, że jeden z jego wujów w czasie drugiej wojny światowej latał na angielskich maszynach. Potem się okazało, że nie latał, tylko był mechanikiem naziemnym i latał podziurawione kulami samoloty, które zdołały dolecieć do macierzystego lotniska.

Opowiedział o tym spostrzeżeniu ojca pani Elizie.

– Cóż pan chce, jest w tym dużo racji. To takie przemieszanie, rodzina mojego męża na przykład... ich przodek nazywał się Sarowski, ale przed nim był rycerz znad Renu, który przywędrował tu z mistrzem krzyżackim...

– I pewnie walczył po stronie Krzyżaków pod Grunwaldem, w największej wygranej przez Polaków bitwie. Do dziś się nią szczycą...

– Bardzo możliwe – śmiała się pani Eliza.

Wcześniej podobna rozmowa byłaby nie do pomyślenia. Ten list zmienił ich wzajemne stosunki, pani Eliza wypadła nieco z roli chlebobawczyni, a on jej sekretarza. Ich rozmowy stały się swobodniejsze, zaczęli też używać innego języka, szczególnie ona. Relacja o podróży do Niemiec po wojnie i ta rozdarta sukienka! Gdyby słyszały to jej sąsiadki zza ściany, mogłyby poczuć się

zgorzone. A on? Miał wrażenie, że oboje z panią Elizą znaleźli się na początku czegoś, co można byłoby nazwać przyjaźnią. I chciałby, aby jego misja wypadła dobrze. Misja w misji... Wszystko zależało teraz od tej drugiej...

Dziwny odgłos, jakby wystrzał, wyrwał go ze snu. Usiadł na łóżku, potem podniósł moskitierę i podszedł do okna. Widok, jaki ukazał się jego oczom, był zdumiewający. Niebo przypominało okrwawiony poleć mięsa, jakby właśnie złożono jakiemuś afrykańskiemu bożkowi w ofierze obdartego ze skóry wołu. Po chwili zrobiło się jasno niemal jak w dzień, rozbiegły się zygzaki błyskawic i nagle pojawiła się ognista kula, która nabierając szybkości, przetoczyła się nad jego głową. Nie wiedział, co to takiego, sądził, że ma halucynacje, ale zaraz rozległ się potężny grzmot. To był piorun kulisty. I na nim się nie skończyło, bo błyskawice znowu rozdarły niebo, a gorejące kule toczyły się teraz jedna po drugiej. Tam w górze trwał jakiś upiorny bilard i nie wiadomo było, czym się skończy. Czy zjawiska, które oglądał, były groźne i niespotykane, czy to tutaj chleb powszedni? Gdyby misji zagrażało niebezpieczeństwo, coś by się działo na korytarzu, jakiś ruch, biegania. Tymczasem panowała cisza. Hałas dochodził jedynie zza okna. Siostra Śmieszka miała rację, że Afryka go jeszcze zadziwi, i stało się to szybciej, niż mógł przypuszczać. Tkwił przy oknie jakiś czas, a potem wrócił do łóżka. Usiłował zasnąć. Był zmęczony, więc mu się to w końcu udało. Rano zobaczył błękitne niebo i jarzące się słońce.

Przy śniadaniu ojciec Josef spytał, czy nie obudziła go burza.

– Obudziłaby umarłego – odparł – zastanawiałem się nawet, czy od piorunów nie spłonie nasza misja...

– W zeszłym roku piorun uderzył w jeden z budynków i nim zdołano ugasić pożar, sfajczył się cały dach – dziwnym językiem mówił jego rodak, używał słownictwa niezbyt pasującego do stroju, który nosił. Ojciec Josef robił wrażenie chłopka-roztropka.

A więc jego obawy nie były wcale bezpodstawne.

– I często są takie burze? – spytał, starając się ukryć niepokój.

Zakonnik, smarując kromkę chleba masłem, zrobił mu wykład na temat zaczynającej się właśnie pory deszczowej. Zapamiętał z tego, że deszcz pada zwykle nocą i nocą przewalają się burze, ranek bywa już pogodny.

– Tej nocy chyba nie padało?

– Padało, tylko niewiele, tutaj, jak pada, to słyhać. Najpierw zrywa się wiatr, a potem nadchodzi ściana deszczu. Kiedyś spadło sto dwadzieścia litrów wody na metr kwadratowy, potworzyły się z tego rwące potoki i wodospady... – Ojciec Josef opowiadał o tym z widoczną satysfakcją, chciał zrobić wrażenie na rozmówcy.

I to mu się w pełni udawało.

– Czy pora deszczowa już się zaczyna? – dopytywał się Vaclav.

– No cóż, mamy początek października, kalendarza się nie oszuka.

Po śniadaniu bracia udali się na modły, a Vaclav, pozostawiony sam sobie, nie bardzo wiedział, co ma począć. Wyszedł na zewnątrz i rozglądał się dookoła. Misja składała się z budynku mieszkalnego, kaplicy i zabudowań gospodarczych usytuowanych na tyłach. Istniał tu też niewielki ogród uprawiany przez zakonników, ale warzywa wyglądały raczej mizernie, jedyną wybujałą rośliną był koper, który już przekwitł. Na łodygach pojawiły się żółte, osypujące się szypułki. Przez furtkę wyszedł na ulicę, rozejrzał się. Potem usiadł na ławeczce pod murem. Powietrze rozedrgane upałem niemal parzyło skórę. Ani śladu po nocnej burzy, ziemia pod jego stopami była sucha i spękana. W pewnej chwili wydało mu się, że ktoś go obserwuje. Spojrzał w bok i natknął się na wlepione w siebie oczy. To była dziewczynka, mniej więcej dziesięcioletnia, tak by ją określił, miała patykowate ręce i nogi i trochę za dużą głowę w stosunku do wąskiego ciała. Uśmiechnął się do niej, ona też się uśmiechnęła i podeszła o krok bliżej.

– Rozumiesz po francusku? – spytał.

Na to odezwało się cichutkie:

– Tak...

I znowu zrobiła krok w jego stronę.

– Nazywam się Vaclav Pavelka, a ty?

Usłyszał coś jak:

– A-isza...

Chwilę trwali na swoich pozycjach, w zupełnym milczeniu.

– I co powiesz, A-isza?

Mała znalazła się już całkiem blisko.

– Matka Elżbieta mówi, żebym panu pokazała Kolwezi, jakby pan chciał zobaczyć...

– Chciałbym – odrzekł lekko oszołomiony.

Oto znalazł się oko w oko z małą mieszkanką równikowej Afryki i nie miał żadnych problemów w porozumiewaniu się z nią, chwytając, co do niej mówi, a co ważniejsze, on mógł zrozumieć ją.

– A co tu jest ciekawego?

Dziewczynka zastanowiła się chwilę.

– Można pójść na targ...

Pomiędzy lepiankami na wolnej przestrzeni zobaczył coś w rodzaju klepiska gęsto wypełnionego ludźmi, byli tu sprzedawcy i kupujący, trudno ich było odróżnić, gdyż jedni i drudzy mieli przy sobie „towar” do kupienia lub już zakupiony. Towar wykładano przeważnie na straganach zbitych z powykrzywianych we wszystkie strony palików. Przed słońcem chroniły daszki zrobione z wysuszonej pożółkłej trawy, niektórzy sprzedawcy lokowali się jednak wprost na ziemi. Sprzedawano niewielkie kawałki trzciny cukrowej, korzenie manioku, liście kukurydzy. Chudziutka przewodniczka objaśniała mu, co jest co, a także do czego służy. A więc korzenie manioku opiekano na ogniu, a liście kukurydzy dodawało do zupy, jak w Europie włoszczyznę. Jeden z kupców, siedząc w kucki, sprzedawał wprost z worków mąkę z manioku i kukurydzy, kupowano ją na garści, ale na oczach Vaclava doszło też do poważniejszej transakcji. Ktoś wziął cały worek i tym kimś był nie kto inny, tylko ojciec Josef.

– Na kolację będzie bukari – wyjaśnił, jakby nazwa ta mogła cokolwiek Vaclavowi powiedzieć.

– A... czy są jakieś wiadomości od sióstr? – spytał ostrożnie.

Z ojcem Josefem rozmawiał po niemiecku, co widocznie fascynowało A-iszę, patrzyła na ruchy jego ust, jakby chcąc z nich odczytać znaczenie słów.

– Jak będą, pan się pierwszy o tym dowie – odparł wymijająco zakonnik.

Przewodniczka poprowadziła go dalej, tutaj handlowano konfekcją, na straganikach pełno było różnych świecidełek, obrączek, bransoletek i koralików, były też wyroby z kości słoniowej. W pewnej chwili opadła ich zgraja wyrostków podskakujących na patykowatych nogach, zagładających w oczy, czepiających się ubrania. Domagali się bakszyszu, próbowali też coś Vaclavowi sprzedać. Był skłonny nawet coś od nich kupić, aby się ich pozbyć, ale A-isza temu zapobiegła. Zaczęła energicznie odpychać chłopców, coś przy tym wykrzykując. Powtarzało się w kółko jedno słowo, mogło to być jakieś zaklęcie, bo wyraźnie robiło wrażenie na małych napastnikach; poczuli się wycofywać.

– Co im powiedziałaś? – spytał, gdy wreszcie zostali sami.

Dziewczynka spojrzała na niego z powagą.

– Powiedziałam, że pan przyjechał do umierającej...

Wędrownka po targu trochę go zmęczyła, był przecież koszmary upał. A-isza odprowadziła go pod drzwi misji. Chciał jej dać pieniądze, ten bakszysz, tak tutaj upragniony, ale pokręciła głową i poprosiła o chustkę do nosa, którą miał w kieszeni. Była biała w niebieską kratkę. Dziewczynka zręcznie zwinęła materiał w rulon i obwiązała wokół szyi. Wyglądała na bardzo zadowoloną.

– Skąd tak dobrze znasz francuski? – spytał na pożegnanie.

– Matka Elżbieta mnie nauczyła...

– Idziesz teraz do niej?

Nie odpowiedziała, odwróciła się na pięcie i uciekła.

Wieczorem na kolację było owo bukari, które zapowiadał ojciec Josef. Okazała się nim papka z mąki robionej z korzeni manioku. Przypominało to w smaku kartofle w mundurkach.

– Czy tej nocy też będzie burza? – spytał, gdy szli korytarzem.

Bracia udawali się na wieczorne modły, a on do swojego pokoju.

– Nikt na to nie odpowie – odrzekł jeden z nich.

Burzy jednak nie było, a gdyby nawet była, pewnie i tak by jej nie słyszał, bo tym razem zapadł w głęboki sen. Dopiero trzeciej nocy w Afryce udało mu się odespać podróż. Ranek był słoneczny, jak i cały dzień, który zszedł mu na lekturze starych gazet. Ani tego dnia, ani w następnych nie było dla niego żadnych wiadomości. Zaczynał się już niepokoić. Może w ogóle po niego nie przyślą i jego misja zakończy się fiaskiem. Dlaczego siostry tak zwlekały? Dlaczego matka Elżbieta tak zwlekała?

To było tak dawno, myślała, leżąc w ciemności z otwartymi oczyma – jak to było dawno... Nie ma już nikogo z jej bliskich... najpierw ojciec odszedł, potem matka, potem mała Julia, a wcześniej jeszcze Wolfi i jego dwaj bracia... z których jeden był jej prawowitym mężem, poślubionym przed ołtarzem. W tym ilustrowanym tygodniku przysłanym z Polski ktoś nawet wspominał o jej ślubie. Kto to był, nie mogła sobie przypomnieć. Zapaliła lampkę i sięgnęła po czasopismo. No proszę, osiemdziesięcioletni dziś starzec, mąż jakiejś kobiety z Falkenbergu. Nie pamiętała jej. Tamte twarze już się zataryły...

„– *Czy pana żona służyła w pałacu?*

– Nie, ona nie służyła. Tylko jak baronowa, matka Elizy, grała z nią w tenisa, to brała ze szkoły dzieci, żeby im podawali piłki. I wtedy dzieciaki wszystko dostali – sukienki, buciki, rękawiczki. Podawali piłki, a na koniec baronowa brała ich na podwieczorek...

– *Ile miała wtedy lat pana żona?*

– No, jakieś czternaście, piętnaście... z Elizą w jednym wieku, a ta baronowa to sama była, one były same, matka i córka, bo baron zmarł jeszcze przed wojną, coś mu padło na płuca...

– *Mówiono mi, że pani baronowa Eliza von Falkenberg, matka Elizy, była francuską aktorką?*

– Wcale że nieprawda! Ona pochodziła z Francji, ale inne to nieprawda. Bo mojej kobity, to znaczy żony, siostry gotowali w pałacu, na dole w kuchni. A kobity matka to była krawcową. I im szyła, tym z pałacu. Miała powiedziane, co ma uszyć, szła do pałacu i szyła na miejscu.

– *A materiał kupowała?*

– Nie, materiał już był kupiony.

– *A suknia ślubna młodszej Elizy, później von Saarow, kto ją szył?*

– Sprowadzona była, sam welon to mierzył z dziesięć metrów... W naszym kościele dywan był wyłożony do samego asfaltu. No... wtedy jeszcze nie było asfaltu... Oni byli bogate, mogli sobie pozwolić, mieli dużo majątku, te ziemie dookoła, te lasy, to wszystko było ich... A teraz tylko ruina... Chociaż coś gadają, że mają pałac odbudować Szwedy, Niemce i Polaki razem.

– *Jak zamek Saarow?*

– Mniejszy był, to było łatwiej, a ten pałac to coś olbrzymiego. Ja to go już nie widziałem, bo jakżem tu przyjechał w czterdziestym siódmym roku, to już był spalony, ale moja kobita wspominała, że był piękny. Było w nim trzysta sześćdziesiąt okien! Dachówka była świecąca... i tylko dwie niewiasty w nim mieszkały!

– *I myśli pan, że pałac odbudują?*

- Może i odbudują. Co to teraz nie zrobią!
- *Dużo wtedy było ludzi w majątku?*
- W samym parku pracowało osiemnastu, całym rokiem. Gdzie listek spadł, to aleje były wygrabione, wyczyszczone...
- *Słyszałam, że to był piękny ogród.*
- Żona tam chodziła do tego ogrodu, mówiła, że taki właśnie był porządek.
- *A te jakieś groty? Jak to wyglądało?*
- Tak, jest ta grotka, jeszcze stoi. Ona była cała w muszlach, wyłożona muszelkami od góry do dołu!
- *Mówiono mi, że po wojnie dzieci wydłubywały te muszle.*
- A tak i było, kto nie przyjechał, to sobie coś wyskubał, i tak wyskubali wszystko.
- *Więc to nie dzieci?*
- Dzieci boże, jak my wszyscy, paniusiu”.

Opowiadają mi o moim domu, pomyślała smutno. Jeszcze raz przeczytała nazwisko starego mężczyzny. Alfred Mycka. Nic jej to nie mówiło.

- „– *Kto dokładnie mieszkał w pałacu?*
- No już mówiłem, te dwie Elizy, starsza i młodsza. No i był tam ten, co obsługiwał, tam była winda i wszystko windą szło do góry, obiady czy coś. To on tam tylko stał przy schodach i jak ktoś przyszedł, to kierował, gdzie i jak...
- *Kto jeździł ze służby?*
- No, był *Kutscher* który je woził, później był ten, co konie futorował, ten od windy, taki lokaj...
- *A co one robiły całymi dniami, właścicielki pałacu?*
- Znaczą matka i córka?
- *No tak, dwie Elizy...*
- A jeździły sobie, cztery konie do bryczki i wio! Albo ta młodsza uciekała pod las, bawić się z moją żoną...”

Więc ten stary człowiek to mąż małej Margaretki spod lasu!

- „– *Jaka była ta Eliza córka?*
- A była trochę dziwna. Żona opowiadała, że raz baronówna wlaźła na kościół, bo chciała przeczytać, co tam jest napisane na dzwonach we dzwonnicy, tam podobno coś pisało o tych fundatorach Falkenbergach... kiedy postawiły świątynię... To tak się ubrudziła, bo tam przecież niesprzątnięte, pełno ptasich odchodów, podobno biała stamtąd wyszła... A raz też ją skądys ściągali, bo przez lornetkę chciała popatrzeć na majątek.
- *A czy ona chodziła do normalnej szkoły, czy miała nauczycielkę, guwernantkę?*
- Chodziła do szkoły, uczyła się razem z innymi dziećmi, zawsze siedziała w pierwszej ławce. A na przerwie to się bawiła z moją żoną, lubiła moją żonę cesać w różne fryzury...
- *Ile klas miała ta szkoła?*
- Osiem czy dziewięć, ta ostatnia to była kucharska. To ona ją musiała kończyć.
- *A może fryzjerska?*
- Nie, nie, kucharska, na pewno...”



Szczegóły umarłego życia... prawie zobaczyła swoją dawną klasę, koleżanki i kolegów. Nosiła białą bluzkę i czarny fartuch na skrzyżowanych na plecach szelkach, obsyty falbanką. Włosy splecione miała w dwa grube warkocze, ciążyły jej jak polana... Piegowata Margaretka też już nie żyje, a jej owdowiały mąż coś tam plecie...

„– *Ile płacono w pałacu pracownikom?*

– Lokaj i inni mieli pensje, dużo chyba dostawali, sam kiedyś znalazłem w ruinach fenig i pisało na nim Falkenberg, to znaczy, że oni mieli swój własny piniądz... Ja byłem przy odgruzowywaniu pałacu i znaleźli my kasę, rozbili... Była wielgachna, ale pusta...

– *A jak były jakieś uroczystości?*

– Tu żadnych uroczystościów nie było. Czasem z Francji przyjeżdżali, jakaś rodzina...

– *Baron Falkenberg był podobno w marynarce francuskiej?*

– To bujda, pani. On zmarł na płuca i jest w Falkenbergu pochowany na cmentarzu. Jak cała rodzina. A oficerowie... to leżeli w katakumbach pod kościołem. Byli zabalsamowani... w jednej trumnie leżała kobieta, sam widziałem, i miała białe oficerki... Tam ich było z piętnaście, szesnaście, teraz jest sześciu, bo ksiądz zamurował wejście... tak żaden by nie został, bo łobuzy wynosili i wrzucali do rzeki te trumienki, były lekkie jak piórko i płynęły z prądem...

– *Czy dzieci nie wydłubywały muszelek z groty w ogrodzie, tylko bawiły się trumienkami?*

– Toteż ksiądz zamurował wejście”.

Odrzuciła pismo na podłogę, wstała. Włączyła czajnik elektryczny, po chwili zaczął szumieć.

Ksiądz zamurował wejście do katakumb w podziemiach kościoła... A jej los zamurował drogę do normalnego życia. Po ucieczce z Pomorza nigdy już nie było normalne. Starła się nie przyznawać do tego przed sobą, ale tak właśnie było. Matka miała szczęście, umierała w swoim łóżku... jakie to ważne, zrozumiała dopiero teraz, gdy była starą kobietą. A Marianna? Kim była teraz ta kobieta, która przyzywała ją do siebie? Nic o niej nie wiedziała. Tamta Marianna, którą znała, nie byłaby zdolna do podjęcia podobnej decyzji. Habit. Wyjazd do Afryki. To się nie mieściło w głowie. Takie rzeczy przytrafiały się bohaterom filmów, a nie normalnym ludziom. Po wojnie szwagierka wyemigrowała do Szwecji, tyle wiedziała. Skąd się wzięła ta Afryka? Właściwie, wolałaby tego nie dochodzić. Wysilek, jaki włożyła w zbudowanie sobie spokojnego azylu, mógłby pójść teraz na marne. Już wdarł się niepokój. Młoda Eliza von Falkenberg stała za drzwiami i chcąc tego czy nie, musiała ją wpuścić... Miała na sobie strój do konnej jazdy, w rękę szpicrutę, włosy potargane od wiatru... Tutaj, po tej stronie Odry, Eliza już nigdy nie dosiadła konia, nawet wtedy gdy była jeszcze młoda. Dlaczego? Przecież wielokrotnie w ciągu tych wszystkich spędzonych tu lat miała taką możliwość. Jej chlebodawca i wieloletni kochanek Martin von Boerke zabierał ją na różne spotkania towarzyskie, nieraz wyjeżdżali razem do Anglii. Tam pośród innych atrakcji proponowano jej konną jazdę, a jednak odmawiała. Może dlatego, że nie traktowała tego nigdy jako rozrywkę. Na Pomorzu koń był wiernym towarzyszem życia, tutaj istniał już tylko po to, by umilić wolny czas bogatym ludziom.

„– Na Boże Narodzenie, na Gwiazdkę, w dużej sali w pałacu były prezenty dla wszystkich. Każdy sobie szedł i brał. Tam był taki stół rozstawiony...

– *I co było na tym stole?*

– A... rozmaite rzeczy do jedzenia: ciasto, cukierki, czekolady... Każdy dostał swoje... Choinka była postawiona... A znowu na Wielkanoc to pani baronowa

dzieciom dawała zagadki. Tam w parku stały tuje, takie krzewy, no to jajka tam chowała na talerzyku i dzieciaki mieli szukać tych jajek...

– *Wszystkie dzieci z Falkenbergu?*

– Nie, tylko służby.

– *Czy ludzie przychodzili z jakimiś sprawami do pałacu?*

– Tam było specjalne biuro. Do biura przychodzili. A baronowa potem rozpatrywała...

– *Jakie to były sprawy?*

– No różne... też i o pieniądze, ktoś chciał zaliczkę na przykład. Albo jak ktoś w niedzielę pracował, to biuro pałacowe wypłacało od razu.

– *A kościół tutaj był ewangelicki, tak?*

– Tak. Moja kobita była chrzczona w tym kościele.

– *Były tu rodziny katolickie?*

– Nie, w Falkenbergu nie było. W Bornicach były dwie rodziny katolików, to oni do Susza jeździli.

– *Słyszałam, że młoda Eliza była katoliczką?*

– Nie... Może tam we Francji, ale tutaj nie. Oni do tego kościoła chodzili. W przodzie były ławki i oni tam siadali. I tam było centralne ogrzewanie, na prąd. Jak ktoś chciał, to sobie włączał wtyczkę i miał ciepło. Pod ławką takie rurki były.

– *A kto to montował?*

– Niemcy. Jak ten kościół stawiali, to zrobili. Kościół był dwa lata później stawiany niż pałac. W kościele to były piękne kryształowe żyrandole i stało szesnaście foteli z jelenich rogów. Wszystko rozszabrowane... Coś niecoś wiem... Wiem, że Napoleon tutaj był, wiem, gdzie miał pokoje...

– *Hitler też podobno był.*

– Był, miał tu nawet swojego psa. Pochowany jest w parku pod kamieniem i pisze na nim «Pilot». Oni go otruli tego psa...

– *Jacy oni?*

– Ci, co nie lubili jego pana...

– *A mieszkanki pałacu?*

– Trudno powiedzieć...

– *Może to one otruły psa?*

– Po co by miały to robić, przecież to były Niemki... Mógłbym pani pokazać ten kamień, ale tam zarośnięte, tam była ta aleja Napoleona...

– *Napoleon po niej chodził?*

– Widać chodził, skoro miał aleję...”

To była aleja lipowa, w lipcu, kiedy kwitły lipy, z daleka słychać było brzęczenie pszczoł...

„– Był tu dwa lata temu taki praktykant z Niemiec, u nas się stołował i on miał książkę, i według niej tam w środku pałacu czyścił. Płacił za to, ja mu pomagałam. Robił zdjęcia, czy te fundamenty wytrzymają, ale by nie wytrzymały, bo podeszła woda, musieliby łąć nowe...”

– *Mówił pan o tych trzystu sześćdziesięciu oknach – to były same pokoje?*

– Według pór roku, ile jest w roku dni, miesiące, cały pałac tak był wybudowany. Drzwi to już nie pamiętam. Ale te pomniki, co w Hławie stoją, stały u góry pałacu. Przyjechali i zabrali...”

Do jakiejś Hławy...

- „– *Co jeszcze było w pałacu?*
- Oni mieli złoto gdzieś zamurwane, podobno wywieźli na jezioro w skrzyniach i utopili.
  - *Kto utopił? Baronowa?*
  - No nie, jej ludzie... Ona to już była jedną nogą na tamtym świecie, ale to miało być dla córki.
  - *Była chora?*
  - Musiała być, bo umarła, i to wcale nie staro. A w pałacu wszystko zostało, umeblowanie, wszystko. Pamiętam był taki cały pokój talerzy, i to tylko parę stłuczonych, na wierzchu, ale jak się wyniosło na powietrze, to tylko prztyk, prztyk, i po nich, popękały.
  - *Pewnie były porcelanowe?*
  - Na pewno. Taką krowę znalazłem, z litr mleka się w niej mieścił i była jak żywa, w łaty, z rogami. Jak się ją ciągnęło za ogon, to się otwierała zapadka i mleko leciało. Długo była u nas ta krowa, potem się stłukła...
  - *Pan mówił, że się świecił dach, dlaczego?*
  - Tam była zielona dachówka, zwykła dachówka pomalowana jakimś lakrem i tak się świeciło. Cały dach!
  - *Robiono jakieś remonty pałacu?*
  - W tym pałacu nic nie było robione. Jak był wybudowany, tak stał do końca. Wszystkie te pokoje...
  - *Żółty, niebieski, perskiego posła, tak? Napoleona?*
  - Wszystko się zgadza. Nie wiadomo tylko, gdzie był pokój Hitlera.
  - *A jak Niemcy weszli, to co baronowa mówiła, że jest Niemką czy Polką? Bo rodzina von Saarow uważana była za rodzinę polską.*
  - Nie powiedziałbym, żeby to byli Polacy.
  - *Czy w pałacu wywieszono hitlerowskie flagi?*
  - Z tego, co wiem, żadnych flag nie było...”

Historia rodu Falkenbergów w podaniu ludowym, pomyślała.

Prawie nie mógł uwierzyć, że to, co mówi ojciec Josef, jest prawdą. Oto wzywają go, matka Elżbieta go wzywa. Odkąd przybył tutaj przed dwoma tygodniami, jedynym jego łącznikiem z misją Serca Jezusowego była mała A-isza, która stała się jego przewodniczką w wędrówkach po okolicy. Ojciec Josef ostrzegł go, aby nie wchodził pod żadnym pozorem do stojącej lub płynącej leniwie wody, gdyż roi się w niej od pasożytów. Najniebezpieczniejsza była motyllica powodująca krwawienia „w kiszkiach”, jak się wyraził, co najczęściej kończyło się śmiercią.

Wziął to sobie do serca i w najgorszy upał, podczas gdy jego towarzyszką i jej liczni rodacy chlapali się w wodzie, szedł brzegiem, spocony, ledwo żywy. W czasie jednej z takich wędrówek natknął się na zatoczkę, w której pływało dwóch białych, jak się potem okazało, Amerykanów. Oceniał rzekę na płynącą bardziej niż leniwie i czuł się w obowiązku ostrzec swoich współplemieńców.

- Nie boją się panowie? – spytał przejęty.
- Niby czego? Że mi jakiś rak odetnie nożycami przyrodzenie? – odkrzyknął jeden z nich.
- To naprawdę bardzo groźne, można się zarazić pasożytami!
- Nie o tej porze roku. Kiedy padają ulewne deszcze, woda jest bezpieczna – usłyszał.

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać, po paru sekundach wskoczył do rzeki, która, ocieniona nadbrzeżną roślinnością, była zadziwiająco chłodna, a na samym dnie wręcz lodowata. Amerykanie wyjaśnili mu, że zaraz za zakrętem znajduje się wodospad. Wraz z tą kąpielą wróciły

mu mocno nadwątlone siły, zapragnął obejrzeć wodospad i udał się tam w towarzystwie obu mężczyzn, którzy okazali się antropologami z uniwersytetu Yale w New Haven. Miejsce było naprawdę niezwykle. Z wysokiej granitowej skały waliły w dół kaskady wody, żłobiąc w kamieniu sporej wielkości oczko, wypełnione ciemnozieloną wodą, tak zimną, że można było tylko zanurzyć w niej stopy. I to nie na długo. Usiedli na brzegu, jeden z Amerykanów wyjął z plecaka butelkę whisky. Gdyby jeszcze dwie godziny wcześniej ktoś mu powiedział, że będzie pił w tym klimacie alkohol, nie uwierzyłby.

– A dlaczego po deszczach można się kąpać? – spytał naiwnie. – Czy to jakaś dezynfekcja z nieba?

Naukowcy popatrzyli na siebie porozumiewawczo.

– Prąd porywa ślimaki, które są nosicielami pasożyta, dlatego najważniejszy jest ten pierwszy deszcz rozpoczynający porę deszczową. A kolega skąd się tu znalazł?

Urwałem się z choinki, miał ochotę odpowiedzieć.

– Ja... przyjechałem tutaj w pewnej misji...

– Zakonnik?

– Nie, nie... – zaprotestował – mam się tu spotkać z matką Elżbietą z misji Serca Jezusowego.

Obaj naukowcy wyraźnie się ożywili.

– To ta Niemka! Matka Teresa Zairu, podobno odmówiła spotkania z papieżem...

– Dlaczego?

Tego Amerykanie nie wiedzieli, chyba chodziło o to, że się z nim nie zgadzała.

Vaclav przypomniał sobie o swojej przewodniczce, którą najpewniej zgubił gdzieś po drodze, ale kiedy się rozejrzył, dostrzegł wątlą sylwetkę ukrytą za jednym z drzew.

– A-iswa, chodź tutaj!

Dziewczynka nie poruszyła się, nie pozostawało mu więc nic innego, jak pożegnać przygodnych znajomych.

– Dlaczego nie podeszłaś, kiedy cię wołałem? – spytał.

– Bo oni są obcy.

– A ja nie jestem?

Pokręciła przecząco głową.

– Ja przyjechałem do umierającej?

Tym razem odpowiedź była twierdząca.

Przed budynkiem misji stał znajomy dżip, a za kierownicą siedziała równie znajoma siostra Filozofka, wiedział już, że miała na imię Berta.

– Czy zobaczę się z nią zaraz? – chciał się upewnić, gdy ruszyli z miejsca. Zakonnica z dużą wprawą prowadziła samochód po wybojach Kolwezi. Na jego pytanie odpowiedziała twierdząco skinieniem głowy.

– A dlaczego musiałem czekać tak długo?

Odpowiedzi na to nie otrzymał, dalszą część drogi odbywali w milczeniu. Wyglądając przez okno dżipa, miał wrażenie, że jadą inną drogą, lepianko-domy, które mijali, wydawały mu się zmienione. Nagle pojął, że to zakwitł bluszcz pokrywający wszelkie budowle, przybudówki i płoty, jak za dotknięciem różdżki szarość zniknęła. Kwiaty miały najróżniejsze, bajkowe wręcz kolory, od jaskrawej czerwieni po żółć, fiolet i amarant.

Z daleka rozpoznał budynek misji, siostry nie obsadziły go bluszczem, wyróżniał się więc teraz swoją surowością. Poczuł, jak zdenerwowanie spina mu mięśnie.

Eliza nie mogła zrozumieć, dlaczego opowieści tych ludzi w polskim piśmie robią na niej takie wrażenie. To były przecież bzdury, plotki... najistotniejsza informacja to ta, że porcelanowa krówka, którą dostała kiedyś w prezencie od ojca, też już nie istnieje, po prostu się stłukła... No i jeszcze to jedno, że żyje jej dawna pokojówka Genusia. Była jej wdzięczna za dyskrecję. Nie

doczytała do końca tych zwierzeń. Nie mogła. W pewnym momencie zaczęła odczuwać niepokój, zdenerwowanie, jakby każde następne zdanie wywiadu miało ją zaskoczyć, zniszczyć jej spokój. To z tą kobietą pozostawiła swoją córkę... Przez te wszystkie lata uważała, że zginęły obie i że służba u Niemców nie wyszła dziewczynie na dobre. Ona także już nie jest dziewczyną, ale staruchą, która snuje wspominki...

Z uczuciem przymusu sięgnęła po magazyn, który wczoraj wyrzuciła. Dobrze, że pokojówka nie opróżniła kosza.

„– A ja miałam czarną sukienkę i taki malutki – wie pani, jak to mają pokojówki – fartuszek i w tym paradowałam po zamku, w tym swoim uniformie...

– *Były jakieś przyjęcia, huczne bale na zamku?*

– Tak to nie, ale jak najstarszy syn pana hrabiego, pan Otto, się zaręczał, to było dużo gości... pomagałam przy noszeniu do stołu...

– *I co podano na stół? Nie było problemu z jedzeniem w czasie wojny?*

– Ooo!... Tam nie było problemu! O, pani! Tam była jałowka wielka zabita, świnia... kielbasy, szynki uwędzone w takich siatkach, żeby na to jakieś robaki nie weszły...

– *To było wszystko na zamku czy w jakimś osobnym budynku?*

– Na zamku, wszystko było na zamku.

– *Wojsko nie rekwirowało jedzenia?*

– Przecież oni do wojska odstawiali ziemniaki, kapustę, owoce... Ile tam tego było wszystkiego! Jeszcze na tym pieniądze zarabiali, bo wojsko płaciło za każdą dostawę. A w pałacu chleb był pieczony w takim osobnym domku, w piecu chlebowym. Chleba było pod dostatkiem, a dziczyzny było tyle, że już nam się jeść nie chciało! To już do obrzydzenia te zające, sarny, te dziki... No więc był zimny bufet, talerzyki były poustawiane i kto chciał, to podchodził, sobie nakładał... Ja to nawet jedno głupstwo na zaręczynach pana Ottona palnęłam... Poszłam z kelnerem, z panem Bartsem, do piwnicy po wino, tam butelki były poowijane w słomę, jak rozwinął, to na butelce kurzu a kurzu, to wzięłam ścierkę i starłam, a on w krzyk, że co ja zrobiłam, że trzeba było z tym kurzem i z pajęczynami na stół podać...

– *Żeby było widać, że stare?*

– Chyba o to chodziło, ale ja się obraziłam, bo byłam głupia siksa jeszcze. Co on będzie na mnie gębę wydierał! No to jak się odwrócił, to mu przypięłam na siedzeniu zajęczą kitkę i on tak poszedł na pokoje, a tam był jeden śmiech... Biedak nie wiedział, z czego tak się państwo śmieje...

– *Czy pan Barts to był Polak?*

– A on to różnie, jak byli Polacy, to był Polak, a jak Niemcy, to Niemiec, a tak w ogóle to ewangelik, chodził do ewangelickiego kościoła.

– *I co z tymi zaręczynami młodego hrabiego Ottona? Wesele kiedy się odbyło?*

– No... nie było wesela, bo to już wojsko hitlerowskie przegrywało i młodzi hrabiowie z zamku szli z powrotem na front, jeden po drugim, i jednego po drugim przywozili na furmance, zabitego. Pan Otto był pierwszy, ranę miał na głowie, oko wybite, przewiązane jakąś szmatą...

– *Trzech braci było?*

– A trzech, pamiętam, jak tego najmłodszego więzili, pana Wolfganga. W zamku była tylko moja pani. I jak chłopak przyleciał z wiadomością, to jak stała, tak za nim pobiegła, aż do rogatek. I potem szła koło wozu... w rękę trzymała chustkę, co jej nie zdążyła włożyć na głowę, ta chustka ciągnęła się po ziemi... Pan Wolfgang wyglądał jak uśpiony, nic po nim nie było widać śmierci, żadnej rany

nie miał na wierzchu. Ale i tak były kłopoty, bo on był wielki, jego nogi nigdzie się nie mieściły, ani na łóżku, ani pod stołem, a potem nie chciały się zmieścić do trumny, to trzeba było go chować w dwóch. Stolarze rozpiłowali trumny pośrodku i połączyli w jedną...”

Niemal to zobaczyła, tamten dzień...

„– *Cieszyła się pani, że Hitler przegrywa?*

– Pewnie, że tak. W zamku źle mi nie było, ale już jak poszłam na przykład na pocztę, to tam napis: *Für Polen, Juden und Hunde verboten...* Ale jak przyszły Ruskie, to im śmierdziały z daleka onuce... i oni tak strasznie śmierdzieli, ja to jestem uczulona na zapachy... Mogę nie zjeść, nie odespać, ale umyć się muszę, a te Ruskie to był brud... Nawet jak się ukrywałam z malutką, z córką pani Elizy, to się przekradałam po wodę do umycia. I ja, i dziecko byliśmy czyste... A potem przyszła panienka Marianna, ta najmłodsza, jedyna, co się z rodzeństwa von Saarow została, i zabrała małą”.

Kilkakrotnie odczytała to zdanie: „A potem przyszła panienka Marianna, ta najmłodsza, jedyna, co się z rodzeństwa von Saarow została, i zabrała małą”. Jak to możliwe? Dotąd trwała w przekonaniu, że Marianna nie odnalazła Julii. Co naprawdę zaszło wtedy w Polsce? Co się stało z jej małą córeczką? O jakim piekle wyrzutów sumienia napisała w swoim liście szwagierka? Która z nich kłamała? A może to tylko zawodna pamięć jej byłej pokojówki, minęło przecież wiele lat...

Rolety w oknach były zaciągnięte, panował więc półmrok, przeciskające się szparami promienie słońca spadały na podłogę jak złote obrzynki. Było niewiele sprzętów, biurko, szafa, w rogu łóżko szczelnie osłonięte moskitierą. Ktoś na nim leżał.

– Pan Vaclav Pavelka? – usłyszał cichy kobiecy głos. – Proszę sobie przysunąć krzesło i usiąść obok mnie.

Chciał wziąć to stojące przy biurku.

– Nie, nie, tamto spod ściany, jest wygodniejsze, bo wyściełane – nakazała mu.

Kiedy zajął miejsce, poprosiła, aby przysunął się bliżej. Za drobnymi oczkami siatki majaczył na poduszce kształt głowy, nie można było jednak rozróżnić rysów twarzy.

– Wezwałam tutaj swoją bratową, Elizę von Saarow. Dlaczego przyjechał pan?

Przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć. Czuł się dziwnie, początkowe napięcie opuściło go, gdy tylko przekroczył próg pokoju, który na pozór nie różnił się niczym od innych w tym budynku. Panował tu nastrój niezwykłego spokoju i powagi.

– Dlaczego przyjechał pan? – powtórzyła.

– Pani hrabina nie mogła przyjechać osobiście, od kilku lat nie opuszcza pensjonatu.

– Jest niedołączna?

– Niezupełnie, ale przerażała ją myśl o dalekiej podróży.

Zapadła cisza, której nie miał odwagi przerwać.

– I jaką panu wyznaczyła rolę? – usłyszał po długiej chwili.

Nie wiedział, jak ma przekazać propozycję pani Elizy, czuł, że jest niestosowna tak wobec osoby, jak i całej sytuacji.

– Jestem posłańcem, przekażę wszystko, co będzie do przekazania – powiedział wreszcie.

Zza gęstej siatki dobiegł go cichy śmiech.

– Tak to wymyśliła? Ja będę się panu spowiadała, a pan to poda dalej?

– Nie, nie – zaoponował – przywiozłem ze sobą magnetofon, można nagrać...

– Spowiedź na kasetach, jak przystało na koniec dwudziestego wieku... No cóż, wypada mi się zastanowić. Jeżeli na to przystanę, poproszę pana o szczegóły techniczne... ale teraz muszę to przemyśleć...

– Tak, tak, oczywiście – odparł skwapliwie, rozumiejąc jednocześnie, że rozmowa jest skończona.

Nic się nie zmieniła, zawsze musi postawić na swoim, pomyślała, gdy Pavelka opuścił pokój.

Nie widziała go dobrze przez gęstą siatkę moskitiery, tylko zarys głowy i sylwetki. Dla niej to był przede wszystkim młody męski głos. Po raz pierwszy od dawna rozmawiała z kimś po niemiecku i sprawiało jej to przyjemność. Może dlatego nie odprawiła tego posłańca od razu, że chciała słyszeć brzmienie ojczystego języka. Jedną z jej tęsknot, usłyszeć dobrą niemczyznę, bez akcentu, właśnie się spełniała. A druga... poczuć na twarzy wiatr od morza... od tamtego morza... Rano, kiedy otwierała okno w swoim pokoju na zamku, czuła uderzenie powietrza, było zimne i słone... Tego już nie doświadczy nigdy, na to już było za późno... Na wszystko już było za późno. Eliza się tu nie pojawi, a ona jest zbyt słaba, aby udać się do niej. Za długo zwlekała z tą spowiedzią, za długo o całe pięćdziesiąt lat. Czy mogła przypuszczać wtedy, gdy zobaczyła bratową po raz pierwszy, ile cierpień przysporzy jej w przyszłości ta kobieta?

Tamtego dnia, kiedy Eliza miała się pojawić na zamku, od rana było zamieszanie, z Zoppot przyjechała matka, dyrygowała wszystkim, służba biegła w tę i z powrotem. Marianna obserwowała to ze swojego ulubionego miejsca we wnęce okiennej na piętrze, skąd był widok na dziedziniec zamkowy.

– Źle się ubierasz, Marianno – powiedziała matka, oglądając ją krytycznie – masz przyciężką figurę Saarowów, powinnaś ją maskować...

Eliza nie miała przyciężkiej figury, przeciwnie, zbudowana była przepięknie, wiotka, długonoga, o delikatnych rysach twarzy i zadziwiająco bujnych włosach. Były naturalnie jasne, jakby świetliste, co sprawiało wrażenie, jakby Eliza nosiła nad głową aureolę. Więc czy to dziwne, że bracia Marianny ją pokochali? Dziwne było to, że w noc poślubną Eliza weszła tylko na chwilę do sypialni małżeńskiej, a potem zniknęła za innymi drzwiami. Marianna wiedziała, czyj to był pokój. I było jej żal tych trojga, łzy nabiegały pod powieki. Czekala w swojej wnęce, kiedy bratowa stamtąd wyjdzie, ale ona została do rana, a Marianna do rana warowała na schodach, sama nie wiedząc po co. Żeby ich wszystkich ostrzec? Przed kim? Powinna ich była ostrzec przed nimi samymi... Pomyślała o tym, kiedy błądziły w podziemiach zamku, uciekając przed Rosjanami, a Eliza coraz bardziej zwalniała kroku, w końcu przystanęła i przytrzymując rękoma brzuch, powiedziała z wysiłkiem: – Chyba będę rodzić... Była z nimi pokojówka Elizy. Za jedyne oświetlenie służyła im karbidowa latarenka, z którą chodziło się do obory, gdyby nagle zgasła, znalazłyby się w ciemnościach.

Polka wybuchnęła płaczem.

– Wracajmy na górę, co tutaj poczniemy... tam chociaż są jakieś kobiety, wiedzą, co i jak... a my nic nie wiemy.

– Ty możesz sobie wracać, ciebie najwyżej zgwałcą. Nas zabiją! – powiedziała lodowato.

Dziewczyna wybałuszyła na nią oczy.

– Mówią, że Ruskie lubią dzieci, ciężarnej nie ruszą.

Marianna roześmiała się.

– Tą ciężarną jest hrabina von Saarow, a dla nich ktoś taki nie ma prawa do życia.

Eliza przerwała tę wymianę zdań, uważając, że pokojówka powinna wrócić na górę dla własnego bezpieczeństwa. Tutaj w każdej chwili mogli je odkryć czerwonooarmiści, wszędzie poszukujący wódki.

– Ja swojej pani nie opuszczę! – zaprotestowała Polka. – Będę warowała jak pies, do końca, przy pani nogach!

– Genusiu, co ty wygadujesz! – zachnęła się bratowa. – Musimy gdzieś lepiej się ukryć...

Pokojówka bardzo się męczyła, żeby coś wymyślić, i jak się okazało, nie na darmo. Zaproponowała, aby przekraść się do kościoła, do krypty.

– Wódki w trumnach szukać nie będą!

Bocznymi drzwiami wydostały się z zamku i ruszyły przez tonący w ciemnościach park w stronę muru, za którym usytuowany był kościół.

– Żeby tylko furtka była otwarta – modliła się Polka.

Była otwarta, tak jak drzwi do kościoła. Przeszły przez prezbiterium i odnalazły za ołtarzem płytę w kamiennej posadzce. We dwie z Marianną próbowały ją odsunąć, Eliza stała z boku, przytrzymując oburącz brzuch.

– Żeby czymś to podważyć – wystękała pokojówka, czerwona na twarzy z wysiłku.

Wzrok dziewczyny padł na stojący na ołtarzu żelazny krucyfiks, przeżegnała się i wzięła go do ręki. Pomysł okazał się dobry, w szczelinę, która się utworzyła, można było wsunąć dłonie. Z nadludzkim wysiłkiem dźwignęły wreszcie płytę, mocowały się z nią chwilę, zanim udało się ją całkiem odsunąć. Pomogły teraz Elizie zejść po stromych kamiennych schodkach. Nagle zniknęły podziały obowiązujące tam na górze, wszystkie trzy były teraz tylko wystraszonymi młodzietkami dziewczynami, które walczyły o życie.

Zapaliły karbidówkę, wąty płomyk oświetlił wnętrze krypty, łukowate sklepienia z czerwonej cegły i kamienne katafalki, na których ustawione były trumny. Przymocowane do nich mosiężne, porzewiałe tabliczki miały zatarte napisy. Marianna wiedziała jednak, że znajdują się w nich szczątki jej przodków, także praprababki Marianny von Saarow, po której nosiła imię. Jej portret wisiał w sali balowej na zamku. Wiadomość o nadejściu Rosjan była tak nieoczekiwana, że niczego ze sobą nie zabrały, w ostatniej chwili pokojówka złapała grubą wełnianą pled, na którym Eliza mogła się teraz położyć. Rozwarła nogi i wkrótce urodziło się dziecko. Tak szybko. I tak cicho.

– Dziewczynka! – zawołała Polka, echo głucho poniosło jej głos po krypcie.

*Ein Mädchen! Ein Mädchen!*

Trzeba przyznać, że ta prosta dziewczyna poradziła sobie z przecięciem i zawiązaniem pepowiny. Widząc w jej ręku kuchenny nóż, Marianna zamarła na chwilę, przebiegło jej nawet przez myśl, że postanowiła dziecko zabić. Nie miały w co go zawinać, zdjęła więc koszulę. Polka wytarła noworodka, był cały umazany krwią, i podała matce. Eliza położyła go sobie na piersi. Cienie przesuwają się po jej wycieńczonej twarzy. Marianna pomyślała, że nigdy nie zapomni jej wyrazu. A dziecko... urodzone na grobach własnych przodków... było to tragiczne i wzniosłe zarazem.

W pewnej chwili posłyszały jakiś rumor na górze, a potem zgrzyt odsuwanej płyty. Nie miały już dokąd uciekać, nie było stąd innego wyjścia. Pomogły Elizie wstać i wycofały się na sam koniec krypty, ukrywając się za ostatnim z katafalków. Do krypty zeszło kilku Rosjan, ich wojskowe buty robiły wiele hałasu. Marianna nie rozumiała, o czym mówią, ale na pewno byli pijani. Czowała bicie własnego serca, mocne, bolesne uderzenia o żebra, jakby nagle w piersiach zrobiło się za mało miejsca. Wydawało się, że to ich ostatnie chwile. Bała się, że dziecko zacznie płakać i Rosjanie odkryją ich obecność. To by oznaczało tylko przyspieszenie egzekucji. Co oni z nimi zrobią, zanim je zabiją... Ta myśl bardziej ją przerażała niż myśl o śmierci. Polka miała nóż, mogłaby wbić go sobie w serce...

Nagle ogłuszył ją jakiś dźwięk, jakby sklepienie krypty miało się zawalić. Skuliła się, osłaniając rękami głowę, potem dotarło do niej, że to seria z pepeszy. Jedna, druga... Rosjanie strzelali do trumien.

– Szukają złota – zaszeptała Genusia – nic o nas nie wiedzą.

Sołdaci dotarli do połowy krypty, klnąc głośno i złorzecząc, rozczarowani, że w trumnach nie było kosztowności. Nie wiedzieli, że wszystkie precjoza przechowywano na zamku, zgodnie z wolą ich właścicieli. Zabytkowe łańcuchy, bransolety, naszyjniki i pierścienie spoczywały w wyściełanych aksamitem szkatułach z dala od tych, którzy je za życia nosili. Intruzi zniechęcili się



w końcu i wynieśli, nie zasuważąc za sobą płyty, otwór wejściowy jasno zaznaczał się wśród ciemności, a więc tam, na zewnątrz, już był świt.

Tutaj też już był ranek. A ona, stara i chora, nie miała sił, by podnieść się z łóżka. Jej ziemskie życie dobiegało kresu...

Do pokoju weszła siostra Berta, która przejęła teraz część obowiązków Marianny. Zdawała jednak relacje z tego, co się działo w misji i poza nią.

– Wszystko w porządku?

– W porządku. Tak jak zarządziłaś, matko...

– To dobrze, dobrze, że sobie umiesz poradzić. Wkrótce zostaniecie tu same...

Berta zawahała się, widać było, że ma jakąś sprawę.

– O co chodzi?

– Ten mężczyzna... Czy matka zechce go jeszcze widzieć? Bardzo mu na tym zależy.

Musiały postanowić, co dalej, w krypcie nie mogły zostać, nawet pośród umarłych nie było bezpiecznie, bo mogli przyjść następni poszukiwacze złota. Marianna obeszła katafalki, boki trumien były przestrelone w dwu miejscach, na wysokości szyi zmarłych i ich złożonych rąk, potrzaskane wieka leżały na podłodze. Widziała obnażone, zmumifikowane zwłoki swoich krewnych. Było w tym coś bezwstydnego, jakby zawinili nie napastnicy, lecz ich martwe ofiary. Twarze obciążone pergaminową skórą, beznose, z zapadniętymi oczodołami...

Uradziły, że Polka pójdzie wy badać sytuację, wróci tutaj i wtedy podejmą jakąś decyzję. Po jej odejściu Marianna położyła się na kocu obok Elizy i jej nowo narodzonego dziecka, przytuliła się policzkiem do ramienia bratowej i czując jego ciepło, niemal natychmiast zasnęła. Nie wie, jak długo spała. Kiedy otworzyła oczy, dziewczyna była już z powrotem. Okazało się, że Rosjan nie ma na zamku, odeszli wcześniej rano.

– Co z moim teściem? – spytała Eliza.

Ojciec nie chciał się ukryć, postanowił powitać zwycięzców na progu swojego domu. Prosiły go, błagały, ale się uparł. A przecież on był w największym niebezpieczeństwie. Dochodziły wieści, że Rosjanie rozstrzelali właścicieli majątków i „dobrze urodzonych” w pierwszej kolejności.

– Jeśli zginę, to trudno – powiedział.

Teraz patrzyły w napięciu na twarz dziewczyny, co im odpowie. Ale ona milczała.

– Gdzie jest graf von Saarow? – powtórzyła ostro Eliza.

– Jest... w zamku... – głos Polki brzmiał niepewnie.

– Powiedziałaś, że tu się ukryliśmy?

– N... nie... nic nie mówiłam...

Eliza była coraz bardziej zniecierpliwiona dziwnym zachowaniem pokojówki.

– Dlaczego? Pewnie się niepokoi. Uważasz, że możemy wrócić na górę, że nic nam nie grozi?

Genusia wybuchnęła płaczem.

– Ja nie wiem! Ludzie są ogłupiali... oni też nic nie wiedzą...

– A co mówi pan hrabia?

– Nic nie mówi... nie żyje...

Patrzyły na nią w osłupieniu.

– Rozstrzelali go? – spytała w końcu Eliza.

– Sam umarł... weszł do zbroi w holu, a rano, jak Ruskie poszli, pan Barts tam zajrzał... i pan hrabia już był sztywny...

– Ukrywał się?

– Nie, żołdacy kazali mu tam wejść!

– Ale dlaczego? – głos Elizy drżał.

Dziewczyna pociągnęła nosem.

– A skąd ja mogę wiedzieć, ja jestem tylko głupia Polka!

Otworzyła oczy i stwierdziła, że Berta ciągle jest w pokoju, a nawet stoi w tym samym miejscu.

– Zasnęłam? – spytała zdumiona.

– Przymknęła matka oczy, więc nie chciałam przeszkadzać...

– Byłaś tu cały czas?

Siostra przytaknęła głową.

– A o co to mnie pytałaś?

– Ten przybysz... z Niemiec... Czy matka coś w jego sprawie postanowiła?

Znowu przymknęła powieki, chwilę się zastanawiając.

– Powiedz mu... powiedz, aby był cierpliwy.

Z trudem znosiła porę deszczową, szczególnie teraz, w Afryce nic nie ma umiaru, ani ludzie, ani przyroda. Jak jest susza, wszystko wypala niczym ogniem, jak pada, to już pada. Skończył się kurz wciskający się każdą szparą, drażniący oczy i gardło, zaczęło się błocko. Kiedyś była to tylko niedogodność, błoto wносиło się na butach do środka, teraz dokuczała jej wilgoć. Najbardziej nocą, kiedy temperatura na dworze się obniża. Miała wrażenie, że wszystko jest wilgotne: pościel, ubranie, dodatkowe koce, którymi siostry ją przykrywały. I tak będzie do maja, którego z pewnością nie dożyje. Myślała o tym ze spokojem. Po wizycie doktora Murneya, który przywiózł wyniki ostatnich badań, miała już całkowitą jasność, co ją czeka.

– Ile mi pozostało, doktorze?

Milczał.

– Chciałabym wiedzieć.

– Nikt tego nie wie na pewno, miesiąc, pół roku... Byłoby najsmardziej, gdyby wróciła matka do domu.

Pokręciła przecząco głową.

– Powtarzam, mogłaby matka sobie przedłużyć życie.

– Za późno na to, a poza tym nigdy nie umiałam żyć w tamtym świecie...

Patrzył na nią uważnie, w jego oczach widziała całkowity brak zrozumienia dla swojej decyzji pozostania tutaj do końca. Od dnia, kiedy ujawniła się jej choroba, czyli od mniej więcej roku, gorąco namawiał ją do wyjazdu i podjęcia leczenia. Ilekroć się widzieli, doktor nieustannie jej to doradzał. Dwa razy mu uległa i zgodziła się na transfuzję krwi. Wiązało się to z pobytem w szpitalu w Lubumbaszi. Po takim zabiegu czuła się rzeczywiście lepiej, niestety nie trwało to długo, nowej krwi starczało na kilka zaledwie tygodni, potem choroba atakowała ją z powrotem, traciła siły, ostatnio nie wstawiała już z łóżka.

– Co tu matkę trzyma? – nie mógł zrozumieć doktor. – Matka już swoją misję wypełniła, Afryka zabrała matce zdrowie i siły, niech teraz przyjdzie ktoś inny.

Uśmiechała się na to.

– Afryka stała się moim prawdziwym życiem, opuszczając ją, musiałabym rozstać się z samą sobą, a jestem do siebie bardzo przywiązana.

Doktor nerwowo wymachiwał rękami.

– Ale to rodzaj samobójstwa, a religia matce tego zabrania!

– Bóg, w którego wierzę, jest bardzo tolerancyjny.

– Nie jest nim Jezus Chrystus? – spytał zdumiony tym wyznaniem.

Jak wyglądała sytuacja, pokojówka Elizy nie umiała powiedzieć, wiedziała tylko tyle, że Rosjan na zamku nie było. Czy odeszli na dobre z Saarow, nie wiadomo. Aby się przekonać, należało to sprawdzić.

– Ja pójdę – powiedziała Marianna.

Przemierzyła pusty kościół i z uczuciem wewnętrznego zimna pchnęła ciężkie wejściowe drzwi. Ta noc w krypcie coś w niej zmieniła, tak jakby ktoś ją od środka zabalsamował, jakby wszystko w niej, płuca, serce, należało do obcej osoby. Czy to był strach? I czego się lękała? Czy bała się pijanych, obcych żołnierzy, których nawet nie widziała na oczy, dobiegały do niej tylko strzępy

rozmów w niezrozumiałym języku, pijacki bełkot, śmiech. Ale być może właśnie to, że ich nie widziała, było najgorsze, bo od tamtej nocy nie obawiała się napastników, Rosjan czy innych, bała się mężczyzn...

Przez furtkę w murze dostała się do parku i weszła do zamku od tyłu, kuchennymi drzwiami. Pierwszą osobą, na którą się natknęła, był kamerdyner Barts. W pierwszej chwili go nie poznała, nosił cywilne ubranie i zachowywał się inaczej niż zwykle. Do tej pory miał w sobie coś usłużnego, pochylenie pleców, sposób trzymania głowy wskazywały, kim był na zamku, teraz stał przed nią wyprostowany, z dziwnym wyrazem twarzy.

- Co się dzieje, Barts? – spytała.
- A co się ma dziać. Hitler *kaputt*, panno hrabianko.
- Czy Rosjanie są w Saarow?
- Wojsko odeszło, ale władze wojskowe pozostały.
- Patrzyła na niego, nie rozumiejąc.
- Są już jakieś władze?
- Jak najbardziej, panno hrabianko.
- W Saarow?
- Nie, w Zelden, w dawnej siedzibie gestapo.

Barts niemal przewiercał ją wzrokiem. Miała wielką ochotę dać mu po pysku, zamiast tego stała przed nim, zadając lękliwe pytania.

- Myśli Barts, że możemy wrócić do domu? Czy przedtem spytać o pozwolenie tego komendanta? Czy to jest wojskowy?
- Major Armii Czerwonej.
- Chyba raczej NKWD?
- Mówią, że Armii Czerwonej.

Nie dowiedziała się niczego ponad to, co już wiedziała od pokojówki Elizy, i wyglądało, że ta kreatura stojąca przed nią nic nowego jej nie powie.

- Gdzie ciało mojego ojca? – spytała twardo.
- W tym momencie twarz kamerdynera się zmieniła, pojawił się na niej bardziej ludzki wyraz.
- Na dole, w dużej sali – odpowiedział.

Vaclav opuścił pokój matki Elżbiety z mieszanymi uczuciami. Właściwie nie bardzo wiedział, z kim rozmawia. Słyszał głos. Cichy głos nie wyrażający żadnych uczuć. Głos zakomunikował mu, że jest tu osobą niepożądaną, kimś, kto niepotrzebnie wprowadza niepokój. Siostra Berta spytała, czy ma go odwiedzić do domu, odparł, że wróci piechotą. Nie miał się po co śpieszyć, o tej porze nikogo z misjonarzy nie było, pracowali w terenie, a ojciec Josef przez cały ten tydzień wykladał w seminarium oddalonym o kilkanaście kilometrów. Nie wracał nawet na noc. Pozostawiono go samemu sobie, mała A-isza też gdzieś zniknęła, a kiedy spytał o nią, odpowiadano, że przygotowuje się do Pierwszej Komunii i uczy się pilnie boskich przykazań. Trochę go to zdziwiło, bo sądził, że tak jak matka Elżbieta, jest protestantką. I tu spotkała go niespodzianka. Okazało się, iż misja Serca Jezusowego to misja katolicka!

Ucieszył się, rozpoznając przed sobą jednego z misjonarzy. Brat Roger był Francuzem i przebywał tutaj na tyle krótko, by wczuć się w sytuację przybysza z cywilizowanego świata. Miał ładną, prawie dziewczęcą twarz, szpeciły ją jednak czerwone wykwity na skórze, w niektórych miejscach podchodzące ropą.

– Patrzy pan na moją facjatę? – spytał, dotykając dłonią policzka. – To te piekielne muszki... człowiek się drapie, robi się liszaj... Wie pan, wchodzą pod skórę, gołym okiem ich się nie dojrzy, a nosić mikroskop niewygodnie!

Mijali właśnie dwoje Afrykańczyków, mężczyznę i kobietę w nieokreślonym wieku, raczej starszych niż młodszych, niosących w rękach motyki, a na głowach odwrócone do góry nogami krzesła.

– Okradli po drodze czyjeś mieszkanie? – zainteresował się Vaclav.

Brat Roger przystanął i zagadnął wieśniaków po francusku, gdzie to się wybierają. Odpowiedzieli, że przygotowują pole pod zasiew kukurydzy.

– A po co wam krzesła?

– Muzungu – odpowiedziała kobieta – jesteś taki mądry, z białego świata przyjechałeś, a nie wiesz? A po co są krzesła, do siedzenia!

Zakonnik puścił oko do Vaclawa.

– Ale wy przecież nie idziecie na pole siedzieć, tylko pracować.

– Jak się pracuje, trzeba potem odpocząć – odpowiedziała chytrze kobieta – i na czym się wtedy usiądzie?

Nie można było nie przyznać jej racji.

Spytał brata Rogera, jak znosi pobyt w tak odmiennych warunkach, z dala od rodziny i przyjaciół.

– Ciężko jest, ale jak się służy Panu, nie wolno o tym myśleć – użył argumentu religijnego. – A pan, jak pan to widzi?

– Jakbym opuścił krainę dorosłych i znalazł się w krainie dzieci – odparł szczerze.

Zakonnik uśmiechnął się.

– Ale te dzieci potrafią być czasami bardzo okrutne!

Wiedziała jedno, że nie może pozostawić Elizy i jej dziecka w krypcie, musi je obie dokądś zabrać. To był ten moment, kiedy Marianna przejęła rolę osoby podejmującej decyzje, do tej pory była nią Eliza, zbyt słaba teraz, aby móc decydować o czymkolwiek. Skoro wojsko odeszło, a na miejscu pozostały jakieś władze, mogło to oznaczać tylko jedno, że rozpoczęła się nowa okupacja. Po Polakach nastali Rosjanie. Co prawda nie było do końca jasne, jak traktować okres wojny na Pomorzu. Czy to było wyzwolenie ojczyzny? Ojciec łudził się, że po zwycięstwie Hitlera odsunie się go od władzy. Był przecież parweniusem. Nie dożył tej chwili. Rosjanie pojawili się szybciej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. W odwecie zabijali, gwałcili, jak prawdziwi barbarzyńcy. Ale to byli prości żołnierze, tłuszcza, być może ich przełożeni okażą się bardziej ucywilizowani. Chyba niemożliwe, żeby jakiś major rzucał się na kobiety... Teraz należało przejąć sprawy we własne ręce i starać się przetrwać do czasu, aż sytuacja się wyjaśni. Jedynym rozsądnym wyjściem był powrót na zamek, co też zakomunikowała oczekującym w podziemiach kościoła kobietom.

Eliza popatrzyła na nią z przestrachem.

– Przecież mogą nas w każdej chwili zabić. Mogą zabić dziecko.

– A jak chcesz żyć na grobach? – odpowiedziała na to.

To trafiło Elizie do przekonania. Zaczekały do zmroku, a potem zawinęły dziecko w koc i ruszyły znajomą drogą przez park. Zamek był ciemny, w żadnym z okien nie paliło się światło. Wyglądał teraz jak czarna niekształtna bryła. Kiedy podeszły bliżej, zobaczyły, że wszystkie drzwi są pootwierane. W holu leżało pełno szkła z roztrzaskanych szyb, nie wiadomo, czy ktoś je powybił, czy to sprawa przeciągów. Panował ogólny nieład, porzbijane naczynia, wyrzucone z szaf i szuflad ubrania, książki z biblioteki ojca, cenne starodruki walające się na podłodze. W świetle latarki robiło to szczególnie przygnębiające wrażenie.

– Kto to wszystko posprząta – wyszeptła ze zgrozą pokojówka Elizy, jakby to w tej chwili było najważniejsze.

Wydawało się, że nikogo poza nimi na zamku nie ma. To, co było do wyniesienia, widocznie zostało już wyniesione. Ciekawe, czy służba, czy kamerdyner Barts brali w tym udział. Kiedy z nim rano rozmawiała, nie było jeszcze takich zniszczeń.

W kuchni pokojówka rozpałała pod płytą i nastawiła wodę w dużym garnku, nie było elektryczności, możliwe, że uszkodzono przewody. Marianna przyniosła z holu świecznik, który pogięty leżał na posadzce. Obok niego zobaczyła pusty kadłub zbroi. Była niekompletna, brakowało przedniej części, napierśnika pokrytego złotą łuską i hełmu. Nie wiedziała, gdzie jest

ciało ojca, czy nadal znajduje się w salonie. Stała przed zamkniętymi drzwiami. Stała tak już tutaj rano i wtedy też nie miała odwagi wejść. Wreszcie nacisnęła klamkę. Posuwała się wolno do przodu, światło latarki po kolei wylawiało z mroku sprzęty, pośrodku podłużny stół, przy którym zasiadano w czasie rodzinnych uroczystości i świąt. Nakryty był czerwonym aksamitnym materiałem. Na nim rozpoznała sylwetkę ojca. Z mroku wyłoniły się najpierw nieruchome nogi w ciemnych półbutach, skrzyżowane na piersi ręce, a potem twarz; pomiędzy krzaczastymi, siwymi brwiami zastygła głęboka zmarszczka.

Wróciła do kuchni, nie bardzo wiedząc, jak powiedzieć, że zwłoki ojca są tutaj, na zamku. Eliza, zajęta dzieckiem, nie spytała o to. Razem z pokojówką przygotowywała w emaliowanej misce kąpiel dla swojej córeczki.

– Do kogo ona podobna – zastanawiała się Genusia, zawijając dziewczynkę w czyste prześcieradło.

Lepiej się nad tym nie zastanawiać, pomyślała wtedy, ale musiała podjąć decyzję, jakie imię ojca wpisać do kościelnych ksiąg. „Ulrich?” – spytał pastor, a ona potwierdziła skinieniem głowy, chociaż wystarczyło porównać datę jego śmierci z datą narodzin małej Julii, aby stwierdzić, że nie było to możliwe.

Jaki był jej stosunek do tego trójkąta? Jaki był jej stosunek do Elizy, sprawczyni rodzinnego dramatu? Wiadomo było, że Ulrich sam się zgłosił na front wschodni. A tamci dwoje tacy byli szczęśliwi...

Eliza nie mogła sobie znaleźć miejsca. Wolno płynący do tej pory czas zaczął nagle wirować niczym koło młyńskie, które jeśli się na dobre rozkręci, trudno zatrzymać. Fakty z przeszłości poczynały ją przygniatać, odczuwała to niemal fizycznie, chwilami trudno jej było oddychać. „Potem przyszła hrabianka Marianna i zabrała dziecko”... A więc Marianna odnalazła Julię... ale z jakichś powodów nie potrafiła jej ocalić. I postanowiła milczeć. Jakie to było głupie. Stały naprzeciw siebie dwie dumne kobiety i ta duma żadnej z nich nie pozwalała otworzyć ust.

Trzeba było zaryzykować i pojechać do Afryki, ale skąd mogła wiedzieć, jakiego rodzaju spowiedź szykuje dla niej matka Elżbieta. Sądziła, że będzie musiała wysłuchać długiej historii nieudanego życia. Dla czegoś takiego nie warto było ryzykować licznych niewygód podróży. Teraz Marianna być może opowie, co się wtedy wydarzyło, ale Eliza nie będzie jej mogła zadać żadnego pytania. Nie będzie jej mogła zadać najważniejszego pytania: dlaczego zataiła prawdę? Bo jej milczenie wtedy w Berlinie było niczym innym jak zatajeniem, przestępstwem wobec matki, która czekała na swoje dziecko. Jak się chce teraz z tego wy tłumaczyć?

Powinna była już dostać jakąś wiadomość od sekretarza, minęły trzy tygodnie i cisza. Listy stamtąd długo idą, ale prosiła Vaclava, aby telegrafował, przecież musi być tam w okolicy jakiś urząd pocztowy... Może wysłać telegram? Podniosła słuchawkę i spytała, czy może nadać wiadomość do Zairu. Odpowiedziano jej, że bez gwarancji. Jak wszystko w życiu, pomyślała z melancholią i podyktowała telefonistce tekst depezy:

*Czekam na wiadomości. Kiedy powrót? Eliza von Saarow.*

Minął kolejny tydzień, odpowiedzi nie było. Starła się dowiedzieć, czy telegram dotarł do adresata, przeprowadziła całe śledztwo, z którego wyniknęło tylko tyle, iż wiadomość została przekazana do Kinszasy. Nie chciała po raz drugi korzystać z uprzejmości sąsiadki zza ściany, której syn pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i już raz ułatwił jej kontakt ze szwagierką. Ale tak naprawdę nie wiedziała, czy wiadomość o przyjeździe jej sekretarza dotarła do misji, czy też biedny Vaclav musiał sobie radzić sam. Miała z tego powodu wyrzuty sumienia. Co teraz robić... A może zwrócić się do tego ostatniego, adoptowanego kilka lat temu syna? Z tego, co pamięta, miał jakieś kontakty handlowe z Afryką. No tak, ale jak to wykonać? To było o wiele trudniejsze niż prośba skierowana do obcej osoby. Z uczuciem niesmaku podniosła słuchawkę. Postanowiła zadzwonić do biura, bo z dwojga złego wolała natknąć się na jego sekretarkę niż na żonę, która mogłaby ją tytułować na przykład „drogą mamusią”.

– Tu Eliza von Saarow, czy mogłabym rozmawiać z... panem von Saarow?  
– Chwileczkę – odpowiedziała sekretarka, a zaraz potem Eliza usłyszała uradowany głos „syna”.  
– Co za miła niespodzianka. Jak się mama czuje, jak zdrowie?  
– Czuję się dobrze – odrzekła chłodno – ale... mam prośbę.  
– Wszystko, co mama rozkaże.  
– Wysłałam swojego sekretarza w pewnej sprawie do Zairu i mam teraz trudności z nawiązaniem z nim kontaktu. Telegram dotarł tylko do Kinszasy, dalsze jego losy nie są znane.  
– A w jakiej części Zairu jest on teraz?  
– Tego nie wiem, miejscowość nosi nazwę Kolwezi, a dosyć blisko jest jakieś Lubumbaszi.  
– Blisko jak blisko – roześmiał się „syn” – ponad trzysta kilometrów.  
– Widzę, że dobrze trafiłam – odrzekła zaskoczona precyzją odpowiedzi.  
– Dobrze mama trafiła nie tylko w tej sprawie – odrzekł z nutą kokieterii w głosie, co ją natychmiast przywołało do porządku. Nic ponad to, co konieczne. Nie wdawać się w zbyt osobiste rozmowy. – Na telegramy bym nie liczył, ale w przyszłym tygodniu ktoś od nas leci do Zairu, postaram się, aby się skontaktował z tym sekretarzem... Tylko muszę znać bliższe szczegóły. Uważam, że powinniśmy to omówić osobiście.

Chce się spotkać, pomyślała w popłochu, tylko nie to... Może udać jakąś niedyspozycję, przeziębienie? Ale wtedy on zechce przyjechać tutaj, a to byłoby jeszcze gorsze...

– Niewiele wiem na temat tej podróży – zaczęła z nadzieją, że uda jej się jakoś wykręcić – kilka szczegółów, to jest misja w Kolwezi...

– Jeśli mam naprawdę pomóc, musimy się spotkać – usłyszała w odpowiedzi. – Może przyjechałbym po mamę na przykład w sobotę i zabrał ją do nas? Pozna mama wreszcie swoje wnuki... One są bardzo mamy ciekawe...

– Nie, nie... może innym razem, teraz muszę się zająć tą afrykańską sprawą... – odrzekła w panice. – Jak się to szczęśliwie zakończy... Proponuję kawiarnię.

Wszystko przez Mariannę, która nagle sobie o niej przypomniała. Skąd znała adres, skąd wiedziała, gdzie Eliza przebywa? I co teraz? Spotkać się z tym człowiekiem? Ale to by oznaczało, że poprzednia umowa przestaje obowiązywać. Żadnych osobistych kontaktów, bez względu na okoliczności. Sprawy wymagające wyjaśnienia załatwiać listownie. To był pierwszy warunek rodzinnego kontraktu, który postawiła, i teraz sama go nie dotrzymała. Jak się wycofać? Umówiła się z tym człowiekiem jutro o drugiej po południu. Odwołać to? To byłoby jeszcze bardziej niezręczne. Zastrzec, że ich spotkanie ma charakter wyjątkowy? Może poradzić się Kirchhoffa? To jego kancelaria załatwiała wszystkie formalności adopcyjne. Poza tym znali się od tak dawna... Mój Boże, to naprawdę było tak dawno, niemal w prehistorycznych czasach, miała wtedy niepełne dwadzieścia pięć lat, on był trochę starszy. Odbывał aplikację u Martina von Boerke, adwokackiej sławy. To właśnie przez Heinricha Kirchhoffa poznała Martina, który zaproponował jej posadę sekretarki. Wpadła mu w oko, z dnia na dzień zwolnił poprzednią pracownicę. Wiedziała, że będzie musiała za to zapłacić, że w świecie, w którym się znalazła, nikt nic nie daje za darmo, ale przystała na to. I kiedy nowy szef oświadczył, że chciałby jej w godzinach wieczornych podyktować ważne pismo, kupiła sobie nową bieliznę.

Zadzwoiła do Kirchhoffa.

– Tu Eliza Saarow.

– Witaj, miłości moja utracona!

– Och, zważywszy na to, jak teraz wyglądam, nie masz czego żałować.

– Zawsze będę żałował straconych szans. I przygnam, jak mnie tylko wezwiesz.

– Aż tyle nie wymagam, potrzebuję rady.

W słuchawce odezwało się westchnienie.

– Trudno, zamieniam się w słuch.

Teraz ona westchnęła.

– Zaplątałam się, Heini. Wiesz, chodzi o tę adoptowaną rodzinę...

– Niepokoją cię?

– Nieopatrznie zwróciłam się do ostatniego syna, telefonicznie, a ponieważ mieszka w Monachium, poprosił o spotkanie.

– Nie mogłaś wybrać tego z Hamburga?

– Nie, bo chodziło o konkretną sprawę, ale nie wiem, czy warta jest utraty mojego spokoju.

– Sama to musisz ocenić, *mon cheri*.

– Od paru tygodni żyję... – zastanowiła się, jak określić swój obecny stan ducha, i nie znalazła słów – mniejsza z tym... Umówiłam się na jutro i nie wiem, czym to się dla mnie skończy. On beczelnie mówi do mnie „mamo”. Wyobrażasz sobie? Za grosz taktu...

– A gdzie się umówiłaś?

– W kawiarni.

– Pewnie jak zwykle u Arzmillera?

– Właśnie tam.

– No to wypijesz swoją słynną kawę ze śmietanką i wrócisz do pensjonatu. Eliza znowu westchnęła.

– Boję się, żeby to nie był jakiś precedens. On już napomknął o wnuczkach i o tym, że chcą mnie poznać. Kompletny brak taktu!

– Raczej kompleksy nuworysza, *mon cheri*, twoja osoba bardzo go uwiarogodni w oczach otoczenia, przecież do niedawna wszyscy go znali jako Marcusa Ketke.

Odczuła przykrość po tych słowach.

– Ja bym się tak tym nie przejmował, jeśli on jest w stanie ci pomóc, przyjmij tę pomoc i zapomnij o tym. A jak zatelefonuje albo cię nawet odwiedzi, strasznego nieszczęścia nie będzie.

– Dobrze ci mówić, nie masz sześciu adoptowanych synów.

– W ogóle nie mam dzieci, *mon cheri*, nie chciałaś mnie, więc zostałem starym kawalerem.

– I źle na tym nie wyszedłeś, Heini, przynajmniej nie masz teraz przy sobie starej, zrządzącej baby.

– Ty, *mon cheri*, zawsze będziesz dla mnie olśniewająco piękną kobietą! Nigdy nie zapomnę tego dnia, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem. Pamiętasz, gdzie to było?

– W kasynie przy Möhlstrasse?

– Tak, siedziałaś z tym podgolonym Jankesem.

– Z moim Johnnie... uratował mnie od śmierci głodowej!

– Nie bezinteresownie.

Roześmiała się.

– On mi się naprawdę podobał. Wymyśl coś, jak wybrnąć teraz z tej sytuacji.

W słuchawce zapanowała cisza, a potem odezwał się głos Kirchhoffa, który brzmiał już inaczej.

– A czy nie byłoby lepiej, gdybyś nawiązała kontakty z tą nową rodziną? Jesteś zupełnie sama, a oni, jak widać, się poczuwają...

– Co ty opowiadasz – oburzyła się – to nie jest żadna moja nowa rodzina, nie można mieć nowej rodziny, można mieć tylko starą albo żadnej! To była czysta transakcja, coś za coś, nazwisko za pieniądze. Koniec. Palnęłam głupstwo, dzwoniąc do niego, stara sklerotyczka ze mnie! Z punktu widzenia prawa co to oznacza, że umowa pisemna przestaje obowiązywać?

– Nie, Elizo, ten zapis działa w dwie strony, gdyby temu panu było nie na rękę się z tobą spotkać, mógłby po prostu odmówić. I ty możesz odmówić w przyszłości.

Odetchnęła z ulgą.

– Przyjdź w niedzielę na podwieczorek – zaproponowała łaskawie – poproszę, aby kucharka upiekła twój ulubiony strudel jabłkowy...

Zanim Berta zdołała otworzyć usta, Marianna już wiedziała, że coś niedobrego wydarzyło się w misji. Poznała to po sposobie, w jaki siostra weszła do pokoju. Kiedy nie potrafiła sobie z czymś poradzić, zmieniał jej się chód, stawiała mniejsze kroki.

- Więc co się stało? – spytała.
- Nic... nic takiego... tylko musiałyśmy odizolować A-iszę od innych dzieci.
- Dlaczego?
- Babka ją odwiedziła, po tych odwiedzinach mała leży i przewraca oczami.
- Może jest chora?

Siostra potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, to znowu te czary.

Dobrze wiedziała, ale wolała nie wypowiadać tego głośno, kiedy już jednak zostało wypowiedziane, coś trzeba było postanowić.

- Przyprowadźcie ją do mnie.

Berta rozłożyła bezradnie ręce.

- Jak? Na nic nie reaguje, jakby nagle ogłuchła.

- To ją przynieście – zniecierpliwiła się.

Po jakimś czasie dwie siostry przytасzczyły dziewczynkę. Była sztywna, jakby właśnie wyrąbano ją z taflı lodu. Zakonnice ostrożnie ułożyły A-iszę na podłodze.

- Wyjdźcie – zakomenderowała – zostawcie nas same.

Kiedy opuściły pokój, poczęła mówić do dziewczynki spokojnie, ale zarazem stanowczo:

– A-isza, pamiętam cię od twoich urodzin, co ty wyprawiasz? Proszę, żebyś wstała i podeszła do mnie.

Cisza.

- Ja mam wstać i podejść do ciebie? Wiesz, że jestem chora...

Z wysiłkiem uniosła się na łokciu, wtedy dziewczynka zerwała się na równe nogi i poczęła wykrzykiwać z płaczem:

- A-isza jest zła! Zła! Duchy każą wziąć nóż i zabić!

- Kogo każą zabić te złe duchy?

– Ciebie, matko, i wszystkie siostry! Duchy są w mojej ręce i chcą, żebym wzięła nóż! A-isza jest zła, zła – łkała dziewczynka. – Pan Jezus jej nie kocha i nie chce, aby do Niego przyszła.

Zbliżała się Pierwsza Komunia A-iszy, jej babka postanowiła do tego nie dopuścić. Już chrzest ciężko przeżyła, a teraz ostatecznie postanowiła ratować wnuczkę. Chciała przeciągnąć ją na swoją stronę, na stronę swoich bogów.

– Pan Jezus bardzo cię kocha i czeka na ciebie, ochroni cię przed złymi duchami. Wystarczy, że się przeżegnasz...

Dziewczynka trzęsała się, szcęką zębami, jakby jej było bardzo zimno.

– Umiesz się przeżegnać, prawda? – ciągnęła spokojnym głosem. – W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Ręka dziewczynki z wolna powędrowała do czoła, wykonała znak krzyża.

- Amen.

- Amen – powtórzyła mała. – Nie boisz się mnie, matko?

Dobrze znała babkę A-iszy i serce jej się ścisnęło na myśl, co jeszcze będzie musiała znieść dziewczynka, zanim uda się z niej zrobić chrześcijankę. Została ochrzczona, ale trudno byłoby ją uznać za katoliczkę. Dookoła chmarami krążyły bóstwa jej przodków...

– Nie boję się. I ty się nie musisz bać. Jak złe duchy się do ciebie zbliżą, znak krzyża je odpędzi, zawsze o tym pamiętaj.

Wiedziała, że nie powinna tego mówić. Powinna mówić, że żadnych złych duchów nie ma, że istnieje tylko Pan Bóg, Jego Syn, a naprawdę zły i podstępny jest Diabeł, który nie ma jednak nic wspólnego z afrykańskimi bożkami. Ale gdyby tak powiedziała, dziecko by jej nie uwierzyło. Pan Bóg musi więc jej wybaczyć ten kompromis.

- Wróć teraz do szkoły, masz jeszcze jakieś lekcje?

A-isza skinęła głową.

- Idź z Bogiem.



Kto to powiedział, że role się odwróciły? Teraz Polacy będą panami, a Niemcy niewolnikami... To powiedział nowo mianowany burmistrz Saarow, syn ich dawnego gorzelnianego. Przyszedł na zamek w asyście swoich podwładnych, nie znała ich, więc pewnie byli nie stąd, może z okolicy, a może przywędrowali ze Wschodu, burmistrz był jak najbardziej miejscowy. Zainteresował się, co z pogrzebem ojca.

- Pan Marszał robi trumnę – odparła niechętnie Marianna.
- Pochować bez rozgłosu – usłyszała. – Mówię to dla waszego dobra.
- Tak?
- Właśnie tak. Lepiej, jakbyście się wyniosły z zamku, żeby nie być na widoku.
- A dokąd się mamy wynieść?

Wzruszył ramionami. Był krępy, niski, miał mocno zaczerwienioną twarz z podskórnym trądzikiem. Szpetny jak nowa władza, przyszło jej na myśl.

– Chciałybyśmy dostawać przydział mleka na dziecko – rzekła ostro. – Wiem, że inne mieszkanki Saarow dostają...

Spojrzał na nią małymi, skośnymi oczkami, była w nich kpina.

- Inne mieszkanki to są Polki.
- My też mamy obywatelstwo polskie.

Roześmiał się.

– Ale bracia zginęli za ukochanego Führera. On też zdechł i już wam nie pomoże...

Poczuła, jak gniew podchodzi do gardła, jak ją niemal dusi. Pamiętam cię, bosz pasaleś krowy!, pomyślała, a powiedziała głośno:

- Dziecko jest zawsze tylko dzieckiem.
- Dla mnie polskie dziecko jest ważniejsze od niemieckiego – odrzekł wolno.
- Świetnie pan zaczyna urzędowanie, od wygłaszania rasistowskich poglądów.

Znowu się roześmiał.

– Nauczyłem się od was, Niemców.

Po co wdaję się z nim w rozmowy, pomyślała z uczuciem wszechogarniającego znużenia.

– Skoro pan odmawia, pójdę gdzie indziej. Wbrew pana życzeniom i my mamy prawo do życia. Gdzie urzęduje ten rosyjski naczelnik?

- Radziecki, nie rosyjski – poprawił ją – niedaleko, w Siodłoniach.
- Gdzie? – zdziwiła się, słysząc nic niemówiącą jej nazwę.
- W Zelden.

Eliza leżała w łóżku, zbyt słaba, by wstać. I ona, i jej córeczka bardzo chorowały, Eliza nabawiła się czerwonki, było z nią naprawdę źle, straciła pokarm. Genusia chodziła po ludziach w poszukiwaniu mleka i jakimś cudem je zdobywała, ale krowie mleko było za tłuste, dziecko dostało biegunki. Teraz już na szczęście było lepiej.

Za każdym razem, kiedy wchodziła do pokoju, przerażała ją bladość twarzy bratowej, skórę miała niemal przezroczystą, ręce pokrywała mapa niebieskich splątanych żyłek.

– Wiesz, kto jest teraz burmistrzem Saarow? – spytała ze złośliwym uśmiechem. – Syn naszego gorzelnianego! Ten krostowaty...

Na Elizie nie zrobiło to większego wrażenia.

– Według planu Stalina, władza w ręce ludu.

Pokręciła przecząco głową.

– Powstaje jakieś nowe Generalne Gubernatorstwo i obawiam się, że nasza sytuacja nie wygląda ciekawie.

Bratowa popatrzyła na nią z powagą.

– Nie mamy dokąd pójść, musimy znaleźć tutaj miejsce dla siebie. Zamku na pewno nie utrzymamy, trzeba się rozejrzeć za jakimś lokum.

– Burmistrz powiedział to samo.

– Czy da nam mieszkanie?

– Nie da, bo mieszkania są przede wszystkim dla Polaków, a nie muszę ci mówić, że chętnych jest więcej niż całych czterech kątów.

Eliza przymknęła oczy i wtuliła policzek w poduszkę, to była jej ucieczka. Marianna nie mogła sobie pozwolić na taki luksus, musiała walczyć o przetrwanie ich wszystkich. Na szczęście była zdrowa, jej jednej nie dopadła grasująca w okolicy czerwonka. Eliza zachorowała, zachorowała Genusia, a ona jakoś się trzymała. Teraz musiała się wybrać do Zelden, do tego komendanta.

Zamówiona taksówka punktualnie zajechała przed bramę pensjonatu. Nie było więc na co czekać, Eliza włożyła płaszcz, kapelusz; wychodząc, rozejrzała się po wnętrzu pokoju, jakby po powrocie miała go już nie zastać w tym stanie. Była pewna, że ten nieprzemyślany telefon będzie miał fatalny wpływ na jej obecne życie, ale nic nie mogła na to poradzić. Kiedy weszła do kawiarni, przyszywany syn już tam czekał. Na jej widok twarz mu się rozpromieniła, pomógł jej zdjąć płaszcz, a potem, ujawszy pod łokieć, prowadził przez salę do stolika.

– Świetnie mama wygląda – powiedział – żadnej zmiany od czasu, kiedy widzieliśmy się ostatni raz...

I pierwszy, dodała w myślach, wszystkie formalności adopcyjne załatwiał jej adwokat, on też ustalał warunki kontraktu, wysokość alimentów, jakie adoptowany syn zobowiązywał się wypłacać do jej śmierci. Raz jeden spotkali się w kancelarii Kirchhoffa, by złożyć w jego obecności podpisy na dokumencie. Elizę drażniło niepomierne to nazywanie „mama”, zabrakło jej jednak odwagi, by o tym powiedzieć wprost. Inni „synowie” byli pod tym względem bardziej taktowni, żaden nie pozwolił sobie na taką poufałość.

– Właśnie chciałem do mamy napisać, bo zaszło to i owo... a tu nagle ten telefon... prawdziwe zrządenie losu... – ciągnął obcy mężczyzna z wyraźnie zaznaczającą się łysiną i nalaną twarzą; najmniejszego podobieństwa do Saarowów, którzy byli wysocy i nie mieli skłonności do łysienia, jej teść do końca obdarzony był bujną, choć już siwą czupryną. – Bo niech sobie mama wyobrazi, wybrano mnie Honorowym Obywatelom Gminy Zarowo!

– Co proszę? – W pierwszej chwili wydało jej się, że się przesłyszała, a on ochoczo powtórzył.

– Tak, tak, to najprawdziwsza prawda, też byłem na początku zaskoczony, ale z drugiej strony, jakbym się tego trochę spodziewał, bo w końcu co nieco mi zawdzięczają...

Patrzyła na niego coraz bardziej zdumiona.

– A co pan... co ty masz wspólnego z gminą Zarowo?

– No – uczynił wymowny ruch ręką – to przecież dawne Saarow, a ja podpisuję się von Saarow. Nie widzi mama zbieżności?

Tę jedną jedyłą, pomyślała.

– I dlatego, że podpisujesz się von Saarow, przyznano ci honorowe obywatelstwo w innym kraju?

– No, niezupełnie – mężczyzna z rozmachem palnął się w kolano. – Przyczyniłem się do odrestaurowania zamku, nie mówię, że wszystkie pieniądze były moje, dali też sporo Polacy, ale ja nie skąpiłem kiesy. W czterdziestym piątym Rosjanie zamku nie spalili, komuniści za nich dokończyli dzieła zniszczenia, to była kompletna ruina, aż żal było patrzeć... A teraz, wszystko wygląda jak kiedyś.

Skąd ty wiesz, jak było kiedyś!, pomyślała.

– To nie jest zwykła rekonstrukcja, ale autentyk – ciągnął – ściany zamku, elementy konstrukcyjne, wszystko autentyczne, niektóre jeszcze ze średniowiecza się zachowały... A czy mama pamięta taki pokój na prawo od wejścia? Zaraz za nim była kuchnia.

– Pewnie, że pamiętam, to garderoba, zostawiało się tam płaszcze, buty, w szafach wisiły zimowe ubrania...

– Właśnie, właśnie – promieniał świeżo upieczony von Saarow. – Wie mama, co odkryliśmy w czasie remontu na suficie?

– Skąd mam wiedzieć? – odpowiedziała obojętnie, ale naprawdę była ciekawa.  
– A jaki był ten sufit za czasów mamy?  
– Zwyczajny, tynkowany.  
– To była podsufitka! Maskownica. Jak ją zdjęli, od razu miałem telefon, żeby przyjeżdżać. Coś cudownego ukazało się moim oczom, polichromia z początku siedemnastego wieku, zabytek pierwszej klasy.

Patrzyła na niego naprawdę poruszona.

– Co przedstawiała?

– Ustalono, że to mógł być jakiś anonimowy malarz gdański albo holenderski. Belkowany sufit pokrył barokowym ornamentem, motywy roślinne, jakby algi morskie i owoce... różne, tutejsze i egzotyczne... Wywnioskowaliśmy, że skoro pokój przylegał do kuchni, musiała tam być w dawnych czasach jadalnia...

– Którą barbarzyńscy następcy przerobili na garderobę – dokończyła.

– Dobrze mama mówi – roześmiał się.

– Ale skąd ci przyszło do głowy, żeby dawać pieniądze na ten zamek? – spytała już zupełnie innym tonem, zniknął poprzedni chłód.

Mężczyzna zrobił w powietrzu ruch ręką. Wydawał się zakłopotany.

– A... pomyślałem, pokażę swoim dzieciom siedzibę rodową. Pojechaliśmy w jedne wakacje. Szlag mnie trafił, jak zobaczyłem taką ruinę. Poszedłem do wójta i pytam, czemu dopuszczają, żeby taki zabytek niszczał. A on na to: „nie ma funduszy”, to ja na to: „fundusze może by się i znalazły”... I tak od słowa do słowa powstała fundacja odbudowy zamku, mnie zrobili honorowym prezesem...

Słuchała tego, co mówił, z zainteresowaniem. Wzmianka o odwiedzaniu rodowej siedziby przywołała ją do porządku. To nie był ktoś, z kim mogłaby odczuwać jakąkolwiek wspólnotę, przez chwilę wydawało jej się, że się porozumieli, ale to złudzenie. Nieuczciwie potraktował transakcję, kupił prawo do noszenia nazwiska, a przypisał sobie prawa rodzinne... Ciekawe, jako kto występuje w tym Zarowie, jako jej syn? Czy to możliwe, że poszedł do urzędnika w gminie i przedstawił się: „Jestem synem Elizy von Saarow”, nie dodając przy tym, że adoptowanym. Ten pomysł na zdobycie środków do życia stawał jej kością w gardle. Przez kilka lat miała spokój, starała się nie pamiętać, jakiego pochodzenia są pieniądze wpływające co miesiąc na jej konto, niestety pochodziły z nieprawego łoża...

On, nieświadom tej nagłej zmiany jej nastroju, ciągnął dalej swoją opowieść:

– W zamku mieści się teraz fundacja, która ma zbliżyć do siebie trzy narody: Polaków, Kaszubów i Niemców. Jestem jak najbardziej za...

– I na czym to zbliżenie ma polegać? – spytała bez entuzjazmu.

– No... organizuje się tam różne konferencje, szkolenia, powstał zespół pieśni i tańca, na miejscu jest restauracja, hotel... mamy też w planach zagospodarowanie folwarku... Kiedy się tam pojawiam, witają mnie po królewsku...

– Nie wątpię.

Musiało go coś zaniepokoić w jej głosie, bo przyjrzał się Elizie i zaraz zmienił temat.

– A co z tą afrykańską sprawą? Jak mogę pomóc?

– Ach – odrzekła lekko – właśnie rozwiązała się sama, dziś rano nadszedł list.

– Gdybym jednak mógł być w czymś pomocny, służę swoją osobą.

– Będę o tym pamiętała – odpowiedziała z roztargnieniem, rozglądając się za kelnerką, chciała jak najszybciej wyjść.

– To ja teraz wystąpię ze swoją sprawą – zaczął, a ona spojrzała na niego niemal z przestachem.

– Wydaję córeczkę za mąż, uroczystości odbędą się oczywiście w Zarowie, w kościele ślub, przyjęcie na zamku...

Eliza mrugała powiekami, nie wiedząc, jak ma zareagować. Wybuchnąć śmiechem czy złożyć szczęśliwemu ojcu gratulacje. Wybrała milczenie.

– Ja i cała moja rodzina błagamy, aby mama uświetniła swoją osobą tę uroczystość!

Nabrała powietrza w płuca, potem je wypuściła. Jeszcze raz odetchnęła głęboko, zanim oświadczyła z godnością:

– Nigdy nie czułam się kimś z rodziny Saarowów, mimo że, jak pan, noszę to nazwisko – podniosła się i skinąwszy głową osłupiałemu mężczyźnie, oddaliła się w stronę szatni.

Minęło kilka dni, a z misji Serca Jezusowego nie było żadnych wiadomości, zaczynał się już niecierpliwić. Matka Elżbieta miała wystarczająco dużo czasu, aby się zastanowić, czy nawiązać za jego pomocą kontakt ze swoją krewną, czy też nie. Jeżeli nie, trudno, wyjedzie stąd jak najprędzej. Ale ona zwlekała. Zagadnął ojca Josefa, co by w takiej sytuacji zrobił.

– Czekałbym – odpowiedział. – Tam jest teraz trochę zamieszania, bo w małą A-iszę znowu wstąpiły złe duchy...

– Co takiego? – roześmiał się.

– Nie ma się z czego śmiać – zakonnik był niemal urażony – tutaj traktuje się to bardzo poważnie.

– I co się robi z takimi duchami?

– Wypędza się je.

– Jak?

– Robią to księża, są tacy, specjaliści od egzorcyzmów, ale najlepsza jest matka Elżbieta.

Vaclav uśmiechnął się i odrzekł z nutą złośliwości w głosie:

– Jak widzę, matka Elżbieta jest niezastąpiona.

– W istocie – potwierdził z powagą zakonnik.

Po raz pierwszy dał się wciągnąć w dłuższą rozmowę, widocznie uznał Vaclava za swego, mógł go już o parę rzeczy zapytać. Dowiedział się też trochę o misji Serca Jezusowego. Siostry prowadziły szkołę przysposobienia medycznego, a oprócz tego uczyły zupełnie małe dzieci. W tej szkole kształcono dziewczynki na położne, a chłopców na felczerów, bo te dwie specjalności były tutaj najpotrzebniejsze. Rzecz w tym, że każda z uczennic chciała zostać felczerką i nie można im było wytłumaczyć, że w takim miejscu jak Zair jest to wybitnie męski zawód. Matka Elżbieta dorobiła się już wielu wychowanków, przyjeżdżali ją tu odwiedzać, ona jeździła do nich, kiedy była jeszcze zdrowa. Siadała za kierownicą dżipa i w drogę, czasami taka podróż trwała kilka tygodni, bo jej byli uczniowie rozproszyli się po całym kraju, a Zair nie należy do najmniejszych.

– Ona zrobiła naprawdę kolosalną robotę, znalazła sposób na regulację urodzin. Wie pan, tutejsza ludność to w większości analfabeci, nie czytali, nie pisali, więc wpadła na pomysł, aby kobiety nosiły na szyi koraliki w dwu kolorach, czerwone i niebieskie. Każdego dnia miały przesuwać po kolei jeden koralik, jak dochodziły do czerwonego, mężowie szli w odstawkę...

Vaclav mógł się w tym momencie popisać swoją erudycją i nie omieszkał z tego skorzystać.

– To już było znane w skupiskach trędowatych, przy braniu leków... Czytałem o tym.

Zakonnik pokiwał głową.

– Ale ona to upowszechniła... zabrało jej to sporo lat. Siostry otworzyły pracownię, całe zespoły siedziały przy stołach i przez wiele godzin nizały paciorki na rzemień, potem inne ekipy rozwoziły je po wioskach... A ile kosztowało wysiłku, żeby czarne kobiety zechciały je nosić...

Vaclav kręcił tylko głową.

– A o co matka Elżbieta pokłóciła się z papieżem? Czy to może plotka? Ktoś mi mówił, że nie chciała się z nim spotkać w czasie jego wizyty...

Ojciec Josef złożył ręce jak do modlitwy, potem znowu potarł łysinę.

– Po wizycie Ojca Świętego w osiemdziesiątym roku większość kobiet pozrywała z szyi te koraliki...

– Dlaczego? Przecież Kościół dopuszcza kalendarzyk, a koraliki to taki kalendarzyk dla analfabetów... sam ojciec to przyznał.

Zakonnik przybrał minę męczennika, ten wyraz bólesci na obliczu ojca Josefa był wprost zabawny.

– Trzeba poznać tutejszych ludzi, aby to zrozumieć. Ich stosunek do narodzin... tutaj kobiety bezdzietne są wyklęte, a te, które rodzą co roku, wynosi się na piedestał. Co z tego wynika dla rodziny, nikt się nad tym nie zastanawia. Ludzie nie mają co jeść, szczególnie dzieci... sam pan widzi, ile z nich żyje po prostu na ulicy, żebrze... Matka Elżbieta nie mogła tego przeboleć, napisała nawet list do papieża, ale oczywiście odpowiedzi nie było...

Ojciec Josef przymknął oczy i udawał, że się modli, a może modlił się naprawdę. Mimo to Vaclav postanowił mu przerwać.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego znalazła się w misji katolickiej.

– W Niemczech jest wielu katolików, na przykład ja.

– Ale z tego, co wiem, jej rodzina była wyznania protestanckiego...

– Na to panu nie odpowiem – stwierdził zakonnik. – Tylko ona może to panu wyjaśnić.

Myślał o tej rozmowie, nie mogąc zasnąć. Jak należało postąpić, jak on by postąpił, gdyby był na jej miejscu. Trzeba niemałej odwagi, aby sprzeciwić się nakazom Kościoła, samemu będąc wewnątrz tej instytucji. Co sobie myślała, wążąc się na coś takiego? Musiała być naprawdę niezwykłą kobietą. Bardzo chciał, aby przystała na jego propozycję, aby zgodziła się na to nagrywanie. Miał nadzieję, że znajdzie okazję do zadania jej kilku pytań.

W niedzielę około piątej po południu stawił się zaproszony przez Elizę Heinrich Kirchhoff. Strudel, pachnący świeżymi jabłkami, stał na stole. Zadzwoiła na pokojową, aby podała kawę.

Kirchhoff spojrział na zegarek.

– Cała Anglia raczy się teraz herbatą, a ci wulgarni Niemcy piją o uświęconej porze kawę – powiedział.

– Nie przejmuj się, będą ją pili dopiero za godzinę... piąta będzie u nich za godzinę.

– Więc jesteśmy uratowani – odetchnął z ulgą.

Odkąd pamięta, zawsze tak ze sobą rozmawiali, na w pół serio. W podobny sposób Kirchhoff wiele lat temu jej się oświadczył. A ona w tym samym żartobliwym tonie odmówiła.

– I jak wypadło spotkanie z ukochanym synkiem?

– Nie żartuj, nie ma w tym nic wesołego, zapewniam cię. Wyobraź sobie, on wydaje za mąż córkę i wiesz, gdzie się będą odbywały uroczystości?

Kirchhoff uniósł brwi.

– Skąd mogę wiedzieć, potrafisz czytać w twoich myślach, ale nie do tego stopnia.

Eliza nalala kawę do filiżanek, jedną z nich podała mężczyźnie. Wiedziała, że pije kawę bez cukru, sobie wsypała dwie łyżeczki.

– W Saarow!

Tym razem gość naprawdę się zdziwił, co sprawiło jej swego rodzaju przyjemność.

– Przecież to jest teraz w Polsce!

– Nie o to chodzi, gdzie to jest, tylko o to, że traktują go tam jako prawowitego potomka rodu!

– To rzeczywiście tupeciarz, a czy przynajmniej potrafi ci pomóc?

Eliza odrzuciła dumnie głowę do tyłu.

– Nie przyjąłem jego pomocy, chyba nie masz co do tego wątpliwości?

Odstawił ostrożnie filiżankę, która prawie gineła w jego dużej dłoni.

– Tak, tak, to rozumiałe, nie wolno posuwać się za daleko.

Eliza spojrzała na niego.

– A czy mogę w tej sprawie coś zrobić, jakoś zaprotestować?

– Muszę cię zmartwić, niewiele. Nawet jeżeli podaje się za twojego syna, to w świetle prawa nim jest. Nie ma obowiązku wyjaśniania komukolwiek, że stał się twoim synem w wyniku adopcji.

Uśmiechnęła się gorzko.

– Pamiętam, jak mi odradzałeś ten pomysł, chyba miałeś rację.

- Ale jak ty na to wpadłaś? Sama to wymyśliłaś?
- Nie, skądże. Ten pierwszy syn zgłosił się do mnie, jak tylko zamieszkałam w pensjonacie, czyli jakieś dziesięć lat temu... Jego matka też tam mieszkała...
- Dwie matki pod jednym dachem, ułatwił sobie sprawę z odwiedzinami.
- Przestań, Heini, nie mam ochoty na żarty.
- Cóż, *mon cheri*, sama nawarzyłaś tego piwa.
- Wiem...
- Ale z drugiej strony, co to cię obchodzi, że on jeździ do Polski? Ty nie zamierzasz się tam pokazywać, o ile wiem. Więc nie myśl o tym, a jak będzie ci się naprzykrzał, wkroczę do akcji.
- Eliza poprawiła nerwowo włosy.
- Nie jeżdżę do Polski, ale tam się urodziłam... to moja utracona ojczyzna, rozumiesz... Przez całe późniejsze, bardzo długie życie czułam się jak... jak wypędzony pies...
- Twarz Kirchhoffa przybrała tak rzadki u niego wyraz powagi.
- Mało o tobie wiem, Elizo. Nigdy mi tego nie mówiłaś, sądziłem, że nie wracasz do tamtego, bo to zamknięta przeszłość.
- Ja z tamtego nigdy nie wyszłam – odrzekła cicho. – Co noc mi się śni, że stoję na wydmie i patrzę na morze, wieje silny wiatr... Te sny są tak realne, że często po przebudzeniu czuję sól na ustach...

Musiała coś postanowić, nie mogła dłużej trzymać tego młodego człowieka w niepewności. Ale co powinna zrobić? Zgodzić się na niewiarygodną wręcz propozycję nagrywania listu do Elizy? I jak by to miało wyglądać? On będzie w tym uczestniczył czy zostawi ją sam na sam z mikrofonem? Ma wyjawic maszynie najboleśniejsze fakty ze swojego życia? Przecież to nieludzkie. Jak Eliza mogła wymagać od niej czegoś takiego! Przecież napisała w liście, że chce otworzyć przed bratową swoje serce, przed nią, żywą, a nie przed martwym przedmiotem, który się uruchamia, naciskając klawisz. Ale jeżeli odmówi, nigdy nie będzie miała już szansy powiedzieć jej prawdy. Tak się bała, że Eliza nie odpowie na jej list. Że zejdzie z tego świata, mając za plecami ciszę... Więc może się zgodzić? Jej słowa dotrą wtedy do adresatki... ale czy będzie w stanie przekazać jej to wszystko tak, jak chciała? Czy potrafi opowiedzieć spokojnym głosem to, co zamierzała wykrzyknąć...

Dlaczego podjęły wtedy taką decyzję, dlaczego nie zabrały ze sobą dziecka, tylko zostawiły pod opieką Polki? Gdyby pokojówka Elizy na to nie przystała, nie miałyby innego wyjścia, ale dziewczyna zgodziła się od razu. Szczęśliwa, że może coś dla swojej pani zrobić. To było jakieś ślepe, psie przywiązanie. Tak ludzie reagowali na Elizę. Uwielbiali ją, byli szczęśliwi, gdy zechciała łaskawie na nich spojrzeć... Czyż sama nie zachowywała się podobnie? Czy nie chciała być przez bratową zauważona? Przecież już tamtego dnia, kiedy Eliza zamieszkała na zamku, poczuła się jak uskrzydłona. Powtarzała w kółko: „Eliza jest tutaj, i będzie tutaj jutro, pojutrze, zawsze...” Największym jej marzeniem było wtedy zdobycie przyjaźni tej kobiety, a nawet więcej, zdobycie wyłączności w tym uczuciu. Ale Eliza omijała ją wzrokiem, ciągle dokąś biegła, z kimś się umawiała, coś miała do załatwienia. Wstawiała bardzo wcześnie i jechała konno na pole, ubierając się przy tym jak chłopka. Jesienią i wiosną nosiła gumowe buty, były na nią za duże, sypała więc w palce sieczkę, aby jej nie spadały z nóg. Po powrocie z pola wchodziła w nich do zamku i porzucała pod drzwiami swojego pokoju, służba zmiatała błoto i rozsypane na dywanie drobiny słomy. Któregoś dnia Marianna zaczęła się we wnące okiennej, a kiedy Eliza przemknęła obok, nawet jej nie zauważywszy, i zostawiła buty na korytarzu, zawołała pokojówkę, chyba tę Genowefę, i zrobiła jej awanturę za nieporządek.

– Jak tutaj wygląda, jak w chlewie! – wydzierała się na dziewczuchę, która stała jak kołek, bez jednego słowa.

I na to wysunęła się zza drzwi do pokoju jasna głowa Elizy.

– Marianno, nie krzycz na nią, to moje buty.

Tylko tyle, głowa cofnęła się, drzwi się zamknęły. Ale odtąd Eliza zostawiała gumki przy schodach, przed wejściem do zamku, biegła na górę w samych skarpetach.

Po raz pierwszy Eliza powiedziała do niej coś osobistego w czasie ich powojennej podróży za Odrę, w brudnej, przepełnionej hali dworcowej na przygranicznej stacji. Powiedziała wtedy: „To jest inaczej”.

Nie wiedziały, co mają ze sobą zrobić, gdzie się podziać, gnieździły się w małym pokoju przy kuchni, bo kiedy się paliło pod płytą, jedna ściana grzała. Z powodu powybijanych okien w zamku panowały przeciągi, lodowaty wiatr przewiewał na wylot, kiedy szło się przez hol. Mleko dla dziecka przynosiła pokojówka Elizy, a one właściwie głodowały. Zapasy z zamkowych piwnic zostały rozszabrowane, nie miały nowych pieniędzy, złotych, za które można byłoby cokolwiek kupić. Marianna próbowała sprzedawać jakieś ubrania, ale na ogół bez powodzenia. Zbliżała się zima, która byłaby trudna do przetrwania w takich warunkach.

– Coś będą musieli w naszej sprawie postanowić – mówiła bratowa.

I postanowili. Pojawił się wysłaniec burmistrza i przybił na głównych drzwiach zawiadomienie, iż od tej chwili budowla przechodzi na własność państwa. Dotychczasowi właściciele mają opuścić zamek w ciągu dwudziestu czterech godzin. Spakowały najpotrzebniejsze rzeczy i przeniosły się do przeszklonej altany w parku. Jedno okno było wybite, zatkały je więc poduszką. Było ciasno i bardzo zimno, szczególnie nocą, ubierały się więc na cebulę, wkładając na siebie po kilka par bielizny i swetrów. Któregoś dnia zostawiły małą Julię pod opieką pokojówki i wyruszyły we dwie do Zelden wywiedzieć się, jakie mają szanse na znalezienie ciepłego kąta. Okazało się, że żadne. Sowiecki major, który był naczelnikiem wojskowym miasta, po długim oczekiwaniu dopuścił je przed swoje oblicze, ale nie znał niemieckiego, a tłumacz, jak im się wydawało, nie przekazywał wiernie ich słów. Toteż przemowa, którą sobie ułożyły, nie odniosła skutku. Odesłano je do władz polskich, a więc koło się zamknęło. Kiedy wyszły z komendantury, Eliza powiedziała zdecydowanym tonem:

– Zostaniesz z Julią, ja pojedę za Odrę, wybadam sytuację. Potem po was wrócę.

Po długich poszukiwaniach odnalazły wreszcie niepozorny, odrapany budynek przy cmentarzu, gdzie mieściła się registratura dla Niemców. Stały na końcu długiej kolejki, która prawie się nie posuwała. Ludzie w niej byli jacyś wynędzniali, mieli smutne, poszarzałe twarze. Nikt nic nie mówił. Mniej więcej po dwu godzinach znalazły się przed obliczem urzędnika. Siedział za stołem w niemal pustym pomieszczeniu.

Przypominał Mariannie wyłowionego z wody szczura, miał podłużną twarz i przetłuszczone włosy, które wyglądały jak zmoczona sierść. Spojrzał na nie wyblakłymi oczami o zaczerwienionych spojówkach.

– W jakiej sprawie? – spytał bezosobowo.

W pokoju nie było innego krzesła oprócz tego, na którym siedział mężczyzna. Musiały więc przed nim stać. Pomyślała o biednych nogach Elizy, były jeszcze takie słabe.

– Chciałabym wyjechać – powiedziała Eliza.

– Dokąd?

– Do Niemiec. Nie wiem, czy jest to możliwe...

Na szczurzej twarzy pojawił się uśmiezek.

– Nie wiecie, wy, Niemcy, nic nigdy nie wiecie. Zawsze jesteście niewinni, a kto wymordował pół Europy?

Zapadło milczenie. Po chwili już innym tonem urzędnik zadał konkretne pytanie:

– Skąd pochodzicie?

– Z Saarow.

– Nie znam – odrzekł chłodno – proszę podać polską nazwę.

– Z Zarowa.

Znowu się uśmiechnął.

– No proszę, z Zarowa. A w Zarowie już się nie podoba?

– Usunięto nas z naszego domu.

Pokiwał twierdząco głową.

– I słusznie, bo te domy już nie są wasze, ale nasze. I nie zatrzymujemy was tutaj. Niech burmistrz da wam zaświadczenie, a potem bilet do kieszeni, prowiant na trzy dni i *aufwiedersehen!*

– A pociągi kursują przez granicę? – spytała Eliza.

Nic przecież nie było wiadomo, przynajmniej one nic nie wiedziały. Wojna się niby już skończyła, ale czy na pewno ustały walki, tam za Odrą? Gdzie byli Amerykanie i Anglicy? A gdzie strefa sowiecka? Tutaj przynajmniej do nich nie strzelano...

Urzędnik spojrział na nią z politowaniem.

– Powiedziałem: prowiant na trzy dni, przez trzy dni do Reichu piechotą byście nie doszły.

Po opuszczeniu registratury Marianna zaczerpnęła powietrza w płuca. Co za ulga nie musieć oglądać więcej tej gęby.

– Ciekawe, jakie zaświadczenie ma mi wystawić nasz drogi burmistrz – zachodziła w głowę Eliza.

– Pewnie moralności – parsknęła na to śmiechem.

– Musiałby siedzieć pod naszym łóżkiem.

– Ale my nie mamy łóżka!

Odechciało im się jednak żartów, kiedy Eliza wróciła od burmistrza. Wyda takie zaświadczenie, owszem, ale zbiorowe, dla niej, dla Marianny i małej Julii. Jak chcą wyjeżdżać, to wszystkie razem.

– Może to i lepiej, nie będziemy się rozłączały – powiedziała wtedy – przecież tutaj też jest strasznie. Gdzie ja przeczekam ten czas, zanim ty po nas wrócisz, w altanie? Przy pierwszych mrozach tu zamarzniemy...

– Do mrozów będę już z powrotem – odpowiedziała Eliza.

Od kilku dni przygotowywała się do nagrywania swoich zwierzeń, próbując pokonać silny wewnętrzny opór. Przy łóżku ustawiono magnetofon. Jej podopieczny Mapinduzi, złota rączka, który wszystko potrafił w misji naprawić, skonstruował nawet specjalne ramię podtrzymujące mikrofon, aby nie musiała go trzymać w ręce. Ale nie potrafiła przemówić po ludzku do tej aparatury. Próbowwała kilka razy, zaczynało jej jednak brakować słów już po kilku zdaniach.

– Zawołajcie tego Czecha – powiedziała wreszcie.

A kiedy się pojawił, wyjawiała mu, w czym rzecz. Wyglądał na bardzo zmartwionego. I trudno mu się dziwić, przeżył taki szmat drogi i jak się okazało, niepotrzebnie.

– Proszę przekazać mojej bratowej, że... że nie potrafiłam.

Młody mężczyzna namyślał się przez chwilę, a potem powiedział:

– A gdybym ja w tym uczestniczył? Gdybym zadawał pani pytania? Może byłoby łatwiej. Wiem, że ma pani coś bardzo osobistego do przekazania pani Elizie, ale zacznijmy od rozmowy o pani życiu tutaj... może się pani oswoi ze sprzętem i potem zostanie z nim sama...

Zastanowiła się chwilę.

– Możemy spróbować – odpowiedziała. – I proszę zwracać się do mnie: matko Elżbieto...

– Dobrze, matko Elżbieto. Kiedy zaczynamy?

– Wkrótce.

Wyglądało na to, że rozmowa jest skończona, ale Vaclav nie kwapił się z odejściem. Skoro dopuszczono go wreszcie przed oblicze tej niemal świętej, postanowił to wykorzystać. Twarz ukryta za gęstą siatką nie dawała mu spokoju. Kim była kobieta o tak niezwykłym życiorysie? Co myślała naprawdę? Czy dowie się tego kiedykolwiek?

– Matko Elżbieto... chciałbym zadać ważne dla mnie pytanie. Czy mogę?

– Proszę – usłyszał cichy głos.

– Dlaczego matka przeszła na katolicyzm?

Zapadła cisza. Przestraszył się, że właśnie wszystko zepsuł, kiedy ona zaczęła mówić:



– Powinien pan mnie najpierw zapytać, dlaczego tu przyjechałam... Być może zdecydował o tym przypadek. Znalazłam się w Ameryce... ale czułam się tam obco... przez te wszystkie lata nie potrafiłam się wtopić w świat supermarketów, McDonalldów, tych amerykańskich uśmiechów i zapewnień, że wszystko jest okey. Któregoś dnia, wracając z pracy...

– A gdzie matka pracowała?

– Pracowałam w pewnej firmie jako lektorka języka niemieckiego... Wracałam do domu i zobaczyłam plakat UNESCO, na którym mały murzyński chłopiec wyciągał do mnie obie ręce. Miał niewiarygodnie rozdęty brzuch i stał na patykowatych nogach. Chuda szyja ledwo mogła utrzymać za dużą głowę, a w oczach, w oczach było błaganie o pomoc... Postanowiłam go odszukać...

– I odszukała go matka?

– O tak, odnajdowałam go każdego dnia przez całe trzydzieści lat... A na katolicyzm przesłam po wyborze Polaka na papieża. Nie był, jak inni, zgrzybiałym starcem, nie noszono go w lektyce. Za każdym razem, gdy wysiadał z samolotu, całował ziemię. To był taki ludzki gest, trochę teatralny, ale ludzki... Byłam już w Afryce tak długo, by zdać sobie sprawę, że sama niewiele zdziałam, potrzebowałam potężnego sojusznika.

– I to był jedyny powód zmiany wyznania?

– Misje katolickie w Afryce mają o wiele większe możliwości, a dla mnie zawsze liczyła się skuteczność.

– Ale to jest strona praktyczna tej decyzji, a co z resztą? Z kultem Maryi, na przykład, który protestantyzm odrzuca...

Za siatką zapadło milczenie.

– No cóż... nie polubiłyśmy się z Najświętszą Panią – usłyszał. – Ale nie dla Niej przyjechałam do Afryki...

Wracał znajomą drogą, podśpiewując. A więc udało się, był pewien, że teraz już mu się ta kobieta nie wymknie. Miał silne poczucie, że byli sobie wzajemnie potrzebni, od siebie zależni, niemal na siebie skazani, chociaż ona jeszcze tego nie wiedziała. Za gęstą siatką moskitiery ukrywał się ludzki los, który interesował go ponad wszystko. I wcale nie chodziło o tę tajemnicę rodzinną, którą matka Elżbieta chciała wyjawic swojej krewnej. Chodziło o Afrykę... Przebywał tu zaledwie od kilku tygodni, a wydawało mu się, że zaczynał pojmować, na czym polegał magnetyzm, przyciąganie, neodparta potrzeba zgłębiania tajemnic tej ziemi. A tak niechętnie odnosił się z początku do projektu przyjazdu tutaj. Pierwszym niemiłym przeżyciem było szczepienie przeciw żółtej febrze, któremu poddał się przed wyjazdem. Nie było to teraz wymagane, ale radzono mu, aby to uczynił. Podobno przeciw malarii nie wynaleziono skutecznej szczepionki. Wkrótce potem się zaziębił i przez kilka dni czuł się bardzo źle. Miejsce wokół ukłucia zaczerwieniło się, znacznie powiększył się węzeł chłonny pod pachą, wpadł niemal w panikę, że wszczepili mu tę żółtą febrę i to są właśnie pierwsze objawy. Na szczęście wezwany lekarz go uspokoił. Ale jego niechęć do podróży się pogłębiła. Później jeszcze to oczekiwanie w Brukseli.

Przy kolacji pochwalił się ojcu Josefowi swoim pierwszym zwycięstwem.

– Będziemy razem nagrywać...

Ojciec Josef wydawał się tym wyraźnie poruszony.

– Gdyby zechciała naprawdę mówić o sobie... gdyby to się panu udało. Sam myślałem o czymś takim, o zanotowaniu jej przemyśleń na temat misji. Było mi żal, że tak odchodzi po cichu...

Vaclav uśmiechnął się.

– No... beatyfikacji na pewno nie będzie.

Zakonnik spuścił głowę.

Z każdym dniem niepokój Elizy wzrastał. Od sześciu tygodni nie miała żadnej wiadomości od swojego sekretarza i zaczynały jej chodzić po głowie różne myśli. Może coś mu się przytrafiło po

drodze, może w ogóle tam nie dotarł. Co prawda nie było słyhać o żadnej katastrofie lotniczej na terenie Afryki, ale na lądzie musiało być równie niebezpiecznie. Dzikie zwierzęta, przeróżne choroby tropikalne. Już samo picie wody w takim klimacie było ryzykowne. Co też przyszło Mariannie do głowy, aby tam zamieszkać. Nigdy jej właściwie nie rozumiała, nie umiała znaleźć w sobie cieplejszych uczuć dla tej kobiety, chociaż była siostrą mężczyzny, którego kochała. Bracia Saarow byli nieco niedźwiedziorowaci, ale przystojni, jasnowłosi, o szlachetnych rysach. Marianna wydawała się bezbarwna, pozbawiona wszelkiego uroku. W dodatku szwagierka zupełnie nie starała się zatuszować swego braku urody. Już choćby pomalowanie niemal białych jak u albinosa rzęs mogłoby coś w jej wyglądzie zmienić na lepsze. Chciała jej to nawet zasugerować, ale nigdy się na to nie zdobyła. Kiedy spotykały się na zamku, Eliza robiła wszystko, aby jak najprędzej się oddalić. A przy tym miała bez przerwy niemiłe uczucie, że te przezroczyście jak woda oczy śledzą każdy jej krok. Ogromnie ją to drażniło. Czy mogła przypuszczać, że los je na siebie skaze, że razem będą musiały walczyć o przetrwanie, a nawet o życie?

Tamten dzień, kiedy okazało się, że nie może iść sama przez granicę, że szwagierka musi jej towarzyszyć, nie należał do najszcześniejszych. Była przerażona tą perspektywą. Nie miały sobie nic do powiedzenia, przynajmniej ona tak uważała, ale w oczach Marianny krył się niemy wyrzut. Wyrzut, że Eliza się przed nią nie tłumaczy, że nie czuje się winna. Czy miała jej wykrzyknąć, że miłość nie jest przestępstwem, że każdy ma do niej prawo i nieuczciwe byłoby, gdyby sobie to prawo odebrała? Ale ani jej teść, ani szwagierka nie potrafili tego zrozumieć. Dla nich była kimś, kto skłócił ze sobą braci i przyczynił się do śmierci jednego z nich, a może obydwu. Ulrich, zraniony w swojej męskiej dumie, zgłosił się na front, aby chwalebnie polec. Wolfgang poszedł na wojnę, czując się winny wobec brata. A przecież niczego nie ukrywała. Tego wieczora, po przyjęciu ślubnym, gdy zdjęto jej z głowy dziesięciometrowy welon, powiedziała mu prawdę. Że kocha innego. Patrzył na nią, jakby nie rozumiał.

– Nie kocham cię – powtórzyła – kocham innego mężczyznę.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Bo nie chcę cię oszukiwać – odrzekła, patrząc mu prosto w oczy – bo cię za bardzo szanuję.

Ulrich podszedł do okna, stał odwrócony do niej plecami.

– A może ja wolałbym być oszukiwany i mieć żonę – usłyszała jego cichy głos.

– Jestem twoją żoną, dzisiaj wzięłam z tobą ślub, ale moje serce należy do innego.

Zapadła cisza, z dołu dochodziły głosy biesiadników, nie wszyscy jeszcze wstali od stołów, chociaż nie grała już muzyka.

Ulrich ujął ją za ramię, jego uścisk był jak z żelaza.

– A twoje ciało, Elizo?

– Ono też należy do niego.

Myślała, że ją uderzy, ale nagle zmiękł, podszedł do ich małżeńskiego łóżka i usiadł na jego krawędzi, odrzucając najpierw białą kapę, jakby bał się ją ubrudzić. Zapamiętała ten jego bezradny gest.

– Więc co masz dla mnie, Elizo?

– Będę dobrą żoną, będę przy tobie na dobre i na złe.

– Ale odmawiasz spragnionemu wody.

– Muszę być z nim...

Skąd znalazła w sobie tyle odwagi, aby podjąć decyzję za nich troje? Aby przekonać siebie i tych dwóch mężczyzn, że nie można było postąpić inaczej? Pozostawiła Ulricha samego i przemierzyła korytarz, z biciem serca uchyliła drzwi do pokoju Wolfganga. Było ciemno, tylko spoza okiennej story padał refleks światła na podłogę, dziedziniec zamkowy był jasno oświetlony. Wolfgang leżał w ubraniu na łóżku, miał na nogach buty. Podeszła i przyklęknawszy, zaczęła mu je zdejmować. Zastanawiała się, co myśli, czy odważy się ją przyjąć. Ostrożnie odstawiła buty i pochyliła się, jak ślepiec przybliżając twarz do jego twarzy. Patrzyli sobie w oczy.

– Należę do ciebie – wyszeptwała.

A kiedy milczał, skuliła się, starając się jakoś odnaleźć w tej sytuacji. Przekonać jego i siebie, że muszą być razem. W imię miłości. Miłość dawała im to prawo. Nie wiedziała, jaką walkę musiał stoczyć ze sobą Wolfgang, co musiał wybaczyć sobie, a co jej. Nigdy o tym nie rozmawiali. Przyjął ją w swoje ramiona.

*Zapis rozmowy matki Elżbiety z Vaclavem Pavelką z 7 listopada 1999 roku*

*Matka Elżbieta:* Przebywam w Afryce przeszło trzydzieści lat i wiem, co jej dolega, co ją gnębi, wiem też, jak niektórym plagom zaradzić. Po wielu przemyśleniach, wahaniach i wątpliwościach podjęłam się dzieła, którego Kościół by nie pobłogosławił. Jestem służebnicą bożą i przed Nim przede wszystkim odpowiadam za swoje życie i za wszystkie uczynki. Mam nadzieję, że moje ludzkie sumienie, obciążone grzechami, chociaż trochę zostało oczyszczone. Przybyłam do Afryki z czysto osobistych powodów, ale pozostałam, by służyć Bogu i ludziom. Z panującymi tu przesadami i zwyczajami nie można walczyć w sposób przyjęty w świecie białych, należy poznać i zaakceptować zasady tubylców, starać się przekonywać, używając ich argumentów, bo inaczej pozostaną obojętni na wszystko. Mówienie o tym, że Afryka staje się chrześcijańska, jest nieporozumieniem. Rządzą tu prawa i zwyczaje plemienne i długo nic tego nie zmieni.

*Vaclav Pavelka:* Ale Chrystus ma tutaj miliony wyznawców, a po wizytach Ojca Świętego jeszcze ich przybywa...

*M.E.:* Papież powiedział, że w Afryce Jezus Chrystus jest Afrykańczykiem. Podkreślał w swojej homilii, że Kościół musi się przystosować do miejscowych warunków i czarni wyznawcy powinni się modlić do Boga, tak jak potrafią, po afrykańsku, tańcząc, śpiewając, bijąc w bębny. W Kinszasie powiedział: „Wasz Kościół powinien pogłębić swój wymiar lokalny, afrykański. Nigdy nie zapominając o wymiarze uniwersalnym, powszechnym”. Podczas mszy śpiewano w miejscowych dialektach: suahili, kongo i luba, przy akompaniamencie tam-tamów i piszczałek. Hymn *Gloria* odtąńczono wokół ołtarza...

*V.P.:* To piękne...

*M.E.:* Papież niczym Cziczikow zbiera w Afryce martwe dusze. Te dusze nie zostały oświecone. Chrystus-Afrykańczyk to jeszcze jeden bożek, nie pojmuje pan? Chrystusa w Afryce przehandlowano...

*V.P.:* Według matki Bóg może być tylko biały?

*M.E.:* Chodzi mi o doświadczenie Boga. Nikt nie zadał sobie trudu, aby wejrzeć w dusze tych ludzi. Dusze zostały policzone i skatalogowane... W różnych pismach przewijało się takie zdjęcie papieża: siedzi na bębnie obitym lamparcią skórą, w pióropuszu na głowie i w pelerynie z małpich skór, w jednej ręce trzyma tarczę, w drugiej oszczep. I podpis: „Ojciec Święty otrzymał w darze koziołka i oznaki godności wodza szczepu Masajów”...

*V.P.:* I co w tym złego? Może to jest jego sposób na przekonywanie za pomocą ich argumentów, sama matka powiedziała, że w Afryce należy poznać i zaakceptować tutejsze zasady. Więc może papież nie chciał, aby pozostali obojętni?

*M.E.:* Jeśli się przejmuje reguły gry, należy grać czysto do końca.

*V.P.:* Co matka ma na myśli?

*M.E.:* Papież nazwał Afrykę Czarną Twarzą Madonny, ale jest to twarz Madonny cierpiącej, stale brzemiennej, rodzącej w bólach, patrzącej na cierpienia swoich dzieci, na ich samotność, choroby i głodową śmierć. Ta Madonna skazana jest na wieczne stanie pod krzyżem... Pan nawet sobie nie wyobraża, jak kobiety tu żyją,

albo w połogu, albo brzemiennie. I to nie zwalnia ich od niczego, ciężko pracują do końca. Rodzic idą do specjalnej chaty za wsią, gdzie czeka na nie jakaś samozwańcza położna, pomaga dziecku przyjść na świat i znika. Położnica musi sobie sama dawać radę. Po tygodniu wraca do męża... Prześladowuje mnie obraz rozdętego brzucha matki i brzucha wygłodzonego dziecka, to prawdziwy portret Afryki...

*V.P.:* Nie dzieje się tak z winy papieża. On nie może zmienić pewnych nakazów boskich, może je tylko propagować.

*M.E.:* Ale nie w Afryce... Tutaj nie można robić radosnego festynu, tutaj trwa festyn śmierci. Przy dźwiękach tam-tamów Afryka umiera na AIDS. Czy naprawdę wy tam tego nie widzicie? Jakie spustoszenie sieje ta choroba w ludziach, w samym Zairze na przykład? Wycieńczony organizm łatwo się poddaje, czasami od zarażenia do śmierci upływa nie więcej niż parę tygodni... W naszym szpitaliku są teraz cztery takie dogorywające osoby, nie licząc mnie, piątej... Opiekujemy się kilkudziesięcioma chorymi, którzy powinni być teraz w szpitalu, ale nie ma dla nich miejsca.

Po raz drugi w tym tygodniu Eliza wyruszyła do śródmieścia, tym razem umówiona była z kobietą pracującą w Fundacji Adenauera, która ma przedstawicielstwa w Afryce. Była dobrą znajomą Kirchhoffa, przez pewien czas pracowała nawet w jego kancelarii. Eliza miała nadzieję, że tą drogą zdoła się dowiedzieć czegoś o losach swojego sekretarza. Obawiając się spóźnienia, wszędzie teraz były korki, z odpowiednim wyprzedzeniem zamówiła taksówkę. Kiedy przybyła na miejsce, okazało się, iż jest o pół godziny za wcześnie. Nie weszła więc do środka, ale usiadła przy jednym ze stolików na zewnątrz. Dzień był słoneczny, lecz dosyć chłodny i stoliki były puste, tylko przy jednym z nich siedziała starsza kobieta, dość elegancka. Miała na sobie tweedowy płaszcz w kolorze popielatym, a na głowie ciemnobordowy kapelusz. Była z psem, jamnikiem, który robił wiele hałasu. Eliza przyglądała się jego skokom i ze zdumieniem stwierdziła, że nie jest to bezmyślna bieżanina. Zwierzę urządziło sobie zabawę z fontanną, która uformowana była w kamienne fale. Ze szczelin pomiędzy tymi blokami, w określonych odstępach czasu wytryskiwała woda i jamnik doskonale się w tym orientował. Wskakiwał na kamienie, gdy strumyczki wody się chowały, i odskakiwał, gdy pojawiały się znowu. Czasami mu się to nie udawało i woda oblewała mu brzuch.

Dlaczego nie mam chociaż psa?, pomyślała. Teraz już na to za późno, w pensjonacie nie można było trzymać zwierząt.

Zbliżała się umówiona godzina, weszła więc do środka. Stolik przy oknie, przy którym zwykle siadała, zajmowała młoda para. Dziewczyna sączyła napój przez słomkę. Była ładna, miała jasne, luźno puszczone na ramiona włosy. Czy była zakochana w tym lekko naburmuszonym chłopcu? Dlaczego siedzieli tak daleko od siebie?

Świat się zmienił, odkąd Eliza przyjechała tu po raz pierwszy. Była w wieku tej dziewczyny, ale do kawiarni przychodziła sama. Wojna zabrała jej wszystko, miłość, dom rodzinny, nawet ojczyznę. Wtedy wydawało się, że nie zagrzeje długo miejsca w tym mieście, że wyjedzie stąd prędzej czy później, tak jak z Berlina, a pozostała do późnej starości.

Wciąż pamięta treść pisma, które podsunął im wtedy z Marianną do podpisu polski urzędnik. Było tam takie sformułowanie, że dobrowolnie zrzekają się obywatelstwa polskiego i nigdy tu nie wrócą. Pod karą więzienia!

– Nie będę mogła przyjechać nawet w odwiedziny? – spytała naiwnie szwagierka.

– A kogo wy tu chcecie odwiedzać? Tych, coście pomordowali? – usłyszała w odpowiedzi.

Gdy znalazły się na ulicy, Marianna powiedziała:

– W naszych papierach wpisane jest dziecko.

– Powiemy, że zaginęło po drodze.

Szwagierka wyglądała na wystraszoną.

– Ale jak chcesz tu wrócić? Oni cię aresztują.

– Tutaj jest taki bałagan, że zdobędę nowe papiery dla siebie i dla Julii.

A gdyby uległa perswazjom Marianny, gdyby zabrała córkę w tamtą podróż, czy teraz byłoby razem?

Do stolika podeszła elegancko ubrana kobieta w średnim wieku, miała na głowie nieduży kapelusz z wywiniętym rondem.

– Pani Eliza von Saarow? – spytała z uśmiechem.

– Tak, to ja.

– Miło mi, nazywam się Corina Braun i jestem znajomą mecenasa Kirchhoffa.

– Właśnie na panią czekam – odrzekła Eliza – proszę...

Przywołała kelnerkę, znajoma Kirchhoffa zamówiła kawę. Była chyba ładna, miała bardzo staranny makijaż. Takie zrobienie twarzy musiało zajmować dużo czasu, już samo umalowanie rzęs, z których każda była pociągnięta tuszem i podwinięta do góry.

– Proszę pani – zaczęła uroczyście Eliza – mój problem jest następujący. Posłałam do Afryki, ściślej do Zairu, swojego sekretarza. Miał tam załatwić pewną sprawę i wrócić. Tymczasem przepadł bez wieści. Ani jego, ani jakiegokolwiek wiadomości. I to od sześciu tygodni.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Sześć tygodni w Zairze to zaledwie chwilka. Tam się nikt nie śpieszy.

Eliza poprawiła nerwowo włosy.

– Mógłby chociaż wysłać telegram.

– Może wysłał, ale telegram jeszcze nie doszedł. Zależy, gdzie ten pan przebywa, jeżeli w stolicy, w Kinszasie...

– Nie, nie – przerwała niecierpliwie – nie w Kinszasie, daleko od Kinszasy, gdzieś w buszu, tam jest misja katolicka... Miejscowość nosi nazwę Kolwezi... Czy to coś pani mówi?

Jej rozmówczyni pokręciła przecząco głową.

– Nic mi nie mówi, ale to prowincja, nie tak łatwo stamtąd wysłać telegram, a nawet jest to chyba niemożliwe. Nie wiem, czy pani się orientuje, że w Zairze nie ma listonoszy.

Eliza spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Jak to, nie ma listonoszy? Wszędzie muszą być listonosze.

– Jak widać, nie wszędzie. Tam to się odbywa na zasadzie uprzejmości, ktoś jedzie, zabiera korespondencję. Trwa to miesiącami...

– Więc jaki jest sposób dotarcia do tej osoby?

Nie otrzymała na to odpowiedzi, bo w torebce kobiety zadzwonił telefon komórkowy. Wyjęła go i z przepaszającym uśmiechem przystawiła do ucha, co Eliza uznała za nietakt.

– Mój teść nie założył w ogóle telefonu, uważając, że będzie tylko zakłócał spokój. Ciekawe, co by powiedział na te wszystkie komórki – stwierdziła sucho, gdy kobieta skończyła rozmawiać.

– Pani teść miał absolutną rację, ale takie są czasy, że człowiek staje się zakładnikiem wytworów cywilizacji... Co do naszej sprawy, postaram się coś zrobić. Zawiadomię panią telefonicznie... – urwała nagle.

– Ja mam telefon – uśmiechnęła się Eliza.

Wracał znajomą drogą, na skróty, pomiędzy lepiankami. Nie był to dobry pomysł, po ulewnych deszczach gliniaste podłoże rozmiękło i nogi grzęzły w lepkiej mazi. Afrykańczykom było o tyle łatwiej, że chodzili boso i nic im się nie przylepiało do zelówek. Przypomniało mu się stwierdzenie ojca Josefa, że tutaj ludzką zamożność mierzy się ilością par butów, im więcej ich masz, tym jesteś bogatszy. Co tam złoto i brylanty, trzewiki i kamasze to jest dopiero majątek.

Myślni błądził wciąż wokół rozmowy z matką Elżbietą. Nagrywanie wypadło sztywno, za mało płynnie. Właściwie ona nie mówiła, lecz przemawiała. Ale te jej ostatnie słowa! Czy miały oznaczać, że matka Elżbieta umiera na AIDS? Czy to z tej przyczyny nic konkretnego na temat jej

choroby nie mógł się do tej pory dowiedzieć? Każdy, kogo o to pytał, wykręcał się od odpowiedzi, nawet doktor, który przyjeżdżał tutaj z Lubumbaszi. Vaclav poprosił go o przysługę. Już dawno napisał do pani Elizy, ale nie wiedział, jak wysłać stąd list. Powiedziano mu, że tylko przez okazję. Więc doktor był taką okazją. I obiecał zabrać przesyłkę następnym razem, od kilku tygodni jednak się nie pojawiał. Rzeka wezbrała i prom przestał kursować, a o naprawieniu mostu nikt do tej pory nie pomyślał. Wyglądało na to, że są odcięci od świata.

– Trzeba czekać, aż przejdą deszcze – powiedział uspokajająco ojciec Josef.

– Pora deszczowa kończy się podobno dopiero w maju – zaniepokoił się Vaclav. – Czy to znaczy, że do maja nikt się stąd nie wydostanie?

Zakonnik uśmiechnął się.

– Wystarczy jeden dzień słońca, aby się natychmiast osuszyło.

– Przecież jest słońce.

– Ale to nie jest to słońce – odrzekł tajemniczo ojciec Josef.

Wszyscy tutaj byli bardzo rozmowni, wystarczyło jednak zadać najprostsze pytanie, aby natychmiast nabrali wody w usta. Skoro uzyskanie informacji na temat pogody stanowiło problem, co mówić o tak ważnej sprawie jak choroba matki Elżbiety. Był bardzo ciekaw, czy ojciec Josef znał prawdę i zachowywał ją dla siebie, czy jak on nie był wtajemniczony. Co miały oznaczać słowa: „W naszym szpitaliku dogorywają cztery osoby na AIDS, nie licząc mnie, piątej”. To nie było jasne. Te cztery osoby, wiadomo. Ale piąta... Czy to znaczyło, że jest umierająca, czy że umiera na AIDS? To przecież ogromna różnica... A ona tak to rzuciła mimochodem. „Nie licząc mnie, piątej”. Może w taki sposób go ostrzegwała, wyjaśniała, dlaczego odgradzeni są od siebie gęstą siatką, przez którą nie można dojrzeć twarzy. Ale przecież wirus wywołujący tę chorobę nie fruwa w powietrzu, wirusem HIV zaraża się przez krew. Więc takie odgradzanie się od świata wygląda dość teatralnie. I bez tego czuł się trochę jak w teatrze. Ta sceneria, ci ludzie dookoła, wszystko było realne i nierealne zarazem, jak sen na jawie. Szczególnie zaraz po przebudzeniu musiał sobie uświadamiać, gdzie jest. Na co naprawdę była chora Marianna von Saarow? Nie mógł jej zapytać wprost. Jeżeli sama do tego nie wróci, na pewno nie zada jej takiego pytania.

Postanowił jednak przycisnąć ojca Josefa. Po kolacji. To był jedyny moment, kiedy udawało się zamienić z nim parę słów na osobności. Co prawda wtedy zakonnik też się spieszył na wieczorne modły, ale na kilka minut można go było zatrzymać.

Jeszcze w sali jadalnej, w której ustawiony był długi stół z ławami po obu stronach, Vaclav rozpoczął rozmowę przygotowującą. Spożywali właśnie placki kukurydziane w jakiejś polewie.

– Dzisiaj nagrałem pierwszą rozmowę z matką Elżbietą – rzucił od niechcenia. Pochyleni nad swoimi talerzami misjonarze przestali jeść, niektórzy odwrócili głowy w jego stronę.

– To bardzo dobra wiadomość – ucieszył się ojciec Josef. – Musi pan z matki Elżbiety wyciągnąć jak najwięcej, żeby to zostało, nie przepadło. Zair bez niej nie będzie już tym samym miejscem na ziemi...

– Dlaczego tak się z nią wszyscy żegnacie? Ona choruje, ale to wcale nie znaczy, że nie wyzdrowieje...

Zapadła cisza.

– Mówiła mi, że w ich szpitaliku jest czterech chorych na AIDS. Kto się nimi opiekuje? – spytał, gdy szli z ojcem Josefem korytarzem, w pewnym oddaleniu od reszty zakonników.

– Siostry.

– A inni chorzy? Nie boją się?

Ojciec Josef potarł łysinę znajomym gestem.

– Oni tutaj nie wierzą w zarazki, ale w przeznaczenie.

– A na co jest chora matka Elżbieta? – odważył się wreszcie zapytać.

Zakonnik nie odpowiedział.

*Zapis rozmowy z 12 listopada 1999 roku*

*Matka Elżbieta:* Musi pan wiedzieć, że w miastach żyje tylko niewielka liczba ludności Zairu, większość koczuje po lasach i sawannach, jedzą to, co upolują, często nawet jakieś robactwo.... Dla Europejczyka to nie do przyjęcia. Oni na przykład mięso solą i suszą na słońcu, spożywają je nawet mocno cuchnące... Początkowo mnie to przerażało, biały człowiek po zjedzeniu kawałka czegoś takiego śmiertelnie by się zatrzał...

*Vaclav Pavelka:* To dlatego ojciec Josef karmi mnie na okrągło plackami z kukurydzy albo jakąś papką.

*M.E.:* W tym klimacie to naprawdę najzdrowsze.

*V.P.:* A czy matka pamięta jeszcze śnieg?

*M.E.:* Nawet biegam po nim boszo w snach, te sny są tak realne, że czuję, jak marzną mi stopy...

*V.P.:* Przez trzydzieści lat nie opuszczała matka Afryki?

*M.E.:* Nie ruszałam się stąd.

*V.P.:* Dlaczego?

*M.E.:* Bo tutaj się wszystko zaczynało walić. Nawet jak wyjeżdżałam na kilka dni do Lubumbaszi albo do Kinszasy, po powrocie zastawałam bałagan, dzieci nie przychodziły do szkoły...

*V.P.:* A teraz?

*M.E.:* Teraz jeszcze nad tym panuję, a jak odejdę, Berta będzie musiała sobie radzić sama. Siostra Berta to moja nadzieja, zresztą nie ma ludzi niezastąpionych. Słynna matka Teresa odeszła, a los jej podopiecznych niewiele się zmienił, jak byli chorzy i nieszczęśliwi, tak nimi pozostali. Ona umiała tylko gładzić ich po główce, według chrześcijańskich ideałów: pokora nade wszystko.

*V.P.:* A matka nie chciała być pokorna?

*M.E.:* Raczej nie umiałam, przybyłam tutaj z głową pełną pomysłów uszczęśliwiania moich podopiecznych na siłę, ale ich los mnie od tego odwiódł. Pojęłam, że przedstawianie im nauk Kościoła w takiej formie, jak to czyni Pismo Święte, byłoby czymś nazbyt okrutnym. Papież chciał, aby w Zairze wierni modlili się do Boga po afrykańsku, ale jak już panu mówiłam, pojawia się w tym momencie pytanie: kim jest ten Bóg? Czy ma twarz Chrystusa, czy jednego z wielu tutejszych bożków? Wie pan, oni tutaj nie znają takich pojęć, jak grzech, pokuta, kara. Więc jak mają uczestniczyć w Eucharystii? Jak mają prosić o odpuszczenie grzechów, skoro dla nich to tylko pusty dźwięk? Dla nich śmierć jest nagrodą za ziemskie życie. Wierzą, że wszyscy trafią do idealnej wioski, będą najedzeni do syta, kobiety się nie będą starzeć, a każde urodzone tam dziecko będzie szczęśliwe...

*V.P.:* Ale skoro matka nie przyjechała tutaj nauczać religii, jaki sens było zostawać tak długo?

*M.E.:* Przyjechałam nauczać, ale to Afryka uczyła mnie, zrozumiałam, że Kościół musi wpuścić trochę świeżej krwi, jeżeli nie chce utracić wyznawców, których jeszcze ma. Wydawało mi się, że Jan Paweł II to rozumie, i oczekiwałam po tej wizycie jakiegoś przełomu... ale tak się nie stało. Kolejne pielgrzymki Ojca Świętego to było wciąż to samo przedstawienie folklorystyczne z papieżem w roli głównej. Pomyślałam: dobrze, że jest już stary, może po nim przyjdzie jakiś prawdziwy Odnowiciel...

*V.P.:* To samo myślał Gorbaczow o pierestrojce, a doprowadził do upadku imperium; oczywiście, zachowując proporcje, papież może myśleć podobnie. Kościół jest w swojej istocie niereformowalny, może albo trwać w niezmienionej formie, albo upaść.

*M.E.:* Kościół musi iść z duchem czasu albo stanie się anachroniczną instytucją, której zakazy i przykazania wierni będą łamać z konieczności. Już łamią... przykładów podawać nie muszę.

*V.P.:* Ale jeżeli łamie je osoba duchowna, to chyba nie jest dobrze.

*M.E.:* Ma pan mnie na myśli? Nie mogłam inaczej i Bóg, jako mądrość najwyższa, to zrozumie, czuję w Nim oparcie... Wiem też, że nie gniewa się na swoje tutejsze dzieci, które wyobrażają sobie, że rządzi ludźmi i zwierzętami, a przemawia za pomocą piorunów i błyskawic... Wśród ludów pasterskich Istota Najwyższa jest przede wszystkim dawcą deszczu, jej składa się ofiary i do niej wysyła prośby...

*Y.P.:* No bo Bóg jest dawcą deszczu!

*M.E.:* Ale ten Bóg, dawca deszczu, świetnie się obchodzi bez swojej ziemskiej administracji, to jest Bóg biednych ludzi...

*V.P.:* O takim Bogu mówi też papież.

*M.E.:* Jego Bóg nie lubi kobiet, z najpiękniejszej sprawy, jaką jest macierzyństwo, uczynił piekło... ten nakaz rodzenia jest takim samym błędem jak inkwizycja!

*V.P.:* Więc dlaczego matka nie opuściła Kościoła?

*M.E.:* Służę Bogu i ludziom... nie papieżowi!

*V.P.:* Ale papież tylko pilnuje, aby prawo boskie było przestrzegane. Mówiliśmy już o tym.

*M.E.:* Prawo boskie nakazuje przede wszystkim strzec życia już poczętego, a wiele kobiet oddaje swoje życie zbyt wcześnie, umierają w połogu, rodzą dzieci zarażone AIDS... krew afrykańskich położnic jest zatruta...

*V.P.:* W jakimś stopniu...

*M.E.:* W stopniu zatracającym, kilkanaście moich uczennic, położnych, już nie żyje, zarażyły się AIDS, odbierając porody... ja też się zaraziłam...

No tak, wszystko już zostało powiedziane, myślał, wracając do misji, tym razem okreśną drogą, bo przez ostatnie trzy dni lał deszcz. Przez Kolwezi przesuwawa się ściana wody, przesłaniając wszystko. Miało się wrażenie, że powietrze jest wodną zawiesiną. Dzisiaj po raz pierwszy pokazało się zamglone słońce. Dawało to niesamowity efekt, mgła była ruchoma, czołgała się tuż przy ziemi, nogi grzęzły w niej do kolan.

Spotkał dawno niewidzianą A-iszę. Ona też brodziła w tym nieprzejrystym dymie. Widać duchy musiały ją opuścić, bo wyglądała normalnie. To znaczy miała jeszcze trochę nawiedzoną twarz, ale uśmiechniętą.

– Dokąd to idziesz, A-iszo?

– Do szkoły.

– O tej porze?

– Uczę się teraz na drugą zmianę, bo rano siedzę przy babci. Babcia jest chora.

Nie był to zbyt bezpieczny temat, więc starał się go jak najszybciej zmienić.

– Ale mokro, co?

– Przynajmniej nogi same się umyją – odpowiedziała, mrużąc lekko oczy, zapaliły się w nich iskiereki.

A-isza miała wrodzone poczucie humoru, jak zresztą większość jej współplemieńców. Zdumiewało go, jak przy, mówiąc otwarcie, nie najwyższej inteligencji potrafili złapać każdy dowcip. Śmiali się serdecznie, całym sobą.

– Byłem u matki Elżbiety, właśnie od niej wracam.

Dziewczynka położyła rękę na sercu.

– Matka Elżbieta jest tu.



- A mówiłaś, że w twoim sercu jest Jezus Chrystus.
- Ale serce ma dwa pokoje, w jednym jest mały Jezusek, a w drugim matka Elżbieta.

Patrzyła na niego z powagą.

- A dlaczego masz w sercu matkę Elżbietę?
- Wszyscy w Kolwezi mają w sercu matkę Elżbietę – odrzekła.
- Ale dlaczego?

Dziewczynka zastanowiła się.

- Bo matka Elżbieta przepędziła słonia.

Nie rozumiał, dlaczego było to takie ważne. Czy słoń był dla tubylców jakimś szczególnym stworzeniem? Słyszał, że tygrysy budziły powszechny lęk wśród Afrykańczyków, ale słoń? Spytał o to przy kolacji ojca Josefa. Zakonnik uśmiechnął się.

– To stara historia, ale wszyscy ją pamiętają i przekazują swoim dzieciom. Musi pan wiedzieć, że Afryką tak naprawdę rządzi strach. Ludzie tutaj boją się duchów, czarów, suszy, dzikich zwierząt... Ich stosunek do stworzeń w dżungli to rodzaj psychozy, napotkawszy na swojej drodze drapieżnika, nie uciekają, nie bronią się... Co innego, kiedy są na polowaniu, polowanie to zupełnie inna sprawa... ale spotkanie oko w oko z lwem albo tygrysem często kończy się dla nich śmiercią.

- Może chcą jak najszybciej znaleźć się w swojej idealnej wiosce, może to rodzaj samobójstwa? Zakonnik zaprzeczył.

- Paralizuje ich strach.

Vaclav nie mógł tego zrozumieć, przecież ci ludzie byli częścią tego łądu, tutaj się rodzi, spędzali całe swoje życie, powinni więc istnieć w jakiejś symbiozie z naturą, ze zwierzętami. A oni dawali się pożerać, jakby nagle zatracając instynkt życia.

- A wy im jeszcze dokładacie bojaźń bożą – powiedział surowo.

– Oho, szkoła matki Elżbiety – ojciec Josef wznosił palec do góry. – Ona im opowiada o niebie, ukrywając przed nimi piekło!

- Zaczynam myśleć, że ma rację.

Uświadomił sobie, że wprawianie ojca Josefa w konsternację sprawia mu pewnego rodzaju przyjemność, i odkrycie to zaskoczyło go. Nie miał najmniejszych powodów, aby wyrządzać zakonnikowi przykrość. Był to człowiek ze wszech miar uczciwy, pełen życzliwości dla bliźnich, ale trochę nudny.

- A co ze słoniem? – spytał, starając się pokryć zmieszanie.

– No tak... wydarzyło się to jakieś dwadzieścia lat temu, zresztą znam to ze słyszenia, nie było mnie jeszcze tutaj... – ojciec Josef potarł łysinę. – Siostry i jacyś tubylcy wieźli samochodem banany, jechali przez dżunglę. A musi pan wiedzieć, że słoń wyczuje banany na parę kilometrów. Tak się stało i tym razem. Zwierzę odkryło ich obecność. W tej sytuacji można było zrobić tylko jedno: wyrzucić banany i uciekać. Ale matka Elżbieta się nie zgodziła. I stało się, słoń zatarasował drogę. Był zły, zaczął walić trąbą w samochód, o mało go nie wyrzucił. Matka Elżbieta też się zezłościła, wysiadła i długą witką zaczęła okładać słonia po trąbie. Naturalną reakcją słonia powinna być jeszcze większa złość, a co za tym idzie, zdemolowanie samochodu i poturbowanie ludzi. To było naprawdę śmiertelne zagrożenie. Nie wiadomo dlaczego, po tym ataku naszej matki Elżbiety, który można byłoby porównać do walki Dawida z Goliatem, napastnik zaczął się wycofywać. Machał trąbą, groźnie ryczał, ale się cofał. Pozwolił im odjechać...

- I jak to tłumaczyli tubylcy?

– Uznali, że matka Elżbieta, jak Chrystus, potrafi czynić cuda. Chętnych, żeby się ochrzcić i przejść na jej wiarę, przybyło...

– Ale dlaczego ten słoń się właściwie wycofał – nie ustępował Vaclav – czy aby na pewno to był cud?

Ojciec Josef wznosił oczy do góry.

– O tym, czy mógł to być cud, powinna rozstrzygnąć odpowiednia kongregacja w Watykanie, ja znam matkę Elżbietę i wiem, że jest w stanie pokonać wszelkie możliwe przeszkody, jeżeli sobie

coś postanowi. Za jeszcze większy cud uważam zorganizowanie wiejskiego szpitala i zaopatrywanie go w leki niemal bez żadnych dotacji, a ona zorganizowała ponad trzydzieści takich szpitali...

Nie było po co dłużej się oszukiwać, została wytracona z normalnego rytmu dnia. Jej dawno zapomniane, jak się wydawało, życie powracało teraz w najdrobniejszych szczegółach. Gdyby nie wojna, może wszystko potoczyłoby się inaczej, pałac w Falkenbergu trwałby na swoim miejscu. I ona byłaby na swoim miejscu... Pamiętała tamten dzień, kiedy rządca, pan Redke, przybiegł zdyszany z nowiną, że władze polskie rekwirują środki transportu: samochody, powozy, bryczki, zabierają też konie. Matka Elizy stała wyprostowana, z pobladłą twarzą.

– Nie przyszli spytać właścicieli o pozwolenie?

– Spiesz się, pani baronowo – odparł rządca.

Matka nie ruszyła się z pałacu, ale Eliza udała się na folwark. Panowało tam wielkie zamieszanie, wrota od stajni otwarte były na oścież, pędzono konie, które tłoczyły się, ocierały o siebie bokami, niemal tratując się nawzajem. W powietrzu czuć było koński pot, rozlegało się dramatyczne rżenie. Koni najbardziej jej było żal, wśród nich znajdowali się przecież jej ulubieńcy, klacz pod siodło Walkiria, czarny jak smoła ogier Caruso, do którego nie pozwalano jej się nawet zbliżyć. Nosił miano konia-mordercy, znany z tego, że potrafił zrzucić i poturbować jeźdźca. Oczywiście, dosiąść go było jej najbardziej skrytym marzeniem. Wtedy po raz pierwszy dotarło do niej, że wojna nie jest zabawą. Do tej pory był to dla niej pusty dźwięk, od jakiegoś czasu chodziły pogłoski, że Niemcy zaatakują Polskę, ale zupełnie się tym nie przejmowała. Żyła w pełnym poczuciu bezpieczeństwa, uznawszy, że nawet jeżeli armie polska i niemiecka będą walczyły ze sobą, jej to nie będzie dotyczyło. Nikogo bliskiego nie wyprawiała na front, a mury jej siedziby rodowej były dostatecznie grube, aby ją obronić. Po południu tego dnia pojechały z matką na dworzec kolejowy, by wraz z innymi pożegnać odjeżdżającego do swojej jednostki Ulricha von Saarow, syna ich dobrych sąsiadów. Jeszcze wtedy nie wiedziała, że niedługo Ulrich zostanie jej mężem. Miał na sobie polski mundur kawalerzysty, było to o tyle dziwne, że on sam i odprowadzający go przyjaciele rozmawiali po niemiecku. Dopiero kiedy nadjechał pociąg, ludzie zebrani na peronie zaśpiewali: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy...” Niektóre kobiety ocierały łzy, ich bracia i mężowie żegnali się, pośpiesznie wchodząc do wagonów, język polski mieszał się z niemieckim. Następnego dnia wczesnym rankiem Eliza obserwowała z okien swojego pokoju nadlatujące samoloty z czarnymi krzyżami na skrzydłach, bombardowały jakieś obiekty w Zelden, rządca powiedział, że zniszczone zostało lotnisko wojskowe. Niemcy wkroczyli do Falkenbergu po paru dniach, Eliza była wtedy w sklepie, przez okno wystawowe widziała maszerujących środkiem ulicy żołnierzy, ich buty miarowo uderzały o bruk.

Właścicielka sklepu była Polką, Eliza dostrzegła na jej twarzy wyraz przestrochu i niepewności, kobieta obserwowała ten przemarsz armii Hitlera z rękoma skrzyżowanymi na piersi. A co czuła ona? Nic. Zupełnie nic. Nie było w niej nawet ciekawości, tylko zupełna obojętność. Nie interesowała jej polityka, to, w czyje ręce przejdą rządy na Pomorzu, w polskie czy niemieckie. W majątku zwożono teraz zboże do spichlerzy i ważne było, by utrzymała się piękna pogoda, by nie zaczęło padać. Czym jest wojna naprawdę, miała się przekonać po tygodniu. Rządca przyszedł do pałacu z wiadomością, że dziesięć kilometrów stąd znajdują się ich porzucone konie, doniósł mu o tym jeden z fernali, który mieszkał w pobliżu. Eliza pojechała z panem Redke, mimo sprzeciwu matki, ocalałą bryczką, której nie zarekwirovano, bo miała uszkodzone koło. Koń, jedyny, którego nie zabrano, bardzo wiekowy, ledwo powłóczył nogami, poruszali się więc dosyć wolno i Eliza miała odpowiednio dużo czasu, aby obejrzeć krajobraz po stoczonych tu przed kilkoma dniami bitwie. Zjechali z głównej drogi w las, w stronę plaży, na której toczyły się walki. Powiew wiatru sprawił, że poczuli odór rozkładającego się mięsa, przy niemal upalnej pogodzie było to wyjątkowo obrzydliwe. A potem ich oczom ukazał się widok, którego nigdy już nie potrafiła zapomnieć. Pośród przeredzonych, pościanych kulami armatnimi drzew piętrzyły się stosy trupów ludzkich i

końskich. Ochłapy ludzkiego i zwierzęcego mięsa przemieszane ze sobą tworzyły krwawe góry, z których wystawały potraskane kości. Na piasku leżał, niby odcięty gilotyną, koński łeb z wyszczerzonymi jak do śmiechu zębami. I ten odór nie do wytrzymania.

– Konie są na plaży – usłyszała zmieniony głos rządcy.

Poczęła biec, potykając się o wystające korzenie, w pewnej chwili nawet upadła, kalecząc kolano. Tuż za wydmą jej oczom ukazał się obraz niemal sielski, oświetlony słońcem piasek i spokojne, gładkie jak jezioro morze, którego powierzchnia przy delikatnych powiewach wiatru lekko się marszczyła. Konie stały stłoczone jeden obok drugiego, przywierając do siebie bokami. Niektóre przytulały głowy lub trzymały je sobie na grzbiecie. W pewnej odległości od całej grupy Eliza dostrzegła samotną sylwetkę konia. Zaintrygowało ją, dlaczego tak stoi na uboczu. Kiedy podeszła bliżej, rozpoznała ich ogiera, dumę i ozdobę stajni. Miał nisko zwieszoną głowę, jego wspaniała czarna grzywa spadała na oczy. Zrobiła jeszcze krok i zatrzymała się, z przerażeniem wpatrując się w krwawy kikut, który pozostał z jego przedniej nogi. W tym momencie zdała sobie sprawę, że uczestniczy w tej wojnie, czy chce tego, czy nie.

Ujęła słuchawkę i wykręciła numer kancelarii Kirchhoffa.

– Jestem coraz bardziej niespokojna – powiedziała, gdy odebrał telefon – ta twoja znajoma nabrała wody w usta. Rozmawialiśmy przeszło tydzień temu.

– Właśnie woda jest przeszkodą, nie można skontaktować się z misją, bo wylała rzeka, a innej drogi nie ma – usłyszała w odpowiedzi.

– Coś takiego – była naprawdę poruszona – nie pozostaje mi nic innego, jak wsiąść w samolot i samej to sprawdzić!

– Nie żartuj, *mon cheri*, Afryka to nie zabawa.

– Ale chyba można odnaleźć tam człowieka! Można wziąć ponton!

Kirchhoff roześmiał się.

– Elizo, proponuję podróż balonem, przynajmniej krokodyle go nie dosięgną.

– Stroisz sobie żarty, a ja się naprawdę niepokoję – powiedziała z rozżaleniem.

– Wiesz co, wpadnę do ciebie – zaproponował już zupełnie innym tonem – zastanowimy się, co zrobić.

Eliza dotknęła włosów. Podeszła do lustra i długo się sobie przyglądała, jakby nie mogła się rozpoznać. Pamiętała siebie inną, taką jak w młodości, z bujnymi, jasnymi włosami i wesołym spojrzeniem oczu. A ta starsza pani miała włosy kruche jak popiół i w oczach bezmierny smutek. Dlaczego jestem taka smutna?, pomyślała.

Kirchhoff przyjechał po dwu godzinach. Pokojowa podała kawę.

Kiedy zostali sami, powiedział:

– To wszystko jest takie tajemnicze. Co ty masz za sprawy w Afryce, czy mogę liczyć, że mi to wreszcie opowiesz?

– W Afryce od wielu lat przebywa moja szwagierka... – zaczęła.

Kirchhoff spojrział na nią ze zdumieniem.

– Szwagierka, czyli siostra męża?!

– Miałam kiedyś męża... i miałam dziecko – powiedziała wolno.

Tego dnia Marianna nie czuła się dobrze, przed oczyma pojawiały jej się ruchome czarne punkciki. Wirowały w powietrzu, układając się w dziwne znaki, mogło to oznaczać, że dzieje się coś z jej krwią. Doktor Murney na to przedziwne planetarium miał nawet medyczne określenie: mroczi. Właściwie należało go wezwać. Prom ciągle nie kursował, a ona nie miała najmniejszej ochoty na wysłuchiwanie jego kazań. Co powinna była zrobić, a czego nie... Poczciwy z niego człowiek, ale pozbawiony życiowej fantazji. Nie potrafili się porozumieć. Nie próbowała mu nawet tłumaczyć, dlaczego postanowiła tu zostać do końca. Sama dobrze tego nie wiedziała. Do tej pory trzymało ją poczucie obowiązku, przeświadczenie, że w momencie, w którym opuści Zair, cała jej

praca pójdzie na marne. Ten ogromny wysiłek, jej samej i wszystkich sióstr, z którymi przez te lata pracowała. Niektóre nie potrafiły się przystosować do trudnych warunków, opuszczały misję, innym ona sama radziła, aby wyjechały. Tutaj oprócz wiary w Boga i praktycznych umiejętności potrzebna była jeszcze miłość bliźniego, którą miejscowi wystawiali na ciężką próbę. Pozornie łatwo było do nich dotrzeć, na wszystko się od razu godzili, gotowi przyjąć chrzest i uważać się za chrześcijan, ale jednocześnie nie można było wykorzenić z nich starych wierzeń i przesądów. Afrykańczycy wyznawali zasadę, że trzeba brać, co dają, niczego nie ofiarowując w zamian, bo kiedy się jest tak biednym, każdy ubytek jest dużą stratą, w sensie duchowym i materialnym. Można więc zostać chrześcijaninem, ale nie zaprzestać składania hołdów innym bogom, im więcej ma się bowiem bogów, tym lepiej. Tak jak lepiej mieć trzy żony niż jedną... Umysły jej podopiecznych były giętkie jak trzciny, byle wietrzyk przechylał je w jedną albo w drugą stronę. Trzeba było bardzo się napracować, aby zechciały stawiać opór. Pięknym przykładem mogłaby być jej wychowanka Noeli. Asystowała przy jej narodzinach, a potem, gdy dziewczynka podrosła, zabrała się za jej edukację. Noeli była tak samo zdolna jak mała A-isza, chłonęła wiedzę przez skórę. Marianna poważnie myślała o tym, aby ją posłać dalej do szkoły, ale zaniechała tej myśli, kiedy się okazało, że dziewczynka spodziewa się dziecka. Pod koniec dziewięćdziesiątego drugiego roku zaczęły się w tych okolicach zamieszki, politycy zrećcznie wykorzystywali antagonizmy pomiędzy miejscowymi Lundas a przybyłymi z północy Zairu Kasajczykami. Wojsko Mobutu niby miało pilnować porządku, ale tylko podsycalo te nastroje, przy okazji rabując wioski i gwałcąc kobiety. Bardzo często siostry udzielały schronienia młodym dziewczętom, które tropiono jak zwierzynę. Żaden rabuś, jak dotąd, nie odważył się wtargnąć na teren jej misji, chociaż były przypadki, że misje płańdowano. Zabito nawet dwie zakonnice, ale to było na północy. Raz zdarzyła się niebezpieczna sytuacja, kiedy kilku żołdaków w pogoni za dziewczętami zaczęło się dobijać do drzwi. Marianna otworzyła im, stając w progu.

– Czego sobie życzycie? – spytała po francusku.

Odpowiedzieli, że podejrzewają, iż na terenie misji ukrywają się bandyci.

– Nie ma tu żadnego mężczyzny – odrzekła, przybierając surowy wyraz twarzy.

Wsparci na karabinach, śmierzdzący potem i piwem pędzonym z prosa, naradzali się w swoim języku, sądząc, że ich nie rozumie. Ale ona ich rozumiała, tym językiem posługiwali się mieszkańcy wioski, w której spędziła wiele lat. Był to zupełny przypadek, bo tutejsze narzecza miały tyle odmian, że sami Afrykańczycy często nie potrafili się porozumieć. Teraz postanowiła to wykorzystać. Kiedy jeden z nich spytał:

– To co? Wchodzimy?

– Nie wchodzicie – odrzekła – grzecznie się wycofujecie.

Byli tak zaskoczeni, że naprawdę się wycofali.

Ale wychowanka Marianny miała mniej szczęścia. Jej mężem był Kasajczyk, za co musiała zapłacić cała rodzina. Żołnierze zabili jej rodziców i braci, którym przedtem wylupili oczy. Zabili też Noeli, potem przystawili niemowlę do ran na jej piersi, aby ssało krew. Kiedy po odejściu napastników powiadomiono o wszystkim Mariannę, było za późno. Patrzyła na martwą młodziutką matkę trzymającą w objęciach martwe niemowlę, na jej piersi zalane krwią i pomyślała, że to jest prawdziwy obraz afrykańskiej Madonny...

Były takie chwile, kiedy czuła się bezsilna i przeklinała pomysł przyjazdu do Afryki. Potem to mijało i znów czuła, że jej życie zaczęło nabierać wagi dopiero tutaj, w trudnych warunkach, pośród tych ludzi ufnych i życzliwych jak dzieci i jak dzieci okrutnych. Tylko jak to wszystko zawrzeć w słowach, jak zanotować na taśmie? Przecież pewne fragmenty jej losu były tak do siebie nieprzystające, że nie potrafiłaby z tego złożyć jakiejś całości. Ona sama, co dopiero inni. Jak na przykład wytłumaczyć komuś, że się było matką, nie będąc nią naprawdę... I że to nie ona o tym zdecydowała, lecz sytuacja, którą można by nazwać przeznaczeniem.

Stawiły się z Elizą na dworcu, ale zanim tam dotarły, musiały przejść kilka kontroli dokumentów, bo ulice wokół stacji kolejowej i sam dworzec obstawione były uzbrojonymi

patrolami milicji. Kilka razy je zatrzymywano, a od drzwi budynku dworcowego do kasy prowadziło je dwóch umundurowanych Polaków. Można powiedzieć, że kupowały bilety, czując dotyk lufy karabinu na plecach. Potem przemarsz na peron. Pociąg już podstawiono. Był długi, złożony jakby z dwóch składów, z przodu wagony osobowe, z tyłu towarowe, do przewożenia bydła. Nieduże okienka zabite na krzyż, przesuwane drzwi. Tam je skierowano. Jeden z milicjantów, ich honorowa eskorta, odsunął drzwi i kazał wchodzić do środka. W wagonie panował ścisk, nie dawało się wbić szpilki, każdy centymetr miejsca był wykorzystany, zajęty przez nieszczęsnych pasażerów i ich dobytek, walizki, tłumoki.

– Wsiadać! – wrzasnął milicjant i uderzył Elizę kolbą w plecy.

To wyrwało je z odrętwienia, spróbowały jakoś wcisnąć się do środka. Ludzie niechętnie się przesuwali. Milicjant z rozmachem zamknął drzwi. Otoczyła je ciemność.

– Tak mamy jechać? – spytała z niedowierzaniem.

– Tak teraz podróżują Niemcy – odpowiedział jej obcy głos. – Polacy wymiatają nas jak śmieci...

Wagon szarpnął, ludzie siedzący wprost na podłodze, pozbawieni oparcia, wpadali jedni na drugich. Jakaś kobieta głośno załkała:

– Co ja zrobiłam! Gdzie ja jadę!

Pomyślała tak samo, wsłuchując się w równomierny stukot kół pociągu.

Słońce zniknęło z kwadratu okna, a więc zbliżał się wieczór. Musiała przespać cały dzień. Usłyszała kroki i do pokoju zajrzała Berta. Czowała i troskliwa jak córka. Czulsza, skonstatowała ze smutkiem. Mała Eliza była oschła z natury i zamknięta w sobie. Nigdy nie potrafiła odgadnąć, co dziewczynka naprawdę myśli. Zupełnie jak jej imienniczka. Tamta Eliza nie spoglądała prosto w oczy, ale gdzieś ponad jej głowę. I udzielała odpowiedzi wymijających. Spędziły ze sobą tyle czasu, a Marianna nic nie wiedziała o bratowej, kiedy jest jej źle, kiedy się czuje szczęśliwa. O szczęściu w ich sytuacji nie można było myśleć, ale bywały przecież dni lepsze i gorsze. Jaki Eliza ma dzień, nie była w stanie odgadnąć... A mała Eliza, która już się zrobiła duża, była jak obraz i podobieństwo tamtej. Też unikała jej wzroku.

Berta odstłoniła siatkę i pochyliła się nad nią. Miała szeroką, nieładną twarz, której ozdobą były oczy o głębokim, mądrym spojrzeniu.

– Jak się matka czuje? Czy mogę przynieść obiad? Spała matka... nie chciałam budzić....

– Bywało lepiej – odrzekła, starając się pokonać nagłą słabość, nawet mówienie sprawiało jej trudność. – A jeść jakoś mi się nie chce...

Berta miała zatroskaną twarz.

– Musi matka coś zjeść... Był tutaj ten pan, chciał nagrywać.

Ta wiadomość okazała się ożywcza. Marianna poczuła nagły przypływ sił. Zakrawało to niemal na cud, z sekundy na sekundę opuściła ją poprzednia niemoc. Nawet głos jej się zmienił.

– Trzeba było mnie obudzić! Ja mam tak mało czasu!

Ta nagła przemiana zdumiała nie tylko ją, Berta także wyglądała na zaskoczoną. Ale jako osoba nadzwyczaj dyskretna nie dała jej tego odczuć.

– To posłać po niego?

– A która godzina?

– Siódma wieczorem.

– Nie, już jest późno. Niech przyjdzie rano.

Starła się pojąć, co takiego zaszło pomiędzy nią a tym młodym człowiekiem, którego nawet nie widziała zbyt dobrze spoza gęstej zasłony. Docierał do niej tylko jego głos. Już pierwszego dnia odczuwała niezrozumiałe wzruszenie, słuchając go, nie było nawet takie ważne, co do niej mówi. To był jej język ojczysty, jej mowa... Tak to sobie tłumaczyła, ale przecież z Bertą też rozmawiały po niemiecku, kiedy były same, i niczego podobnego nie odczuwała. Może dlatego, że poczciwa siostra miała nieprzyjemny, wibrujący tembr głosu, szczególnie kiedy była zdenerwowana. Aż

świszczało w uszach, gdy zaczynała mówić. Nie, mimo wszystko nie chodziło o niemiecki... To obecność tego Czecha. Chociaż nie zawsze się z nią zgadzał, czuła, że oboje widzą świat tak samo. Dawno nie doświadczyła takiej wspólnoty myśli z drugą osobą...

Eliza spacerowała po parku. Dzień był wyjątkowo ciepły jak na tę porę roku, przez pozbawione liści konary drzew prześwitywało blade słońce. Zapuszczała się dalej niż zwykle, bo aż nad schowane za pagórkami jezioro. Zeszła na sam brzeg i zapatrzyła się w wodę. Myślami stale krążyła wokół spraw minionych i dawno, jak sądziła, pogrzebanych. Przeszłość jednak ożyła, a wraz z nią powróciło dręczące pytanie, na które nie znajdowała odpowiedzi... Dlaczego nie szukała potem swojej córki? Marianna powiedziała tylko, że jej nie odnalazła... Teraz mogłoby się to komuś wydawać niezrozumiałe, ale w tamtej sytuacji... Była tak przerażona. Myśl, iż będzie musiała wziąć odpowiedzialność także za swoje dziecko, jeszcze to przerażenie potęgowała. Utknęła w Berlinie, gdzie nie miała się do kogo zwrócić o pomoc. Zanim dotarli z Marianną do granicy, ograbiono je ze wszystkiego, z pieniędzy, ubrań, nawet buty kazano im zdjąć z nóg. Starsza kobieta, współtowarzyszka tej upiornej podróży, ulitowała się nad nią i dała jej stare, wykrzywione pantofle, na które rabusie się nie połączyli, poratowała też Mariannę. Zdarto z niej sukienkę, pozostawiając w samej koszuli. Ubranie, którego użyczyła jej ta kobieta, było znoszone i pocerowane, szwagierka przypominała w nim żebraczkę.

Czy ktoś, kto chciałby teraz ją sądzić, wie, co to znaczy znaleźć się w obcym mieście bez dachu nad głową i środków do życia? Miały adres dalekich krewnych matki, ale kiedy tam dotarli, okazało się, że dom został zbombardowany, tak jak inne domy w tej okolicy. Na pustyni z gruzu nie było nawet kogo spytać, czy ludzie ci zginęli, czy też przetrwali nalot i gdzieś się wynieśli. I znowu pomogła im ta przygodna znajoma. Gdy się rozstawały na dworcu, zapisała na kartce adres, pod który miały się udać, gdyby nie odnalazły swoich bliskich. Ich przybycie nie zostało radośnie powitane, w ciasnym mieszkanku gnieździła się liczna rodzina, a teraz doszła jeszcze ciotka z Pomorza. Ale nie wyrzucono ich na ulicę, dostały kąpiel w przedpokoju za zasłonką, a siostrzeniec kobiety z pociągu obiecał pomóc w znalezieniu dorywczej pracy. Kiedy tak leżały na barłogu zrobionym z worków i starego koca, spytała szeptem szwagierkę: „Widzisz tutaj z nami dziecko?”.

Usłyszała czyjeś kroki, kiedy odwróciła głowę, rozpoznała Kirchhoffa. Jego niespodziewana obecność zaskoczyła ją, przez te wszystkie lata nie zdarzyło się, aby ją odwiedził bez uprzedzenia. Widocznie musiało się wydarzyć coś nagłego. Może Marianna umarła, przebiegło jej przez myśl.

– Co się stało, Heini? – spytała, patrząc na niego w napięciu.

Uśmiechnął się, ale minę miał dość niepewną.

– Nic się nie stało... pomyślałem, że powinniśmy porozmawiać.

– O czym?

Kirchhoff dotknął policzka, jakby coś z niego strzepując.

– Wydawało mi się, że cię dobrze znam, Elizo, a ty miałaś jakieś drugie życie, o którym nic nie wiem...

– A dlaczego miałbyś o nim wiedzieć?

– Znamy się tak długo, jesteśmy zaprzyjaźnieni...

Uczynił nagły gest w jej stronę, chciała się odruchowo cofnąć, ale on tylko poprawił kołnierz jej płaszcza, który się zagiął.

– Przyjaźnisz się ze mną, a nie z tamtą kobietą, którą kiedyś byłem. Jej już od dawna nie ma...

– A jednak zdecydowałaś się jej poszukać.

– Jak to?

Patrzyła na niego zdumiona.

– Inaczej nie wysyłałabyś sekretarza do Afryki, do swojej krewnej.

Eliza nabrała powietrza.

– Zostałam do tego zmuszona.

– Kto cię zmusił?

– Ona. Marianna von Saarow napisała list, pół wieku się nie kontaktowałyśmy, a teraz nagle sobie o mnie przypomniała i czegoś ode mnie żąda, wymaga... – Znowu nabrała powietrza, jak człowiek, któremu brakuje go w płucach. – Nie jestem w stanie ci tego wytłumaczyć, proszę cię, nie pytaj...

– Niestety, muszę cię pytać, Elizo. Za dobrze cię znam, abym nie widział, co się z tobą ostatnio dzieje. Czujesz się osaczona, czegoś się boisz...

– Boję się? – spytała zaskoczona. – Czego ja się mogę bać?

– Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć! Co się stało z twoim mężem? Z twoim dzieckiem?

– Nie żyją – odrzekła i zaraz dodała: – tak sędzę...

Kirchhoff patrzył na nią jak prokurator. W jego wzroku wyczytała, że czeka na dalsze wyjaśnienia. Co mogła mu powiedzieć? Że nie pojechała do Polski po córkę, bo zbierając na nasypie kolejowym węgiel, skręciła nogę? Że zamiast niej pojechała szwagierka, ale nie przywiozła ze sobą dziecka? A ona po powrocie Marianny o nic jej nie spytała...

*Z rozmowy z 17 listopada 1999 roku*

*Matka Elżbieta:* Ten pociąg... jedno z gorszych moich wspomnień... W napaściach na nas, bezradnych, przerażonych, uczestniczyły polskie kobiety, częstokroć były bardziej brutalne i okrutne od mężczyzn... i bardziej domyślne, przed ich pazurami nie dało się ocalić niczego z marnego dobytku...

*Vaclav Pavelka:* Taki był czas, wszyscy jesteśmy więźniami czasu, swojego czasu... wszyscy płacimy haracz... A kto go ściąga, czy to takie ważne?

*M.E.:* Ważne. Jednak ważne. Te bandy czatujące na pociągi z uchodźcami działały pod osłoną polskich władz. Nie wierzę, aby to był przypadek, że pociąg nagle zwalnia w polu albo gdzieś w lesie i natychmiast jest obrabowywany. Tylko nas to dotyczyło, pasażerowie z „normalnych” przedziałów nie byli niepokojeni...

*V.P.:* To był raczej układ bandytów z maszynistą, a nie z władzami. Władze miały wtedy co innego na głowie.

*M.E.:* Myśmy mieli zagwarantowane prawnie przesiedlenie z całym dobytkiem i godne warunki tej przymusowej przeprowadzki. A wywożono nas stamtąd jak zwierzęta, w bydłowych wagonach... Jeżeli robiono to w ramach odwetu, to Polacy nie byli lepsi od Hitlera...

*V.P.:* Te wszystkie zbrodnie popełnili Niemcy, a nie Hitler osobiście. A pasażerowie pociągów do Auschwitz mieli prawnie zagwarantowaną śmierć.

*M.E.:* Ale to działo się już po wojnie. To były przecież stałe praktyki, te napaści na przesiedleńców, wszyscy o tym wiedzieli. Więc dlaczego nie zapewniono tym nieszczęśnikom ochrony, jakiejś eskorty? Uzbrojonych strażników pociągu? Tylko broń mogła odstraszyć bandy, to przecież był ich zawód, ich sposób na życie. Dostatnie życie. Wystarczyło obrabować jeden pociąg. Ludzie zabierali cały dorobek, to, czego nie mogli wziąć ze sobą, wymieniali na pieniądze. I tracili wszystko... Ten pociąg widmo miał swoje dwie strony: jasną i ciemną. Przednie wagony, osobowe, wiozły pasażerów, ludzi, którzy siedzieli na ławkach, prowadzili rozmowy, śmiali się, jak to podróżni, a z tyłu byliśmy my, stłoczeni, brudni, obdarci. Ciekawe, co sobie myśleli ci na przodzie.

*V.P.:* A co by matka chciała, żeby myśleli? Oczekiwałyby matka od nich współczucia? A komu matka współczuła przed wypędzeniem?

*M.E.:* Nie rozumiem już ludzi z tej lepszej części pociągu, Afryka to też taka gorsza część pociągu naszego świata, dlatego tu jestem...

Wracając z misji, Vaclav pogrążony w myślach pomylił drogę. Dopiero po długim czasie zorientował się, że znajduje się w innej części miasta. Była to dzielnica znacznie zamożniejsza od

tych, w jakich się obracał. Stały tu normalne domy, posesje ogrodzone były przyzwoitymi, prostymi płotami, a nie palikami jakby powykrzywianymi przez chorobę Świętego Wita. Ojciec Josef tłumaczył, że są to gałęzie wycinane w buszu, a więc najtańszy materiał budowlany.

Ulicę, w którą się zapuścił, porastały wysokie, nieznanne mu drzewa. Obsypane dużymi jasnoliliowymi kwiatami, tworzyły bajkową aleję. Stał tak z zadartą głową, oglądając ten cud natury, kiedy drzwi najbliższego domu się otworzyły i na ganek wyszła młoda kobieta. Była czarna. Patrzyła na niego bez uśmiechu. Ukłonił jej się z daleka, a ona zeszła po schodach i wolno, kołysząc biodrami, zbliżała się do płotu. Było coś takiego w jej postaci, że nie mógł oderwać od niej wzroku. Oglądał ją jak obraz namalowany przez genialnego malarza, jej kształtną, osadzoną na smukłej szyi głowę, odsłonięte ramiona. Miała na sobie bardzo kolorową, długą sukienkę, ściągniętą w pasie, materiał opinał biodra, uwydatniając zatrważająco cienką talię. Nieraz zdarzało mu się zapatrzeć na jakąś dziewczynę, a przyglądając się jej, po prostu konstatował fakt, iż jest ładna. Teraz nagle obecność tej dziewczyny była aż bolesna. Nie mógł niemal oddychać z zachwytem, miał uczucie, że nogi wrosły mu w ziemię. Stali w milczeniu, przedzieleni płotem. Z przerażeniem myślał, że ona zaraz odejdzie, a on nie potrafi jej zatrzymać. A jeżeli odejdzie, nastąpi katastrofa, do której nie wolno mu dopuścić. Nie zastanawiając się, co robi, otworzył furtkę i podszedł do niej. Wzięła go za rękę i poprowadziła po schodach do domu. Wszystko to odbywało się bez słów. Tuż za drzwiami Vaclav objął ją, całując zachłannie. Za wszelką cenę musiał do niej dotrzeć, dotykać jej skóry, pieścić piersi. Potrzebował jej i swojej nagości, to było jak wewnętrzny nakaz, eliminujący wszystkie inne uczucia. Zdierał z niej i z siebie ubranie, a ona nie broniła się, uległa, poddająca się jego namiętności, niemal szaleństwu. Wszystko działo się tak szybko, że nie miał czasu się skupić nad tym, czego doświadczał, nie miał czasu się nawet zdziwić, że zdolny jest do takiego uniesienia. Wszedł w nią z uczuciem najwyższego szczęścia. Odczuwał bliskość tej kobiety każdym nerwem, chciał mieć ją jak najbliżej. Jej twarde uda, obejmujące jego biodra, jej płaski brzuch, drobne piersi... Jeszcze jeden końcowy spazm, bolesne targnięcie całym ciałem...

Nagle poczuł się jak wyrzucony na brzeg, brutalnie oddarty od dziewczyny, mimo że była tuż obok. Wciąż oszołomiony, nie rozumiał, co się stało. Jak do tego doszło, że poszedł za nią do jej domu i chyba ją zgwałcił... Nie był tego pewien. Nie stawiała oporu. Teraz bał się poruszyć, jej ciało stało się nagle obce, nieprzewidywalne. Nic nie wiedział o jego właścicielce, bał się spojrzeć na nią, ale przecież będzie musiał. Po co nogi zanosły go do tej dzielnicy! Czy wynikną z tego jakieś kłopoty? Zawsze się obawiał, że sytuacja wymknie mu się spod kontroli, a teraz tak właśnie się stało. Z niewyjaśnionych powodów postradał zmysły i rzucił się na nieznaną sobie kobietę. I pewnie będzie musiał za to zapłacić.

Nie patrząc w stronę dziewczyny, zaczął zbierać swoje ubranie. Ręce mu się trzęsły, gdy naciągał spodnie. Kątem oka dostrzegł, że i ona się ubiera, po chwili zniknęła za jakimiś drzwiami. Przerażony, zapragnął uciec. Zszedł po schodkach na uginających się nogach, wkrótce był za bramą. Na ulicy, nie oglądając się, szybkim krokiem ruszył przed siebie. Za zakrętem zaczął biec.

Jak opowiedzieć komuś historię życia, która nie nadaje się do opowiadania, jak przedstawić fakty, które do siebie nie przystają? Komuś z zewnątrz wyda się to nielogiczne, zakrawające na szaleństwo. A czyż tak nie było? Czy jej historia, historia Elizy von Falkenberg, nie przypominała zapisków pijanego kronikarza? Siedzi taki skryba i notuje: „W dniu tym a tym osoby takie to a takie zawarły małżeństwo, które nie zostało jednak skonsumowane. Łóżko małżonków pozostało nietknięte, panna młoda swój wianek ofiarowała innemu...” Ciekawe, jaką minę miałby Kirchhoff, gdyby mu w ten sposób to przedstawiła? Albo taka historia: „Wymieniony tu mąż w wielkiej wojnie walczył po obu stronach, raz atakował z prawa na lewo, a potem z lewa na prawo...” Tak przecież było, Ulrich von Saarow jako obywatel polski został powołany do polskiego wojska, a po jego kapitulacji wzięty do niewoli. Groziło mu wysłanie do oflagu, wtedy przyznał się do swojego niemieckiego pochodzenia. Nie chciano mu dać wiary. Pomogła blizna nad łukiem brwiowym, tak zwany *Studenten Schmiss*. Bracia Saarow należeli do elitarnego związku, zrzeszającego synów z



zamożnych rodzin Pomorza Zachodniego, i tam właśnie powstała moda na cięcie floretem, jakby pasowanie na mężczyznę. Wszyscy trzej nosili takie blizny i bardzo byli z tego dumni. Bliznę nad brwią Wolfganga całowała wiele razy... Wtedy w trzydziestym dziewiątym roku Niemcy sprawdzali wiarygodność słów Ulricha, przyprowadzili jednego ze swoich oficerów, który też miał takie *Studenten Schmiss*, porównali cięcie, wszystko się zgadzało, Ulrich mógł wrócić do domu.

Kiedy brała z nim ślub, był już znowu cywilem, powrócił też do swoich ulubionych zajęć, do zarządzania majątkiem i polowań. Z czasem polowania stały się jego jedynym zajęciem... Już po wyjeździe Wolfganga był taki dramatyczny moment, kiedy na zamek dotarła wiadomość, że kogoś śmiertelnie postrzelono na polowaniu. W polowaniu tym uczestniczył Ulrich, a ponieważ się spóźnił, wszyscy się bardzo denerwowali. Eliza chciała nawet wziąć konia i jechać tam, ale nie bardzo się orientowała, gdzie dokładnie zdarzył się wypadek. I wtedy ktoś krzyknął, że wraca młody hrabia.

Wybiegła mu na spotkanie z otwartymi ramionami, ale wyminął ją i wszedł na schody, gdzie oczekiwał go ojciec. Czy naprawdę była zdecydowana przyjąć męża do swojego łóżka? Czy byłaby do tego zdolna, kochając innego? Tak. Już się przecież zdecydowała, powiedziała Wolfgangowi, kiedy wyjeżdżał na front, że nie mogą być razem. Była żoną innego. Była żoną jego brata. Wolfgang błagał ją, aby odeszła od Ulricha i czekała na niego, ale nie mogła tego zrobić. I już nie zobaczyła go żywego...

Więc jak to opowiedzieć? Kirchhoff, w imię ich trwającej równo pół wieku przyjaźni, żądał od niej wyjaśnień.

– Kochałaś dwóch mężczyzn naraz, Elizo?

– Nie, kochałam tylko jednego, ale nie tego, którego powinnam. Był młodszym bratem mojego męża. Poznałam go rano, w dniu mojego ślubu, i pokochałam go, a on mnie.

– To dlaczego nie odwołano ślubu?

Eliza uśmiechnęła się smutno.

– Bo już niczego nie dało się zmienić, bo wybuchłby skandal. Byłam za młoda, nie starczyło mi odwagi, aby odwrócić się od ołtarza i uciec...

Kirchhoff szedł obok niej w milczeniu, spacerowali po parku. Przychodził teraz codziennie.

– I dziecko miałaś z tym drugim? Z bratem?

– Tak – odparła krótko.

Wyprzedzał ją o pół kroku, widziała jego lekko przygarbione plecy.

– Nigdy bym nie przypuszczał – usłyszała. – Kiedy cię poznałem, byłaś taka młoda, taka niedoświadczona. Sądziłem, że twoim pierwszym mężczyzną był ten Jankes, i przeżywałem męki zazdrości.

– Jakie to teraz ma znaczenie – powiedziała miękko – to dawno umarłe życie...

– To ma znaczenie – odrzekł z naciskiem – przynajmniej dla mnie. Znasz moje uczucia, Elizo... one dotyczą ciebie całej, a więc także tamtego fragmentu twojego losu.

– Ale ja sama nie pamiętam już tamtej dziewczyny, jaką byłam. Może nie chcę pamiętać...

Dotarł wreszcie do budynku misji i od razu poszedł do swojego pokoju, tam rzucił się na łóżko. Ciągle nie mógł zrozumieć, co się stało. Gdyby jeszcze tego dnia rano ktoś mu powiedział, że postąpi w ten sposób, uznałby go za szaleńca. Czuł się tak, jakby na krótką chwilę odebrało mu rozum. I co ma teraz z tym zrobić? Przyznać się do wszystkiego? Ale przed kim? Przed matką Elżbietą? Ojcem Josefem? Jak im to wytłumaczyć? Naprawdę uznają go za niepoczytalnego, a to było chwilowe zamroczenie, zupełnie jakby ta kobieta rzuciła na niego urok. Nie wierzył w takie rzeczy, ale tak to wyglądało. Kim była? Dlaczego zaprowadziła go do swojego domu? I dlaczego przyzwoliła na ten akt szaleństwa? A nawet uczestniczyła w nim. W żadnym razie nie wolno mu myśleć, że cokolwiek stało się wbrew jej woli. Nie był jednak tego pewien do końca... gdyby chodziło o białą kobietę... Wiele wskazywało na to, że został sprowokowany. Ale był w Afryce. Tutaj ludzie zachowywali się jak małe dzieci, zawsze uśmiechnięci, godzący się na wszystko. Więc

jeżeli skrzywdził tę dziewczynę... Przypomniawszy sobie opowieść ojca Josefa o gwałcie, którego dopuścił się na jakiejś dziewczynce syn sąsiadów. Była niewinna, miała nie więcej niż jedenaście lat. Wystarczy spojrzeć na A-iszę, chudziutkie stworzenie o patykowatych odnóżach, bez najmniejszych oznak kobiecości... Więc ta dziewczynka poskarżyła się rodzinie. Doszło do awantury, skończyło się jednak na tym, że rodzice poszkodowanej otrzymali od rodziców gwałciiciela kożę i sześć kur, samą poszkodowaną musiał przyjąć pod swój dach sprawca czynu, a ponieważ był już żonaty, jego ofiara została drugą żoną. Po dziewięciu miesiącach urodziła dziecko...

A jeżeli od niego też zażądają jakiegoś zadośćuczynienia, przyjdą tu... przyprowadzą tę kobietę... Może o to chodziło, zastawiono pułapkę, w którą dał się złapać. Ślub raczej nie wchodził w grę, był przecież biały, ale pieniądze, ten sławetny bakszysz! Będzie poza tym skompromitowany, zapewne bracia każą mu natychmiast opuścić misję. I to właśnie teraz, gdy udało się przekonać matkę Elżbietę do nagrywania.

Czuł się pokonany i przerażony, a jednocześnie, na przekór wszystkiemu, jego ciało prowadziło jakby odrębne życie, miał wrażenie cudownej lekkości. Zadowolone ciało i jego sfrustrowany właściciel, pomyślał w przypływie czarnego humoru.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, zerwał się z łóżka i stanął wyprostowany jak struna, gotowy na przyjęcie ciosu. Był pewny, że teraz rozegra się epilog tej sprawy.

– Panie Vaclavie, dlaczego nie przychodzi pan na kolację? – usłyszał przez drzwi głos ojca Josefa, a potem jego oddalające się kroki.

Ochlapał twarz wodą i ruszył do jadalni. Bracia właśnie skończyli modlitwę dziękczynną i zabierali się do jedzenia.

– Cóż to z panem się dzieje? Jakaś niedyspozycja? – spytał życzliwie ojciec Josef.

– Trochę się zmęczyłem, nagrywaliśmy z matką Elżbietą, a potem zgubiłem drogę, trafiłem do jakiejś dzielnicy... rosły tam takie drzewa, całe w kwiatach koloru lila... Nie wiedziałem, że w Kolwezi są takie porządne domy...

– To była dzielnica białych, kiedy szukano tu złóż miedzi... Teraz mieszka tam czarna elita... A te drzewa to jakarandy, jest tutaj w Kolwezi też inny gatunek, *flamboyant*, mają czerwone kwiaty, zupełnie jakby korony drzew ogarniały języki płomieni, musi pan to koniecznie zobaczyć...

Lepiej nie, pomyślał ponuro.

Od nikogo nie można wymagać takiej spowiedzi... Z perspektywy czasu fakty wyglądają inaczej, zależy też, kto je ocenia. I dlaczego. Czy ona, Eliza, jest w stanie zrozumieć tę młodą kobietę, którą wtedy była? Chciała przetrwać. W tych trudnych czasach dziecko byłoby dla niej zbyt wielkim ciężarem. Kiedy się okazało, że Marianna nie przywiozła go ze sobą, Eliza odczuła na swój sposób ulgę. Cierpiała bardzo, płakała po nocach, ale gdzieś wewnątrz pogodziła się z tą stratą, pogodziła się z nią w momencie, gdy zobaczyła szwagierkę w drzwiach i dotarło do niej, że Marianna wróciła sama... Nie ona wymyśliła wojnę, a potem to wypędzenie. Wiele matek straciło wtedy dzieci... Ale chyba za szybko się z tym pogodziła... To był ten utajony grzech, którego nie chciała dopuścić do świadomości, zbyt łatwe wyrzeczenie się macierzyństwa. Wtedy w Berlinie, w tym zniszczonym nalotami mieście, wymyśliła dla siebie nowy życiorys i trzymała się go ze wszystkich sił. Tak przekonująco odgrywała swą rolę, że przyjaciel z nowego życia, Heinrich Kirchhoff, nie mógł teraz uwierzyć jej słowom. Ich stosunki ostatnio bardzo się ożywiły, zupełnie jakby obojgu ubyło lat. Doszło nawet do tego, że Heinrich, zaproszony na niedzielne ciasto, przyniósł jej kwiaty. Bukiet herbacianych róż. Tak pięknie wyglądały w wazonie, pięknie też pachniały. I rozjaśniły to nijakie, bezosobowe wnętrza. Ktoś, kto wszedłby po raz pierwszy do jej apartamentu, miałby trudności z określeniem, kto go zamieszkuje. Nie było tu żadnych fotografii, bibelotów, tylko pensjonatowe sprzęty. Stół, fotele, telewizor w saloniku, łóżko, toaleta, szafa w sypialni. I to wszystko. Kiedy się tu sprowadzała, spytano ją, czy chce wstawić swoje meble. Odpowiedziała, że nie. Nie miała w tamtym mieszkaniu nic, do czego byłaby przywiązana. Zabrała

tylko filiżankę z miśnieńskiej porcelany... Czekala teraz na Heinricha, który zaproponował wspólne wyjście do filharmonii.

– Zapraszasz mnie na koncert? – spytała zaskoczona.

– Tak, Elizo, zapraszam cię na recital Ivo Pogorelicia. W programie Beethoven i Rachmaninow. Słyszałaś go już? Genialny artysta...

– Na żywo nigdy, wiesz, jak ja rzadko wychodzę...

Kirchhoff uśmiechnął się, ten uśmiech odmłodził mu twarz.

Nie wyobrażała sobie dnia bez muzyki, ale słuchała jej w czterech ścianach, odtwarzanej z płyt. Miała bardzo dobry sprzęt, na który nigdy nie było jej żal pieniędzy. Kilka lat temu wymieniła adapter na kompakt wysokiej klasy.

– Nadrobimy to, Elizo – rzekł z zadowoloną miną – niedługo wystąpi gościnnie balet z Sankt Petersburga.

– Ale na takie wyjście powinnam się odpowiednio ubrać – odpowiedziała bezradnie.

Roześmiał się serdecznie.

– Jak stuprocentowa kobieta nie masz co na siebie włożyć! W takim razie przyjadę rano i rozejrzemy się za jakąś kreacją, koncert zaczyna się o ósmej wieczorem.

– Mam kupić suknię?

Była naprawdę zdumiona.

– Tak, Elizo, i ja pomogę ci ją wybrać!

*Zapis rozmowy z 23 listopada 1999 roku*

*Matka Elżbieta:* Eliza von Saarow... to było zjawisko, którego nie potrafiłam ogarnąć. Nie uświadamiałam sobie chyba do końca, jak wielki miała na mnie wpływ już od pierwszego dnia, kiedy ją zobaczyłam. Eliza to była kobiecość... mimo że tak dziwnie się nosiła, że nie dbała o swoją urodę... Pamiętam, do Saarow przyjechał teatr, wszystkie miejscowe damy, nauczycielki, panienki z poczty się wystroiły, kapelusiki, parasolki, ja też jakoś się ubrałam. Czekałam na Elizę na dziedzińcu przed zamkiem, długo nie schodziła. Myślałam, że się przygotowuje. Dopiero co przyjechała konno z pola, w spodniach, w gumiakach, więc przebieranie musiało jej zająć trochę czasu. Wreszcie schodzi i co ja widzę! Ma na sobie stary, za obszerny na nią płaszcz mojego najmłodszego brata, a na nogach kalosze! Patrzyłam na nią w osłupieniu. „Co się stało?” – spytała, chyba naprawdę nie orientowała się, o co mi chodzi. „Idziemy do teatru” – odpowiedziałam. „Wiem, że idziemy do teatru” – wzruszyła ramionami. Trochę wstydziłam się z nią iść, a jednocześnie ją podziwiałam. Mnie nie byłoby stać na coś takiego. W szatni zdjęliśmy płaszcze i okazało się, że Eliza jest w spodniach. Po prostu przysłała w tym, w czym jeździła po polach. Zupełnie się nie przejmowała, jak ludzie to oceniają...

*V.P.:* Pani hrabina się zmieniła, teraz bardzo dba o swój wygląd.

*M.E.:* Może wtedy uważała, że młodość ją zdoła. I zdołała ją, była prześliczna... jej obecność rozjaśniała wszystko dookoła i przyciągała ludzi. Zawsze czułam się przy niej brzydka i niezgrabna, a jednocześnie przez to, że byłam blisko tej niezwyklej osoby, nabierałam w swoich oczach wartości. Nie wiem, czy Eliza zdawała sobie sprawę z tego, kim dla mnie jest. Prawie nie rozmawialiśmy, ale szukałam jej towarzystwa. Dni, kiedy nie było jej na zamku, uważałam za stracone, puste... A kiedy w długie zimowe wieczory siedzieliśmy przy stoliku i grałyśmy w jakieś gry, na przykład w kości, czułam się szczęśliwa. Wiedziałam, że ona zaraz nie odejdzie, nie ucieknie mi, dopóki gra się nie skończy...

Nasze relacje trochę się zmieniły po przyjeździe Rosjan, kiedy musiałyśmy się ukrywać. Po porodzie była słaba, potrzebowała mnie... Ale już w podróży do

Niemiec wszystko wróciło na dawne miejsce, Eliza stała się znowu moją przewodniczką. I wiele jej zawdzięczam, właściwie zawdzięczam jej życie... Mówiłam już panu, jak nasza podróż wyglądała... Ten wagon towarowy... jechaliśmy i jechaliśmy... w strasznych warunkach. Ludzie z konieczności załatwiali swoje potrzeby na podłogę, panował potworny smród, wtedy już nie przystawaliśmy w lasach i na polach, już byliśmy oskubani do gołego i nasi prześladowcy dobrze się w tym orientowali. Kiedy pociąg w końcu stanął, wydawało się nam, że wreszcie jesteśmy na wolności, po drugiej stronie. Ale szybko wyprowadzono nas z błędu, odsunięto drzwi i zobaczyliśmy kordon milicjantów z psami. Każą nam wysiadać, starzy ludzie mają z tym kłopoty, otrzymują więc razy kolbami... Na nasypie stało kilku gapiów, z oddali trudno było dostrzec wyraz ich twarzy. Nic o nich nie wiedziałam, o tych ludziach, ale w tamtym momencie potrzebowałam od nich wsparcia, odrobiny solidarności w ludzkim nieszczęściu. I wtedy jeden z nich, młody mężczyzna, podniósł kamień i rzucił w naszą stronę. „Dobrze wam tak, mordercy!” – usłyszałam. Posypały się kamienie i strażnicy musieli nas teraz bronić. Idący obok mnie policjant wystrzelił w powietrze, to poskutkowało. Ludzie na nasypie rozpierzchli się.

*V.P.*: Zemsta ofiar...

*M.E.*: Zemsta ofiar? Tak pan to nazywa?

*V.P.*: To zostało zdefiniowane, opisane przez badaczy, historyków...

*M.E.*: A czy opisano rampę w Stettin?

*M.E.*: W Auschwitz.

*M.E.*: Myśli pan, że nasze cierpienie było inne? Że inny był nasz strach? Zapędzono nas do hali, w której trzymano stary tabor kolejowy, było jednak dużo wolnego miejsca w drugiej części i tam kazano nam się zgromadzić. Ludzie zmęczeni podróżą siadali wprost na betonowej podłodze, kładli sobie węzłki pod głowę i zasypiali. Było ciemno, ale wchodzili mężczyźni z latarkami i oświetlali twarze obecnych, zupełnie jakby czegoś szukali. Mogli być pracownikami kolei, bo mieli na sobie kombinezony. Rozmawiali między sobą po polsku. „Nie podoba mi się to – szepnęła mi do ucha Eliza. – Jak odejdą, schowamy się w jednym z wagonów, po drugiej stronie hali”. „Ja się stąd nie ruszam” – odpowiedziałam, było mi już wszystko jedno. Udręczona jazdą w potwornej ciasnocie cieszyłam się, że mogę wreszcie rozprostować nogi. Wszystko mnie bolało, każdy mięsień. Prawie już zasypiałam, kiedy Eliza szarpnęła mnie za ramię. Próbowaliśmy się uwolnić. „Oni szukali młodych kobiet! Wróć tu!” – zaszepnęła. Na wpół przytomna powlokłam się za nią, znalazłyśmy kryty wagon w samym rogu hali i weszłyśmy do środka. Wewnątrz było pełno jakiegoś żelastwa, więc nie mogłyśmy się położyć, przysiadłyśmy na tym złomie i wsparte o siebie ramieniem zaczęłyśmy drzemać. Obudził nas hałas, szarpanina, przeraźliwe krzyki kobiet. Trzęsłam się jak w gorączce, zęby mi szczękały. To był ten sam strach co w kościelnej krypcie, gdzie się ukryłyśmy przed Rosjanami. Eliza objęła mnie z całej siły ramionami, jej uścisk niemal tamował mi oddech, ale jednocześnie mnie uspokajał, doprowadzał do porządku. Chwilę przedtem wydawało mi się, że nie zdołam się pohamować i zacznę krzyczeć, jak tamte kobiety po drugiej stronie, zdradzając naszą kryjówkę. Trwałyśmy tak, niemal ze sobą zrosnięte. Z siebie nawzajem czerpałyśmy siłę na przetrwanie. Ten jeden jedyny raz byłyśmy tak blisko... Kiedy wszystko ucichło, kiedy szczęknęły olbrzymie zasuwane drzwi, obwieszając odwrót napastników, natychmiast zasnęłyśmy. To była samoobrona naszych organizmów, uciec w sen, nabrać sił, które nas opuściły. Ocknęłam się pierwsza. Po tamtej stronie zaczął się jakiś ruch,

szuranie, jakby ktoś przesuwiał ciężkie paczki po betonowej podłodze, rozmowy prowadzone półgłosem, a potem znowu czyjś krzyk. Ten krzyk obudził Elizę, poderwała się półprzytomna, nie bardzo zdając sobie sprawę, gdzie jest. Wydostałyśmy się z wagonu, ubrania miałyśmy pobrudzone rdzą, która nie dawała się czyścić, wyglądało to jak plamy zakrzepłej krwi. Po chwili zobaczyłyśmy prawdziwą krew. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Dzielne światło, wpadające przez szpary w ścianach i niedomknięte drzwi, wyławiało z mroku grupę ludzi jak z obrazu Breughla *Ślepcy*, w łachmanach, o szarych twarzach, z zapadniętymi oczyma. Starzy mężczyźni i kobiety, młode kobiety, dzieci, wszyscy w świetle poranka wyglądali nierealnie. Bardziej zjawy niż ludzie, prawdziwe postaci z płótna holenderskiego malarza... I ta dziewczyna, prawie naga, leżąca w kałuży krwi. Pamiętałam ją, zwróciła moją uwagę, bo w brudnej, pomiętej sukience, z potarganymi włosami, poniżona była ciągle ładna, Eliza powiedziała o niej, że „wygląda pociągająco nawet w tym szambie, w którym tkwimy”. Jej włosy miały złotomiedziany kolor, cerę miała białą i wielkie zielone oczy. Nie jechała z nami od początku, wciśnięto ją do naszego wagonu gdzieś po drodze. Milicjanci, którzy ją przyprowadzili, pomagali upychać jej bagaż, starą walizkę i pudło przewiązane sznurkiem. Z tym pudłem był największy kłopot. Ludzie się buntowali, bo zabierało miejsce. „Cicho tam, niemieckie świnię! – wrzasnął milicjant. – Cieszcie się, że jedziecie do swoich, że wam łbów nie pourywaliliśmy!”. Dziewczyna była z bratem, kilkunastoletnim piegowatym, rudym chłopcem. „Co się stało? Zabili ją?” – spytała Eliza. „Sama się zabiła” – ktoś odpowiedział. „Dlaczego?” – głos Elizy był papierowy. „A dlaczego dziewczyna się zabija?” – odpowiedziano jej. „To było przed czy po?” „Po” – padła odpowiedź. Mówiła to kobieta, która nas przedtem poratowała. „Wszystko koło mojej głowy, widziałam ten jego goły zad, i jak w nią wchodził, jak ją tam darł w środku. I nie on jeden”. Ktoś dodał: „Skończyła ze sobą tak po cichu, nikt nic nie słyszał. Wbiła sobie scyzoryk w serce”. W tym momencie doznałam halucynacji, wydawało mi się, że ja to uczyniłam i że to ja leżę w kałuży krwi, z bezwstydnie odsłoniętymi piersiami, na których widać krwawo nabiegłe siniaki. To był mój pomysł z nożem...

*V.P.*: Zameldowaliście polskim władzom o tej napaści?

*M.E.*: Polskie władze! Myśmy ich nic nie obchodzili!

*V.P.*: Trzeba było zameldować!

*M.E.*: Kiedy nas wypędzano na zewnątrz, brat samobójczyni, ten piegowaty chłopiec, chciał przy niej zostać, trzeba go było siłą wyprowadzać. Z daleka widać było podstawiony pociąg, tym razem same wagony osobowe, które miały nas przewieźć przez granicę. Ale zanim mogliśmy do nich wsiąść, kazano nam wejść do budynku dworcowego, gdzie odbywała się ostatnia kontrola. Polecono nam ustawić się przed drzwiami jakiegoś pomieszczenia, w bocznym korytarzu, za kasami biletowymi. Może był to gabinet dyżurnego ruchu. Wchodziło się grupami, po dziesięć osób, i podchodziło pojedynczo do stołu, za którym siedział mężczyzna w milicyjnym mundurze, na pagonach miał belki i gwiazdki, więc z pewnością nie był pionkiem w tej grze. Przed nim leżały teczki z papierami, a obok stosy pieniędzy, banknotów i monet, przeważnie złotych, a także precjoza: zegarki, pierścionki, bransolety. Moją uwagę przykuł leżący na wierzchu naszyjnik wysadzany szmaragdami, to była stara biżuteria, przepiękna jubilerska robota. Ciekawe, jak właścicielce tego cudu udało się przemycić go aż tutaj, do tej ostatniej stacji naszej golgoty. Myśmy z Elizą nie miały nic poza paroma łachami, które też w większości nie były nasze, ale ofiarowane z litości. A mimo

to i tak musiałyśmy się z nich rozebrać za parawanem, do naga. Ubranie przeszło w ręce dwóch funkcjonariuszy, którzy po kolei zaczęli pruć wszystkie szwy i ku mojemu zdumieniu i przerażeniu zarazem, znaleźli tysiąc marek zaszytych w bluzie Elizy. Nie wiedziałam, co będzie, co z nami teraz zrobią. Kazano nam podejść do stołu. Milicjant z gwiazdkami podsunął nam do podpisu papier, że pieniądze i inne wartościowe przedmioty zostały przekazane władzom polskim, zgodnie z przepisami. Pierwsza ujęła pióro Eliza, uprzedzając mnie, prawie wrywając mi je z ręki. Kiedy spojrzałam na jej podpis, zrozumiałam wszystko. Podpis należał do niejakiej Elizy Schnitke. Ja, w swojej naiwności, chciałam wyjawic prawdziwe nazwisko. Mogłam ściągnąć na nas kłopoty. Kłopoty byłyby większe, gdyby urzędnikom chciało się sprawdzać nasze papiery. Nikt tu tego jednak nie robił. Mogłyśmy już odejść, ale Eliza zadała pytanie wysokiemu funkcjonariuszowi za stołem: czy wie o nocnym napadzie na naszą grupę i o tym, że młoda kobieta, okrutnie zgwałcona, popełniła samobójstwo. Popatrzył na nią bezbarwnymi oczami: „Jej sprawa” – powiedział. Na to Eliza: „Macie obowiązek zapewnić nam bezpieczeństwo!”. Wybuchnął na to śmiechem, podwładni mu zawtórowali. „Polska władza ma co innego do roboty niż niańczenie esesmańskiej dziwki!”. Wszystko się potem rozegrało bardzo szybko. Brat samobójczyni rzucił się do przodu i natarł na funkcjonariusza, ktoś z jego obstawy oddał dwa strzały. Chłopak osunął się na podłogę. Z okna wagonu obserwowałam, jak wynoszą jego zwłoki z dworca, owinięte w jakąś szmatę. Miał tu pozostać ze swoją siostrą. Gdy pociąg ruszył, Eliza spytała, czy ktoś wie, jak to rodzeństwo się nazywało. Nikt nie odpowiedział...

*V.P.:* To, co matka opowiedziała, jest nieludzkie, straszne, ale wydarzyło się pół wieku temu, a w matki głosie słyszę twardą nutę... brak przebaczenia...

*M.E.:* Bo nie ma go we mnie, Polacy mi wszystko zabrali: dom, ojczyznę, prawo do miłości, zawsze już się bałam mężczyzny...

Ta świadomość dopadła go w nocy. Obcy dźwięk za oknem, jakby ujadanie psa, wyrwał go ze snu. Zaczął nasłuchiwać, ale dookoła panowała idealna cisza. Wszyscy mieszkańcy misji przykładnie spali, wszyscy poza nim. Jemu ostatnio śniły się koszmary. Minęło kilka dni od tamtej niefortunnej wyprawy do dzielnicy kwitnących drzew, a nic dramatycznego się nie wydarzyło. Nikt go nie ścigał, nikt się nie upominał o honor córki czy żony... Nadal nie wiedział, kim była, jak się nazywała, jaką miała rodzinę. Nie orientował się, ile ma lat, z pewnością nie była rówieśnicą A-iszy, ale równie dobrze mogła dobiegać dwudziestki, jak i trzydziestki, mogła też być znacznie młodsza. Nie był jej pierwszym mężczyzną, ona zaś była pierwsza. Oto w sposób tak nieoczekiwany i raptowny stracił niewinność w wieku dwudziestu trzech lat. I mimo całego zdenerwowania i strachu z powodu tego, co się może wydarzyć, gdzieś w głębi odczuwał męską dumę. Nigdy siebie nie podejrzewał o taką brawurę, a nawet obawiał się, jak to będzie, gdy znajdzie się w podobnej sytuacji. Miał to już za sobą i gdyby nie okoliczności, w jakich się to dokonało, byłby usatysfakcjonowany. Pojawiło się też nieznane mu dotąd uczucie tliwości wobec tej dziewczyny, potrzeba ujrzenia jej raz jeszcze, choćby z daleka. Do tej pory wszystkie jego tęsknoty skupiały się wokół innej kobiety. Ona była tym ideałem. Powiększył sobie jej zdjęcie i powiesił nad łóżkiem, aby co rano móc jej mówić „dzień dobry” i żegnać ją na dobranoc. Miała piękną smutną twarz o delikatnych rysach. Któregoś dnia matka, przypatrując się zdjęciu na ścianie, spytała:

– Kogo tu powiesiłeś? Co to za pani?

Zmieszał się.

– Znajoma – odparł zupełnie bez sensu, na odczepnego.

– Synu – stwierdziła matka – ona jest od ciebie starsza, a przynajmniej na taką wygląda...

To, co czuł do niezwyklej poetki uwiecznionej na fotografii, było miłością, mimo że się nigdy nie spotkali. Nie interesowały go inne kobiety. Drażniły rówieśnice, głupie i hałaśliwe... Marina Cwietajewa była darem bożym, którego brutalny, pełen pospolitości świat nie umiał przyjąć. Kochał ją wyidealizowaną miłością, szukając kontaktu z ukochaną w jej poezji. To dla Mariny nauczył się rosyjskiego, chcąc ją czytać w oryginale. Czarna dziewczyna... była jak erotyk Cwietajewej. I tak samo utracona... Nigdy przecież nie odważy się pójść pod jej dom po raz drugi.

Leżał w ciemnościach w rozmarzeniu, gdy nagle poraziła go myśl, od której zimny prąd przebiegł mu po krzyżu. AIDS! Do tej pory nie brał tego pod uwagę, zajęty roztrząsaniem możliwych następstw swojego uczynku. A przecież istniała jeszcze groźba AIDS. I była jak najbardziej realna, matka Elżbieta mówiła, że większość mieszkańców tego kraju jest zarażonych, że nawet dzieci rodzą się zarażone.

Nie zasnął już, a rano oświadczył ojcu Josefowi, że w pilnej sprawie musi pojechać do Lubumbaszi.

– Może się pan zabrać z siostrą Bertą, ona właśnie tam jedzie, przywiezie nam korespondencję. Do tej pory wyjmował ją ze skrytki na poczcie doktor Murney, ale słyszał pan, co się stało?

– Nie. Nic nie słyszałem – odparł zdziwiony.

– Nasz doktor nie żyje. Trudno w to uwierzyć, ale tak jest.

Patrzył na zakonnika bez słowa, prawie pewny, jaka będzie odpowiedź.

– Złośliwy przypadek malarii – wyjaśnił ojciec Josef – powikłania mózgowe, biedak zmarł po trzech dniach, nie odzyskawszy przytomności...

Vaclav był wstrząśnięty, przed oczyma miał czarną, pełną dobroci twarz doktora, jego życzliwy uśmiech.

– Co teraz będzie z matką Elżbietą, był jej lekarzem... Może powinna się zdecydować na szpital?

– Pewnie, że powinna – zgodził się z nim zakonnik – ale się nie zdecyduje, chce umrzeć tutaj.

Przygnębiony, na wszelki wypadek zabrał rzeczy potrzebne w podróży, nie wiadomo, jak długo siostra Berta zechce w Lubumbaszi zabawić. Przybył do misji w momencie, kiedy była już gotowa do drogi. Zdziwiła się, że chce z nią jechać, listy do Europy mogła przecież wysłać sama.

– Mam tam do załatwienia ważną sprawę – powiedział zdecydowanie.

Zakonnica chwilę pomedytowała.

– Miał ze mną jechać nasz zaopatrzeniowiec, ale w takim razie zabiorę pana.

Około dziesiątej rano zatelefonował Kirchhoff i spytał, czy nie zjadłaby z nim obiadu.

– A masz może jakieś wiadomości? – spytała ostrożnie, od dawna się nie zdarzyło, aby zaprosił ją do restauracji.

– Jakież mam – odparł wymijająco.

Nawet taka odpowiedź zachęciła ją, by się z nim spotkać. Jej stosunek do Heinricha zmienił się ostatnio, tak jakby znowu dostrzegła w nim mężczyznę. Wyglądał dobrze, był wysoki, szczupły, z grzywą szpakowatych włosów nad czołem. W młodości żartowała nawet, że przypomina lwa. Wtedy uważała, że jest trochę nudny i za bardzo się jej narzuca ze swoją miłością. Inteligentny, odcytany, miał poczucie humoru i tak jak ona nie potrafił istnieć bez muzyki. Jedyne człowiek, który jej pomagał przez te wszystkie lata. Wiedziała, że zawsze może się do niego zwrócić i że jej nie zawiedzie. Może teraz da się namówić do bardziej energicznego działania w sprawie jej sekretarza. Nie może go prosić, aby udał się do Afryki w ślad za Vaclavem, ale może znajdą wspólnie jakiś sposób rozwikłania tej sytuacji. Może spróbują wynająć na miejscu posłańca, który dotarłby do misji?

Umówili się w restauracji „Ratskeller”. Lubiała to wnętrze, eleganckie i proste zarazem, niesprzeniewierzające się w niczym nastrojowi tego miasta. Swoim zwyczajem przyszła za wcześnie, jej przyjaciela jeszcze nie było. Zajęła miejsce przy jednym ze stołów.

– *Grüss Gott* – pozdrowił ją kelner, podając kartę.

Odpowiedziała, że na kogoś czeka.

Przy sąsiednim stole siedziało kilku młodych ludzi, głośno o czymś rozprawiając. Nie słuchała tego, co mówią, ale przyglądała im się ukradkiem. Ci młodzi mężczyźni należeli jakby do innej rasy, wyglądali zupełnie inaczej niż mężczyźni jej młodości. Pomyślała, że chyba nie są Niemcami. Ich twarze, ubiór, koszule z rękawami podwiniętymi do pół łokcia, swobodne pozy mogłyby wskazywać, że są na przykład młodymi Amerykanami, którzy wtedy, w latach pięćdziesiątych, zachowywali się i wyglądali podobnie. Nawet mundury nie mogły zatrzeć wrażenia, że to przebrani cywile. Zupełnie jak jej John, też był w typie harwardzkiego bejsbolisty, a nie żołnierza, który chciał ginąć na wojnie za ojczyznę. Wsłuchiwała się w ich akcent. Tak, z całą pewnością to jej rodacy. Zwracali się do siebie: Hans, Marcus, ale byli Europejczykami zamieszkującymi jeden z krajów Unii.

Zaraz na wstępie spytała Kirchhoffa o możliwość zamówienia w Afryce posłańca. Pokręcił tylko głową.

– To raczej nie jest tam praktykowane, ale mam kontakt z naszym przedstawicielstwem handlowym w Lubumbaszi. Z tego, co wiem, powódź minęła i komunikacja z Kolwezi została przywrócona.

– Więc dlaczego nic stamtąd nie przyszło?

– Korespondencja często ginie, a nadawca może nie mieć tej świadomości.

Eliza zrobiła niezadowoloną minę.

– Powinien zatelefonować.

Kirchhoff roześmiał się.

– Kochana Elizo, twój sekretarz musiałby w tym celu udać się do Kinszasy, połączyć się z tobą przez satelitę, co kosztuje majątek.

Była naprawdę przerażona.

– Dokąd ja wysłałam tego biedaka!

– Do Afryki, *mon cheri*. A jak tam trafiła twoja kuzynka? Zdaje się, nie należy do najmłodszych?

Znowu mnie ciągnie za język, pomyślała z niechęcią.

– Właśnie nie wiem, jak ona tam trafiła. Miała mi to wszystko wyjaśnić, to był powód, dla którego mój sekretarz do niej pojechał. Wyobraź sobie, że wpadła na pomysł, abym to ja do niej przyjechała. Widzisz mnie w takiej podróży?

– Nie, raczej cię nie widzę, *mon cheri* – przyznał jej towarzysz. – Ale to naprawdę intrygująca historia. Mam nadzieję, że dowiemy się wszystkiego.

– I ja mam taką nadzieję – westchnęła.

Przed wejściem na pocztę siostra Berta pouczyła Vaclava, aby nie wrzucał listu do skrzynki, ale nadał go w okienku. Znaczki w Zairze były drogie, krajowe stanowiły równowartość bochenka chleba, zagraniczne nawet kilkunastu bochenków. Zdarzało się, że znaczek przed ostemplowaniem odklejali pracownicy poczty, sprzedając go potem ponownie, a list nigdy nie docierał do adresata. W okienku była maszyna stemplująca, mimo to Berta poprosiła czarną urzędniczkę o pokazanie listu po ostemplowaniu. Trzeba było sprawdzić, czy suma wybita na kopercie zgadza się z sumą rzeczywistą. Wszystko się zgadzało. Zakonnica szepnęła Vaclawowi, aby dał Murzynce matabisz, czyli rodzaj łapówki za usługę. To stanowiło gwarancję, że korespondencja opuści pocztę, a nie wyląduje w koszu. List do pani Elizy został wyekspediowany. Potem wyszli na zewnątrz budynku, gdzie znajdowały się skrytki. Ściana, w której były umieszczone, miała szereg załamań, tak aby zmieściło się ich jak najwięcej. Oznaczone były numerami, skrytka należąca do misji nosiła magiczny numer 555. Prawie sześć tysięcy obywateli Lubumbaszi i okolic prowadziło takim sposobem korespondencję. Siostra Berta miała klucz do skrzynki, kiedy ją otworzyła, na ziemię wypadło sporo kopert. Kilka było zaadresowanych do niego. Nadawczynią dwóch listów była pani Eliza, trzeci pochodził od matki, a czwarty nosił adres zwrotny jego kolegi ze studiów. Otworzył go



jako pierwszy, ciekaw, co się dzieje na uczelni. Potem siostra Berta podwiozła go do przedstawicielstwa handlowego, gdzie i tym razem miał nadzieję się zatrzymać, ona postanowiła przenocować w tutejszej misji.

Pierwszą osobą, na którą się natknął, był znajomy inżynier z Kolonii. Na widok Vaclava twarz mu się rozpromieniła.

– Z nieba mi pan spada! Tutaj nas bombardują o wiadomości o panu, właśnie się wybierałem do pana jechać.

Szybko się domyślił, że to pewnie zaniepokojona pani Eliza wszczęła poszukiwania.

– Przed chwilą wysłałem z poczty list do Monachium – odrzekł.

Inżynier machnął ręką.

– Ma przed sobą drogę długą i ciernistą, nadamy wiadomość telegraficznie, że jest pan cały i zdrowy.

Czy jestem zdrowy, to się okaże, pomyślał ponuro. Nie miał jeszcze czasu na rozwianie swoich wątpliwości, a przecież po to tu głównie przyjechał. Postanowił poprosić inżyniera o pomoc, nie śmiał bowiem wypytywać siostry Berty o jakieś laboratorium czy szpital. Jego nagła decyzja przyjazdu tutaj i tak chyba wydawała jej się podejrzana.

– Panie inżynierze ... – urwał, nie wiedząc, w jaki sposób przekazać mu swoją prośbę – mam taką sprawę... muszę znaleźć lekarza... a właściwie chodzi o badanie krwi...

– Takie badanie można zrobić w tutejszym szpitalu, pracuje tam mój znajomy, przyjechał z Düsseldorfu... – odpowiedział.

Zapisał adres szpitala na kartce i podał ją Vaclavowi.

– Damy panu samochód z przedstawicielstwa, żeby nam się pan znowu nie zgubił.

Vaclav był mu wdzięczny za takie załatwienie sprawy, żadnych pytań. Gdyby inżynier Wittman był kobietą, nie poszłoby mu tak gładko, był o tym przekonany.

Kierowca mercedesa, którego mu użyczono, bez trudu trafił do szpitala. Był to rozległy, dość nowoczesny budynek, o brudnych, odrapanych ścianach. Wewnątrz prezentował się znacznie lepiej. Po korytarzach rozchodził się charakterystyczny szpitalny zapach, którego Vaclav nigdy nie znosił, a teraz, w jego sytuacji, wydał mu się szczególnie przykry. Odnalazł poleconego mu doktora i wyłuszczył swoją sprawę. Nie miał wyjścia, lekarzowi musiał zdradzić, w co się wplątał i jakie ma z tego powodu obawy.

Znajomy Wittmana był wysokim mężczyzną w średnim wieku, z oznakami łysienia w postaci zbyt wysokiego czoła, zupełnie jak u ojca Josefa. Rysy miał ostre, wąskie usta z kącikami wygiętymi do dołu. Może dlatego wydawało się Vaclavowi, że lekarz surowo go ocenia.

– Badanie można zrobić – powiedział – a na przyszłość powinien się pan zabezpieczać, przygodna partnerka to zawsze ryzyko.

Wysłuchał tego z pokorą, lekarz zaprowadził go do laboratorium, gdzie pobrano mu krew. Sądził, że w przypadku podejrzenia o AIDS zastosowane będą szczególne środki ostrożności, jakiś parawan, laborantka w gumowych rękawiczkach i w maseczce, a potraktowano go jak normalnego pacjenta. Zwierzył się z tego lekarzowi, gdy szli korytarzem. Tamten uśmiechnął się lekko:

– Na razie nie jest pan podejrzany, ale przestraszony, drogi rodaku – rzekł – wynik będzie jutro...

Inżynier Wittman zaprosił go na kolację do greckiej restauracji „U Makrisa”, która znajdowała się niedaleko poczty, miejsca Vaclavowi już znanego. Przed południem miał tutaj przeprawę z żebrakami, którzy otoczyli go ciasnym kołem i rozdzielili z siostrą Bertą. Nie mógł do niej dotrzeć, rozdając datki, bo ciągle przybywali nowi potrzebujący i wyciągali w jego stronę obie ręce. Te wyciągnięte ręce... w żebraczym tłumie było wiele dzieci. Żebrały ich ręce i oczy, olbrzymie, wygłodzone oczy. Siostra Berta powiedziała, że afrykańscy żebracy podają na tacy swoje serca... Tym razem żebracy oblegli wejście do restauracji, bo poczta była zamknięta i ruch w niej zamarł. O dziwo, pozwolili im spokojnie wejść do środka, żaden z warujących pod drzwiami nie wyciągał rąk w ich stronę.

– Zaatakują nas, gdy stąd wyjdziemy – powiedział inżynier – słusznie wnioskując, że ofiarodawca najedzony będzie bardziej szczodry.

Wewnątrz zwracała uwagę tapeta z dużą fotografią Akropolu. Światło było przyćmione, a orkiestra na małym podium grała greckie melodie, wprowadzając miły nastrój. Minęli salę restauracyjną i usiedli na tarasie osłoniętym siatką o dużych okach, po której pięły się gęsto obsypane kwiatami gałązki nieznanych krzewów. Kelner przyniósł przystawkę, rodzaj kawioru przyprawionego masłem i czosnkiem, do tego chleb. Ostry smak aż zapierał dech w piersiach.

– To tarama, *spécialité de la maison*, nigdzie pan tego nie dostanie, tylko tutaj w Lubumbaszi, w tej knajpie – wyjaśnił Wittman.

– Nie wiedziałem, że spotka mnie zaszczyt spożywania jedynej w swoim rodzaju potrawy – zażartował. – To jak spełnienie ostatniego życzenia skazańca... – urwał nagle speszony.

Inżynier przyjrzał mu się uważnie.

– Jakież kłopoty?

Vaclav był już po kilku kieliszkach mocnej greckiej wódki, którą pili do taramy. Może dlatego odczuł potrzebę zwierzeń, bez względu na to, jak będą one ocenione.

– Przez kobietę – powiedział.

Jego towarzysz pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Wszyscy samcy je mają. Biała?

– Czarna, ale naprawdę wielkiej urody... straciłem głowę...

I tu spotkał się z pełnym zrozumieniem.

Po powrocie do przedstawicielstwa wszedł pod prysznic, co po spartańskich warunkach w misji było prawdziwą przyjemnością. Zaraz potem zasnął. Obudził go ostry dzwonek telefonu, gdy podniósł słuchawkę, usłyszał głos lekarza, którego wczoraj odwiedził:

– Wynik badania jest ujemny.

Żegnając się z inżynierem, chciał mu jakoś o tym powiedzieć, ale zupełnie nie wiedział, jak do tego nawiązać. Co innego zwierzać się kumpłowi przy kieliszku, a co innego mówić o tak intymnych sprawach w pełnym świetle dnia.

– Dziękuję za wszystko, Hans – rzekł więc tylko, jako że podczas wczorajszej, zakrapianej kolacji przeszli na ty.

Wittman długo ścisnął mu rękę, a potem wręczył niedużą paczuszkę.

– To prezent od starszego kolegi. I jeszcze jedno, pewnie o tym nie wiedziałeś, ale gdybyś chciał zatelefonować do kraju, można dzwonić z „Park Hotel”, w centrum miasta, tam jest kabina, w której dyżuruje pracownik poczty. Połączy cię z całym światem. My tu w przedstawicielstwie nie mamy wyjścia na linię międzynarodową, też chodzimy do hotelu...

– Śpieszę się, siostra Berta na mnie czeka, zaraz wyruszamy – odpowiedział. – Wszystko poza tym opisałem w liście... Jeszcze raz dziękuję.

Wyjeżdżali już z miasta, kiedy przypomniał sobie o paczuszce, otworzył ją i na widok zawartości zrobiło mu się gorąco. Rzucił szybkie spojrzenie w stronę siostry, która na szczęście patrzyła na drogę przed nimi. Trudno było prowadzić samochód na przedmieściu, gdyż wszyscy chodzili tu środkiem, często nie rozglądając się na boki. Łatwo można było kogoś przejechać. Chowając skwapliwie prezent do kieszeni, pomyślał, że teraz już na dobre przechodzi do obozu matki Elżbiety.

Marianna przeżyła życie jakby poza swoim ciałem. Ciało zawsze było do niej doczepione, ciężące jej, niepotrzebne. Zaczęło się to chyba w dzieciństwie, kiedy docierały do niej opinie otoczenia na jej temat. Matka stale powtarzała, że musi się odpowiednio ubierać, aby maskować swoją przyciężką figurę, któraś z ciotek rzuciła mimochodem, że o ile synowie Emmy są przystojni, córka, mimo że do nich podobna, jest raczej nieurodzona. Oni wzrost odziedziczyli po ojcu, ona poszła w matkę, tylko że matka, w przeciwieństwie do niej, była drobnokoścista i miała delikatne rysy twarzy, uważano ją za ładną. Mówiono: „Cóż to za urocza kobieta ta Emma”. O

Mariannie nikt tak nie mówił. Marianna była silnej budowy, co przy niewielkim wzroście dawało efekt, jakby ją ktoś karykaturalnie spłaszczył. A potem na zamku pojawiła się Eliza, zjawiskowo piękna. Pamięta pewien letni dzień, kiedy wszyscy, oprócz matki, która jak zwykle przebywała w swojej willi w Zoppot, poszli na plażę. Było bardzo gorąco, nawet dość silny wiatr od morza nie łagodził upału. Ojciec, obaj bracia, Wolfgang i Ulrich, no i ona leżeli na kocu, a Eliza się kąpała. Odplynęła daleko od brzegu, za daleko, bo fala była wysoka. Wolfgang zerwał się i zaczął ją przywoływać, lecz pomachała mu tylko ręką i płynęła dalej. Nie wytrzymał, wszedł do wody i po jakimś czasie zrównał się z nią. Wiadomo było, że Wolfgang i Eliza są kochankami, wszyscy to wiedzieli. Obserwowała ukradkiem Ulricha, który leżąc na brzuchu, wsparty na łokciach patrzył na tamtych dwoje. Wydało jej się, że kiedy te dwie głowy w oddali ginęły im z oczu, pragnął, aby nie pojawiły się więcej na falach. Przestraszyła się wtedy bardzo, bo to było tak, jakby czytała w jego myślach. Kiedy kochankowie przyплыnęli do brzegu, pierwsza wyszła Eliza, kostium kąpielowy przyłgał do jej ciała i pod słońce wyglądała jak naga.

– Oto Wenus wyłania się z morskiej piany – zażartował ojciec, a ona pomyślała, że to mogłaby być prawda.

Dla Marianny obecność Elizy była wielkim szczęściem i nieszczęściem zarazem. Czula się jak poczwarka, która tkwi w swoim kokonie, gdyż inny motyl ją wyprzedził, bez porównania doskonalszy, o piękniejszym kształcie skrzydeł i piękniejszych barwach, i zajął jej miejsce. Odkąd Eliza przybyła do zamku w Saarow, Marianna spędzała czas na podglądaniu bratowej, podpatrywaniu jej miłości do brata, jej zachowań, upodobań, niemal na szpiegowaniu i próbach naśladowania. Próbowwała stawiać stopy tak jak Eliza, tak samo się uśmiechać, a nawet w taki sam sposób poprawiać włosy. Było to marne naśladownictwo, zdawała sobie z tego sprawę, i tym bardziej nie lubiła siebie, a także swojego ciała, które było tak inne niż ciało Wenus z Saarow. Los sprowadził do zamku ten wzorzec kobiecego piękna, aby Mariannę upokorzyć. Upokorzenie, właśnie to wtedy czuła. Były chwile, kiedy wydawało się jej, że podziw, jakim darzyła Elizę, zamienia się w mniej wzniosłe uczucie zwyczajnej kobiecej zazdrości. Zazdrościła bratowej nie tylko urody, ale także niezależności. Eliza nie liczyła się z niczym zdaniem poza własnym, nie obchodziło jej też, co inni o niej sądzą. Na tym tle powstał konflikt pomiędzy nią a ojcem Marianny, dwie tak silne osobowości z trudem się wzajemnie tolerowały. Teść i synowa wydzielili więc strefy wpływów na zamku, z tym że Eliza konsekwentnie swoją strefę rozszerzała, spychając biednego Ottona von Saarow do skrzydła, które zamieszkiwał. Przestał przychodzić na wspólne posiłki, jadał w swoim gabinecie, nawet w czasach, gdy było ich tylko troje na zamku, dwie kobiety i on. Poza zamkiem niepodzielnie rządziła Eliza, do niej zwracano się ze wszystkim, także w obecności Ulricha, który wcale się nie buntował, oddając się polowaniom. Miał swojego towarzysza wypraw, leśniczego, który jak nikt potrafił wystawiać zwierzynę do strzału. Obaj odeszli niemal w tym samym czasie, Ulrich zginął od sowieckiego pocisku, a leśniczy w dniu, w którym do Saarow wkroczyli Rosjanie, otrul siebie i swoją rodzinę, żonę i czworo dzieci. Jedną z jego córek była rówieśnicą Marianny, razem chodziły do szkoły, a nawet przez jakiś czas siedziały w jednej ławce. Pamiętała dobrze jej okrągłą, rumianą twarz i oczy, stale czymś zdziwione. Czy mogła przypuszczać, że tę tryskającą zdrowiem dziewczynę otruje własny ojciec? Wielu rzeczy nie była w stanie przewidzieć, tego choćby, że uciekając od samej siebie, przywędruje aż tutaj.

Tak, ucieczka, zawsze ucieczka, od dzieciństwa. Nie przypatrywać się sobie, starać się o siebie zapomnieć, obserwować innych... Inni byli lepsi, doskonalsi, jak... Eliza. Tylko raz miała silne poczucie, że utożsamia się z własnym ciałem, ale tak naprawdę weszła wtedy w cudzą rolę...

Wydarzyło się to w czasie przeprawy do niemieckiej granicy, na początku września czterdziestego szóstego roku. Do Saarow dotarła po tygodniu od wyjazdu z Berlina. Odszukała dom pokojówki Elizy, gdzie pozostawiły małą Julię. To był taki dziwny moment, kiedy Genusia wprowadziła ją do pomieszczenia, w którym znajdowało się dziecko. Dziewczynka siedziała na podłodze i bawiła się szmacianą lalką. Kiedy Marianna przykucnęła obok, ich spojrzenia się spotkały. Tuż naprzeciw miała niebieskie, zdumiewająco czyste oczy, w których odnalazła wyraz

jakiejś wspólnoty. Trudno to ująć w słowa, ale odczuwała przedziwną więź z małą bratanicą. Czoło dziecka, brwi, kształt nosa to były rysy Saarowów, ale wykrój ust i podbródek z całą pewnością wskazywały na podobieństwo do matki. Geny dwóch rodów zdawały się na równi i sprawiedliwie rządzić rysami tej małej twarzy.

– Jak tu ciągnąć naszą kruszynę taki świat drogi – powiedziała z troską dawna pokojówka Elizy, widać było, że trudno jej się rozstać z dziewczynką.

– Dziecko musi być z matką – ucieła.

Pamiętając, co je spotkało podczas pierwszej podróży, postanowiła nie przyłączać się do żadnej z grup wygnańców, ale podróżować na własną rękę i wsiąść do pociągu dopiero w Stettin. Szczęście się do nich uśmiechało, kobieta z dzieckiem traktowana jest zawsze lepiej, nawet Niemka. Więc podróżowały z małą Julią, czym się dało, pociągiem, ciężarówką, wozem konnym. Instykt podpowiadał jej, żeby nie zdradzać celu podróży, chodziło tylko o podwiezienie, kawałek, parę kilometrów. Zawsze też udawało im się znaleźć miejsce na nocleg, w opuszczonej szopie, czasami pod gołym niebem, w stogu siana. Wrzesień był wyjątkowo ciepły. Tak dotarły do miasteczka, które teraz nosiło nazwę Uknowo. Nie знаła dawnej, niemieckiej, bo miasteczko było nieduże: rynek, ratusz, stare kamieniczki, parę odchodzących od rynku ulic. Znalazła i tutaj stojącą na uboczu stodołę, właściwie już za miastem, w pobliżu jakiejś wsi, wymościła tam posłanie dla Julii. Kiedy dziewczynka zmęczona podróżą zasnęła, Marianna wyruszyła na łowy. Nie miała już pieniędzy, nawet te, które dała jej na drogę Genusia, dawno się skończyły, podróżowały przecież drugi tydzień, zdobywała więc jedzenie dla siebie i dla małej na różne sposoby. Przeważnie kradła, na targu, w sklepie, po okolicznych polach, nocą podchodziła do krów na pastwiskach, by zdobyć mleko dla dziecka. Pewnego razu rozwożąca pieczywo ciężarówka zgubiła kosz pełen bochnów chleba, które rozsypały się po drodze. Kierowca musiał być chyba pijany, bo niczego nie zauważył, samochód jechał tak jakoś zyzgakiem. Kiedy znalazła się w bezpiecznym miejscu, łamała chleb, garściami wpychając go sobie do ust. Skórka była świeża, pachnąca.

Naprawdę miały z małą Julią dużo szczęścia, opuściło je dopiero w miasteczku o polskiej nazwie Uknowo. Jak zwykle wyprawiła się po prowiant, rozejrzawszy się uważnie, postanowiła wejść na zagon marchwi. Marchew, wyjątkowo dorodna, o rozrośniętej naci, powinna dać się łatwo wyciągać z ziemi. Istniało pewne ryzyko, bo ogród przylegał do zabudowań, ale dłuższą chwilę obserwowała podwórze i nikogo tam nie zauważyła, a co ważniejsze, nie było też psa, który mógłby szczekaniem zdradzić jej obecność. Swoim zwyczajem przeżegnała się i opuściła zarośla, zgięta wpół przebiegła odsłoniętą przestrzeń i znalazła się pomiędzy grządkami. Oburącz wyrwała marchew, szło to dosyć szybko. Zgarniała właśnie swoją zdobycz, kiedy zorientowała się, że z kilku stron naraz podchodzą do niej jakieś kobiety. Najpierw widziała ich bosc stopy, potem, gdy się wyprostowała, zaczerwienione, pełne zapiekłej złości twarze. Wyglądały jak wiedźmy, w brudnych, poszarpanych łachach, z rozczochranymi kudłami.

– Mamy cię, ty Niemro! – zasyczała jedna z nich. – Żywa już stąd nie wyjedziesz!

Rzuciły się na nią, bijąc po twarzy, szarpiąc za włosy, a kiedy się osłaniała, poczuła na sobie ich pięści. Powaliły ją na ziemię i poczęły deptać nogami. Miały rozdęte, fioletowe od żyłaków łydki i uda. Nie nosiły majtek, widziała więc nad sobą ich przerażających rozmiarów łona, przypominające rozgrzebane wronie gniazda. Z obrzydzenia zwymiotowała.

Uratował ją sołtys z tej wsi, który nadjechał na rowerze.

– Co wy, baby, głupie jesteście – krzyczał – chcecie kobite zabić!

– Złodziejkę złapałyśmy! – wrzeszczały. – To Niemra! Szwabskie nasienie!

– Jak złodziejka, to od tego jest milicja! Ja ją zaprowadzę!

Może pozwoliły jej nawet odejść, w jego oczach dostrzegła cień współczucia, ale chłopki towarzyszyły im do samego posterunku. Okupując wejście, czekały, co się wydarzy. Milicjant, krostowaty młokos, długo spisywał jej zeznanie. Tylko chwilę zastanawiała się, czy powiedzieć o dziecku, instykt ostrzegł ją jednak, aby tego nie robić. Dziecko znalazłoby się w

niebezpieczeństwie, gdyby motłoch je odkrył. Milicjant zakręcił korbą i połączył się z komendantem w miasteczku.

– Panie komendancie – zameldował – jest tutaj obywatelka przyłapana na kradzeniu. Kradła marchew... Ale to nie jest nasza obywatelka – odpierał jakieś zarzuty po tamtej stronie słuchawki, chyba komendant wściekł się, że mu zawraca głowę taką błahą sprawą. – To jest obywatelka wysiedlona... Ma...rianna Sa... row... i jeszcze jakieś won... Tak jest, panie komendancie – tu funkcjonariusz zerwał się i strzelił obcasami. Następnie odłożył słuchawkę i warknął do Marianny:

– Zbieraj się, mam cię odstawić do miasta.

Posterunek milicji mieścił się w starej kamieniczce przylegającej do rynku. W trakcie przesłuchania Marianna spogląda przez okno i widzi wieżę ratusza z kopułą przypominającą pruską pikielhaubę. Powtarzają się w kółko te same pytania, dlaczego nie dołączyła do grupy przesiedleńczej, tylko podróżuje osobno, czy wie, że grozi za to kara więzienia. Pozwolono jej wybierać, albo trzy miesiące aresztu, albo pręgierz. Trzy dni stania nago przy pompie na rynku. Dziecko! Przecież dziecko! Trzy miesiące to dla niego wyrok śmierci. Trzy dni, może przetrwa. Więc pręgierz. Wyprowadzają ją na rynek. Do końca nie wierzyła, że każą jej się rozebrać, ale nowa polska władza była nieugięta. Na oczach tłumu gapiów musiała zdjąć ubranie, obnażyć to nie lubiane przez siebie, przyciężkie ciało Saarowów o za krótkich nogach i zbyt szerokich biodrach. Była pewna, że odtąd nie będzie go lubiła jeszcze bardziej. Na piersi powieszono jej tekturową tabliczkę z koślawym, odręcznym napisem: „Heil Hitler”. Sprowadzono też kowala, który założył jej na szyję żelazną obręcz, odchodzący zaś od niej krótki łańcuch przymocował do żeliwnej pompy ustawionej na dość wysokiej podmurówce.

Minęło pół dnia, gapie widać się znudzili, bo częściowo się rozeszli, jakaś kobieta podeszła i splunęła jej w twarz. Po południu poczęli gromadzić się nowi obserwatorzy jej hańby. Młodzi mężczyźni wymieniali głośno uwagi na temat budowy jej ciała, mówili coś o piersiach, nazywając je cyckami, ale było to chyba coś pochlebnego. A potem przyszedł ten człowiek. Zbliżył się, a Marianna skuliła ramiona, sądząc, że chce ją uderzyć. On jednak zdjął zielony gabardynowy płaszcz i okrył ją. Na krótką chwilę ich oczy się spotkały. Wydało jej się, że mężczyzna ma zmęczone spojrzenie. Nie był już młody, mógł mieć równie dobrze czterdzieści, jak i sześćdziesiąt lat, wojna zmieniała ludziom daty urodzenia, postarzała ich.

Z posterunku wybiegł milicjant i zaczął protestować, że jej kara to trzy dni stania nago.

– To nie są trzy dni, to wyrok śmierci – odpowiedział mężczyzna.

– Skąd pan to wie? Skąd pan taki mądry? – wypytywał podejrzliwie milicjant.

Był ostrożny, chyba nie znał tego człowieka, nie orientował się, jaką ma pozycję w mieście, widać wysoką, skoro pozwolił sobie na taki gest.

– Jestem lekarzem – padła odpowiedź.

Milicjant był wyraźnie zbity z tropu, jak i tłumek gapiów, który nagle ucichł.

– Niech komendant decyduje – powiedział wreszcie posterunkowy.

Widać komendant uznał argument lekarza, bo nie zdarto z niej płaszcz, a nawet go jej nie odebrano, kiedy kara się skończyła.

– Idź gdzieś się prześpij – powiedział milicjant – a rano, o szóstej, masz się stawić na dworcu!

A kiedy się nie poruszyła, dodał:

– Może chcesz przekimnąć w komisariacie?

Pokręciła głową, zostawił ją więc samą. Nie wiedziała, co ma zrobić z tym płaszczem, właściciel się po niego nie zgłosił. Zostawić płaszcz czy zabrać ze sobą? Po namyśle zarzuciła go na ramiona, był już zmrok i od ziemi podnosił się wieczorny chłód.

Ruszyła przed siebie z dziwnym uczuciem, że płynie w powietrzu. Nie wie, jak dotarła do szopy, w której zostawiła dziecko, to było dobrych parę kilometrów. Przystawała w swojej wędrownicy, rozglądając się, czy ktoś za nią nie idzie. Była sama w ciemnościach. Po chwili wlokła się dalej, powtarzając w myślach: „Musisz iść, musisz iść”. I szła, chociaż wcale nie była pewna, czy zastanie tam dziecko, mogło płakać, mogło wyczołgać się z tej szopy, mogło nie wytrzymać

nocnego zimna. Kiedy dotarła do celu, nie miała odwagi wejść. Resztką sił posuwała się do przodu krok po kroku, jakby uczyła się chodzić. Krok, przystanek, krok, przystanek.

Było. Na wpół umarłe. Przez dziurę w dachu świecił księżyc, w jego poświacie widziała niewyraźnie małą, wycieńczoną twarz, sine usta, przymknięte powieki. Zaczęła dziewczynkę rozcierać, była bardzo wyziębiona. Położyła ją na sobie, starając się ogrzać własnym ciałem, otuliła płaszczem, który ratował życie teraz dwóm osobom.

Przeprawa promem przez rzekę odbyła się bez przeszkód i wydawało się, że ich podróż powrotna dobiega końca. Jeszcze tylko kilkunastokilometrowy odcinek drogi przez dżunglę i już będą w domu. W nocy musiało sporo padać, bo droga jeszcze nie całkiem obeschła, gdzieś błyskały kałuże, a błoto przypominało zastygłą galaretę. Za to roślinność dookoła była tak bujna i soczyście zielona jak w folderach biur podróży reklamujących Afrykę.

Trochę wypytywał siostrę Bertę o jej życie, ona trochę wypytywała jego. Czy wie, co ma zamiar robić po ukończeniu studiów, czy chce zostać na uczelni, czy też rozważa rozpoczęcie kariery prawniczej?

– A może zostaną tutaj – powiedział żartem.

Ale czy to był na pewno żart? Te parę tygodni w Afryce bardzo go zmieniło. Wydawało mu się, że dopiero tutaj naprawdę dorósł. Tutaj stał się mężczyzną. Kiedy ustąpił strach przed śmiertelną chorobą, natychmiast pojawiły się wyrzuty sumienia, że tak nieufnie i podejrzliwie myślał o tej, która już na zawsze pozostanie jego pierwszą kobietą. Usiłował tłumić tęsknotę, pragnienie ujrzenia jej, dotknięcia. Ciągłe powracał jej uśmiech, to lekkie rozchylenie warg. Prąd przeszedł mu po plecach od tego przypomnienia. Pragnął tej kobiety ze wszystkich sił, jakie kryją się w ciele młodego mężczyzny. To nie był przecież grzech. Gdyby taka fascynacja zdarzyła mu się w Niemczech, nie byłoby w tym nic gorszego, spędzałby teraz ze swoją wybranką każdą wolną chwilę, pieściłby ją, całował. Ale tam nie spotkał nikogo, kto by mu do tego stopnia zamącił w głowie. Ważniejsze były jego życiowe plany, wybór studiów, a potem obrona dyplomu jednego, drugiego. I to, o co go spytała siostra Berta: co chciałby dalej robić. Teraz niczego nie był pewny, teraz wszystkie myśli skierowane były ku obiektowi jego pożądania. I nawet nie wiedział, jak ona ma na imię...

Zastanawiał się, jak delikatnie zapytać siostrę o swoją ukochaną. Nie mógł tego uczynić wprost, zaczął więc ogródkami, że zwiedzał ostatnio Kolwezi i natknął się na niezwykle okazałe drzewa, całe obsypane liliowymi kwiatami.

– Pomyślałem, że jestem w rajku – starał się mówić to możliwie lekko. – I taką śliczną dziewczynę tam zobaczyłem... Wie siostra, jak wygląda ta Amerykanka Naomi Campbell? Czarna modelka?

– Nie wiem – usłyszał.

– Więc ta tutaj jest dziesięć razy piękniejsza, sto razy... ma taką delikatną twarz, co w zestawieniu z kolorem jej skóry jest jakieś niesamowite...

– Chyba się pan zakochał, Vaclavie – powiedziała z uśmiechem.

– Nie, skąd – zaprzeczył gorąco – tylko byłem zszokowany, bo te wszystkie Afrykanki raczej przypominają czupiradła...

– Nie jest aż tak źle – śmiała się już głośno zakonnica – mają swój urok, a dla Afrykańczyków nasze blade twarze to ohyda... dla nich im krótszy nos, tym większa uroda...

– A ona ma nosek prosty, śliczny!

Był już na najlepszej drodze, aby zapytać dokładniej siostrę o swoją wybrankę. Przecież Kolwezi to nie metropolia, jak ktoś tu długo przebywał, orientował się mniej więcej, kto gdzie mieszka. Zwłaszcza zakonnice! One ze swoją misją musiały docierać do możliwie największej liczby ludności. Otwierał już usta, kiedy Berta nieoczekiwanie nacisnęła pedał hamulca. Poleciał głową na szybę, a to, co zobaczył przed sobą, zjeżyło mu włosy na głowie. W poprzek drogi,

dosłownie o kilka kroków od nich, stał lew w całej okazałości, dostojną głowę okalała gęsta grzywa. Vaclawowi wydawało się nawet, że widzi jego żółte wlepione w siebie oczy.

– Co teraz zrobimy? – spytał, czując, jak zasycha mu w gardle.

– Nic nie możemy zrobić – odrzekła siostra – możemy tylko czekać, aż sobie pójdzie.

– A jak nie pójdzie? Słyszałem, że lwy potrafią rozbić łapą szybę i wyciągnąć przez nią ofiarę. Może zawrócimy?

Siostra pokręciła przecząco głową.

– Jakikolwiek manewr z naszej strony sprowokuje go do ataku. Nie damy rady uciec – mówiła to normalnym, opanowanym głosem.

Był w stanie absolutnej paniki. Czuł, jak oblewa go zimny pot. Zakonnica spojrzała na niego i widząc, co się z nim dzieje, bardzo powoli położyła mu rękę na ramieniu.

– Może nie jest głodny – powiedziała z odrobiną humoru.

Ale sytuacja była naprawdę dramatyczna, na poboczu dostrzegli drugie zwierzę, tym razem łwicę. Leniwym krokiem weszła na drogę i ustawiła się obok samca, widzieli ją z profilu. Lekko poruszała ogonem.

Nie wiadomo, jak długo to trwało, dziesięć minut, dwadzieścia, pół godziny, dla Vaclava była to wieczność, zaczynał teraz wierzyć w opowieści o ludziach, którym pod wpływem jakiegoś zdarzenia siwiała nagle cała głowa. Był niemal pewny, że jego włosy też już są siwe. I wtedy zwierzęta, prawie równocześnie, ruszyły w ich stronę. Widział, jak się zbliżają, i nie mógł nic uczynić, miał sparaliżowane mięśnie. Jeszcze chwila i były przy samochodzie, tu nagle się rozdzieliły. W bocznej szybie zobaczył przesuwający się rudy bok, lew niemal otarł się o maskę dzipa. Obserwował w lusterku, jak idą dalej, znowu jedno obok drugiego.

– No – powiedziała siostra z wyraźną ulgą w głosie – po prostu weszliśmy im w drogę, miały z nami kłopot, jak my z nimi...

Włączyła silnik.

– Nie mogłem się poruszyć – niemal wyszeptał, głos ciągle odmawiał mu posłuszeństwa.

Zakonnica uśmiechnęła się.

– Jakby się pan poruszył, to może bylibyśmy już lwim obiadem...

– Więc czemu siostra mnie nie ostrzegła?

– Wiedziałam, że pan nic nie robi. Że nie będzie pan w stanie...

Chwilę jechali w milczeniu.

– Siostrzo Berto – zaczął – siostra jest niesamowita... u nikogo nie widziałem takiej odwagi...

Znowu się uśmiechnęła.

– Zdażyłam się przyzwyczaić, pan też by się przyzwyczaił, gdyby pan tu był tak długo. Jutro mijają sześć lat, odkąd przyjechałam...

Instynkt ostrzegał, że nie wolno pozostawać w miejscu, w którym już raz ją schwytano, podobna sytuacja mogłaby się skończyć tragicznie. Teraz chłopki z pewnością by ją zabiły. Ale nie była w stanie ruszyć się z szopy. Z tej szopy, z dachem podziurawionym jak sito, w której leżała z dzieckiem na kupce zatechłego, zeszłorocznego siana, przykryta męskim płaszczem. Miał podszewkę, nie przepuszczał zimna i był tak obszerny, że obie mogły się nim okryć. Naprawdę ratował im życie. Od kilku dni nic nie jadła, do picia miała deszczówkę, która zebrała się w starym, zardzewiałym garnku. Bała się dawać taką wodę dziecku, więc poiła je własną śliną, jak to robią ze swoimi pisklętami ptaki. Długo zbierała ją w ustach, potem pochylała się nad dziewczynką i uciskając jej policzki, zmuszała do rozchylenia warg. Mała Julia miała na wpół przymknięte powieki i płytki, urywany oddech. Ale żyła, ciągle żyła, karmiąc się jej śliną. Marianna rozumiała jednak, że na długo to nie wystarczy i jeżeli nie zdobędzie mleka, dziecko nie przetrwa.

Po dwóch dniach o zmroku wyszła na zewnątrz, opatulwszy przedtem dziewczynkę płaszczem. Miała na sobie cienki sweter i wełnianą, rozprutą z boku spódnicę. Kurtkę zdarli z niej tamte kobiety, kiedy ją przyłapały na zagonie marchwi. Trzęsła się z zimna, nie bardzo wiedząc, dokąd

idzie. Z pewnością oddalała się od miejsca, gdzie ją przyłapano. Po pewnym czasie w oddali zamajaczyły jakieś budynki, wyglądało to na samotne gospodarstwo pod lasem. W żadnym z okien nie paliło się światło.

Chwilę mocowała się ze sobą, czuła, że nie powinna tam się zbliżać, ale nie miała innego wyjścia. Dłużej nie przetrwają bez jedzenia, ani ona, ani dziecko. Pojawiła się gorzka myśl, że jej decyzja o samodzielnej przeprawie do Stettin, niestety, była zła. Gdyby dołączyła z Julią do grupy uchodźców w Zelden, jak wtedy, podczas pierwszej podróży, może byłyby już bezpieczne. Przecież wtedy też były z nimi dzieci i dojechały do Berlina. A że napadano na nich po drodze? Że ich obrabowywano? Ona nie miała już nic. A nowe papiery załatwił jej narzeczony Genusi. Nie było w nich śladu o tym, iż już raz stąd „emigrowała”.

Zbliżyła się do zabudowań od strony lasu. Zaczął szczeleć pies. Uwiązany był na łańcuchu, robił tyle hałasu, że mógłby obudzić umarłego. Schowała się za drzewa, czekając na to, co się wydarzy. Nie wydarzyło się nic, w żadnym z okien nie zapaliło się światło, nikt nie wyszedł na ganek. Albo nikogo nie było, albo gospodarze przyzwyczaili się do tego ujadania. Mogli sądzić, że pies odstrasza leśną zwierzynę, na przykład lisa. Ponowiła próbę dotarcia do obejścia, przemawiając półgłosem:

– Dobry pies, dobry...

Po chwili umilkł, a ona, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robi, podeszła do niego. Był to duży, kudłaty mieszaniec, przypominający wilka, choć sierść jak na wilka miał za długą, miał też podkręcony ogon. Przykucnęła i obejmując go za szyję, zanurzyła twarz w jego futrze. Do oczu napłynęły jej łzy.

Pierwsze drzwi, które zdołała otworzyć, prowadziły do kurnika. Wycofała się, szukała przecież mleka. Dalej odkryła chlew, w którym były świny, a na końcu stajnię. Widocznie gospodarze nie mieli krowy, chyba że nocowała na pastwisku. Wróciła do kurnika i pochwyciła pierwszą z brzegu kurę, mocno ściskając ją za gardło. Po powrocie do szopy oskubała uduszonego własnymi rękami ptaka i pokonując obrzydzenie, jadła surowe mięso. Zасыpiając już, przytulona do dziecka, przysięgła sobie, że następnego dnia znajdzie dla niego mleko. Ale następny dzień był dniem krytycznym. Dziecko było w agonii. Oczy uciekały pod powieki, na zasinionej skórze pojawiły się krwawe wybroczyny. W odruchu rozpaczyci chciała dokądś biec, szukać pomocy, ale zrozumiała, że jest to daremne. Umrzemy razem, pomyślała. Położyła dziecko na piersi i przykryła płaszczem. Słyszała jego coraz słabszy, rzeżący oddech.

Ocknęła się nagle, w środku nocy, z uczuciem, że coś się wydarzyło, że nastąpiła jakaś zmiana. Nie rozumiała, na czym to polega. Dziecko leżało obok niej w ciemności, widocznie zsunęło się, kiedy spała. Chciała się pochylić nad nim, uczyniła ruch ręką i poczuła, że coś jej zawadza. To było nabrzmiące i ciepłe, ze zdumieniem odkryła, że to jej własna pierś. Dotknęła drugiej, tak samo twardej, nienaturalnie powiększonej. Z obu sutek wypływała lepka ciecz, spróbowała jej, stwierdzając, że jest lekko słona. A potem nagle dotarło do niej, że to mleko.

Z twarzą zalaną łzami przystawiła dziecko do piersi, nie wiedząc, czy nie jest za późno, czy jeszcze żyje. Nie poruszało się, było takie zimne. I ona była jak skamieniała, porażona daremnością tego wydarzenia. Po długiej chwili wydało się jej, że dziecko delikatnie musnęło brodawkę, nie dowierzała, dopóki nie zaczęło ssać...

Podczas kolacji opowiedział zgromadzonym przy stole zakonnikom o spotkaniu w dżungli z lwami, małodusznie przemilczając swoje tchórzostwo. Ale za to wychwalał opanowanie i zimną krew siostry Berty.

– Wiadomo nie od dziś, że kobiety są dzielniejsze od mężczyzn – powiedział ojciec Josef.

Postanowił to wykorzystać i najbardziej obojętnym głosem, jakim potrafił, spytał, czy wiadomo dokładnie, co to za czarna elita mieszka w alei jakarandowych drzew.

– Jaka tu może być elita – wzruszył ramionami zakonnik – murarze, krawcy, a nawet jeden malarz, ale marnie mu się sprzedają obrazy...



– Widziałem tam bardzo piękną kobietę, zaraz na początku ulicy, chyba trzeci dom od zakrętu. Chwilę z nią nawet porozmawiałem przy furtce...

Ojciec Josef zrobił powątpiewającą minę.

– Dla mnie wszystkie kobiety są piękne, jeżeli są religijne. A mam tutaj tylu podopiecznych, że nie pamiętam, kto gdzie mieszka. Na ulicy jakarandowej chyba tylko jeden dom jest chrześcijański, ale on leży w głębi, daleko za zakrętem.

I na tym rozmowa się skończyła.

Po powrocie do pokoju Vaclav przeczytał listy. Pani Eliza pisała, jak bardzo ją niepokoi jego milczenie, prosiła też, aby zdał jej relację z rozmów z matką Elżbietą. Chciała wiedzieć, kiedy postanowił wracać. Nie mógł jej udzielić na to odpowiedzi, bo sam nie wiedział. Wiele zależało przecież od jego rozmówczyni, a ona często odwoływała i przekładała spotkania. To były rozmowy wstępne, rozgrzewka przed właściwym nagrywaniem. Z pewnością nie powróci przed świętami Bożego Narodzenia, chyba że coś się tutaj wydarzy lub pogorszy się zdrowie matki Elżbiety... A poza wszystkim... nie zamierzał na razie wyjeżdżać. Jego myśli zajmowała ta młoda kobieta. Musiał ją odnaleźć, musiał na nią spojrzeć, chociażby z daleka. Nie chciał nazywać swojego uczucia, nie wiedział tak naprawdę, co do niej czuje. Czy to fascynacja, czy też coś głębszego? To się wyjaśni dopiero wtedy, kiedy ją odnajdzie. Przychodziło mu też do głowy, że być może piękność tej kobiety sam sobie wymyślił, być może tak ją sobie wyobraził, a ona wyglądała jak każda tutaj, kusonosa Murzynka. Niewykluczone, że kiedy ją nawet spotka, nie rozpozna jej. Ale... przecież miał ją tak blisko, dotykał jej ciała, które było naprawdę piękne... Musiał coś zrobić. Postanowił, że się wybierze tam, gdzie mieszkała. Bez względu na wszystko, pójdzie tam jutro...

Do pokoju zajrzała Berta i myśląc, że Marianna śpi, chciała się wycofać. Przywołała ją jednak.

– Wszystko załatwiłaś? Listy, zakupy, lekarstwa?

Kiedy siostra potwierdziła, zadała jej jeszcze jedno pytanie:

– A Czech? Też wszystko załatwił?

I tym razem odpowiedź była twierdząca.

– Wrócił z tobą?

To, że młody człowiek jest tutaj z powrotem, sprawiło jej ulgę. Nie rozumiała swoich uczuć. Dlaczego jego obecność stała się taka ważna? Poznała już tylu ludzi, tyle skomplikowanych losów. Zawierała przyjaźnie, odwiedzali ją podróżnicy i naukowcy. Dostawała listy z całego świata. Była w Zairze instytucją. Niczyja obecność nie powodowała jednak takiego wzruszenia... Postanowiła tego nie dochodzić, nie wgłębiać się w siebie. Może był to lęk, że odkryje w sobie coś, czego do tej pory nie знаła. Tak niewiele wiedziała o uczuciach. Pięćdziesiąt lat temu, podczas wspólnej podróży za Odrę, Eliza powiedziała: „To jest inaczej”, chcąc przekazać Mariannie, że miłość do mężczyzny nie ma nic wspólnego z brutalnym gwałtem, jakiego niemal na ich oczach dokonano na tamtej zielonookiej dziewczynie. Nigdy nie chciała tego sprawdzić. Nie odważyła się. Od mężczyzn trzymała się z daleka, spełnienia szukając w macierzyństwie. Nie udało jej się jednak odnaleźć w sobie miłości, może dlatego nie doznała jej od nikogo innego. Czy miała kiedykolwiek taką szansę? Czy miały ją obie z Julią?

Tamta opuszczona szopa... Chyba na trzeci dzień, po nagłym nocnym przebudzeniu, kiedy poczuła, że ma piersi pełne mleka, postanowiła wybrać się ponownie do kurnika. Było to wbrew wszelkim zasadom bezpieczeństwa, ale brakowało jej siły, by szukać innego sposobu na zdobycie jedzenia. A miała tam przyjazną duszę, podwórzowego psa. Poszła, pies powitał ją radosnym skomleniem. Dom, jak za pierwszym razem, był cichy i ciemny. Wśliznęła się do kurnika i ukradła kolejną kurę, z większą wprawą ukrecając jej łeb.

– Mam nadzieję, że cię nie ukarzą za mój czyn, kochany piesku – powiedziała na odchodnym.

Jadła surowe mięso, niemal z piórami, i narastał w niej wstręt, bała się nawet, że zwymiotuje i wszystko pójdzie na marne. Żuła więc powoli, robiąc przerwy. Potem nakarmiła dziecko. Co czuła, kiedy ssało jej pierś... Jakaś słodycz. I absolutne pogodzenie z samą sobą. I akceptację własnej

cielesności. Zanurzona w macierzyństwie, czuła się piękna... Rozwalająca się szopa była świadkiem kilku następujących po sobie cudów. Zdarzył się tu też cud powtórnych narodzin. Rano wyszła do lasu w poszukiwaniu spóźnionych malin, były jeszcze na krzakach, a kiedy wróciła z pełną ich garścią, przywitały ją roześmiane oczy siedzącego na sianie dziecka. W ciągu kilku dni nastąpiła zdumiewająca przemiana, prawdziwe zmartwychwstanie, ciało dziecka zaróżowiło się, podskórne wybroczyny zaczęły powoli znikać, a policzki nie były już takie zapadnięte. To dziecko śmiejące się w głos było już tylko jej dzieckiem...

Potem minęły lata, lata odchodzenia Marianny od siebie samej, lata wyrzutów sumienia, lata pokutne, a także czas ponownego odrzucenia własnej cielesności. Ta cielesność powróciła teraz, rozpoczynał się czas nowej zgody...

Podczas dwudniowej nieobecności Vaclava Marianna kazała podwiesić siatkę moskitiery i odsłonić okno. Poleciała też, aby przyniesiono jej lustro. Patrzący na nią jasnopopielate oczy w mizernej twarzy, którą okalały krótko ścięte siwe włosy. Była to twarz dawno nieogładana, ale bliska. Chciała ją pokazać temu młodemu mężczyźnie...

Przy porannym goleniu Vaclav stanowczo stwierdził, że musi obciąć włosy, leżały mu niemal na szyi. Podczas śniadania spytał ojca Josefa, czy jest tutaj jakiś męski fryzjer. Zakonnik roześmiał się.

– Tutaj każdy jest fryzjerem, ale są i zakłady fryzjerskie, najbliższy na targu. Strzygą wszystkich bez wyjątku, mężczyzn, kobiety i dzieci.

– Chyba się tam zaraz wybiorę – zdecydował.

Trafił bez trudu, bo chodząc do misji, mijał targowisko, ale nie bardzo wiedział, gdzie znajduje się fryzjer. Wskazano mu wiatę z dachem zrobionym z trzciny, pod którym mieścił się „Salon de Coiffure”. Stał tam tylko jeden stołek bez oparcia, a na kartonie wymalowanych było kilka głów z modnymi fryzurami, oczywiście dla czarnych. Kręciła się pod tą wiatą mała dziewczynka. Kiedy spytał o fryzjera, odpowiedziała:

– Ona zaraz przyjdzie, poszła naostrzyć nożyczki.

A więc będzie go strzygła kobieta. Zastanawiał się nawet, czy nie zrezygnować, kiedy mała wykrzyknęła:

– Idzie! Idzie!

Vaclav odwrócił głowę i zamarł. Tuż przed sobą miał tamtą dziewczynę, taką jak ją zapamiętał, wysmukłą, o pięknej twarzy i prostych włosach uczesanych w mały koczek z tyłu na szyi. Uśmiechnęła się, ten uśmiech też rozpoznał.

Mała pomocnica powiedziała coś do niej w niezrozumiałym języku, na twarzy dziewczyny znowu pojawił się uśmiech.

– Proszę usiąść – zwróciła się do niego po francusku.

Był tak oszołomiony, że bez słowa opadł na stołek.

– Chce się pan ostrzyć krótko?

–*Ja... yes... oui* – zaplątał się.

Zarzuciła mu na ramiona rodzaj prześcieradła i delikatnie przygięła głowę. Dotyk jej smukłych, chłodnych palców zmaćił mu myśli, miał wrażenie, że za chwilę zemdleje. Co to jest – kołatało mu w mózgu – czy to wszystko dzieje się naprawdę? Czy tę kobietę trzymał w ramionach? A może nie było żadnej kobiety, może ją sobie wymyślił? W takim razie niczego nie ma, ani wiaty, ani małej dziewczynki, ani jej... A jednak była, krzątała się wokół niego, słyszał odgłos nożyczek ścinających mu włosy. Ona czy nie ona... spotkali się już kiedyś czy to niesamowity przypadek podobieństwa?

Przymknął oczy, każdym nerwem odbierając jej obecność, dziewczyna przybliżała się i oddalała, czuł, jak niemal się o niego ociera. W jakiejś chwili, kiedy się pochylała, jej nagie ramię musnęło mu policzek. Prawie go to zabolalo, ostry prąd przebiegł mu po plecach. Opanowywało go coraz silniejsze pragnienie zbliżenia, tutaj, natychmiast, pośród tych wszystkich straganiarskich bud. Nadludzkiem wysiłkiem powstrzymywał się, aby jej nie pochwycić w ramiona, nie przytulić do

siebie z całej mocy. To była ona, rozpoznawał zapach jej skóry, to na pewno była ona. Ona, czarny erotyk Cwietajewej, mocny i delikatny zarazem...

Nie wie, jak długo trwało to strzyżenie. Podała mu lusterko, w którym dojrzał swoją zmienioną do niepoznania twarz, miał zupełnie szalone oczy. Czy ona też to widziała, czy odkryła, co się z nim dzieje?

– Ile płacę? – spytał rozdygotanym głosem.

Dziewczyna była spokojna, uśmiechnięta.

– A jest pan zadowolony, *monsieur*?

– Tak, jestem – odrzekł.

Wymieniła sumę, podał jej pieniądze. Potem zrobił jeden krok, drugi i osunął się na ziemię.

Życie Elizy od czasu nadejścia listu z Afryki zmieniło się, lecz nie próbowała tego faktu oceniać. Tak po prostu było. Coraz częściej opuszczała pensjonat na długie godziny, zdarzało się, że rezygnowała z obiadu, jedząc coś na mieście. Zwykle zachodziła do restauracji „Franziskaner” na Bretscheiderstrasse, gdzie miała nawet swój stolik pod portretem Ludwika II, którego nazywano tutaj bajkowym królem. Bajka ta jednak kończyła się śmiercią jej bohatera na dnie jeziora i podobno była to śmierć samobójcza... Też kiedyś o tym myślała, gdy wydawało się, że nic już dobrego nie może jej spotkać. A była przecież młoda i piękna, mężczyźni ją kochali...

A ona? Miała poczucie straty, poczucie, że zagubiła po drodze coś bardzo cennego, coś, bez czego życie nie może być w pełni udane. Czy było to związane z przymusową wyprowadzką z Pomorza? Tam pozostał dom rodzinny. A raczej widmo tego domu, bo przecież Sowieci go spalili. Jednak dla niej ciągle istniał, z fotograficzną dokładnością pamiętała każdy szczegół: na przykład dwuspadowy, mansardowy dach z lukarnami, pokryty glazurowanymi na zielono dachówkami. Nad dachem górowało dwanaście kominów ozdobionych kamieniami granatów, uczyła się na nich liczyć do dziesięciu i dwóch... Ściany pałacu miały delikatne barwy stonowanej czerwieni i szarości, okna były prostokątne, lekko zaokrąglone ku górze. Ryzalit w części środkowej domostwa zwieńczony był bogato rzeźbionym tympanonem: charakterystyczny trójkątny kształt tworzyły odpowiednio zestawione fragmenty gzymsu. Centralne miejsce zajmował w nim bogato rzeźbiony kartusz z herbem rodowym Falkenbergów, przytrzymywały go z dwóch stron potężne lwy.

Podszedł kelner, podając jej kartę.

–*Grüss Gott*, ładny dziś mamy dzień – powiedział uprzejmie.

Od strony parku, nad maleńkim tympanonem wieńczącym wyjście do ogrodu, ustawiono na wysokości dachu cztery rzeźby: Wenus, Minerwy, Junony i Herkulesa... zawsze, kiedy wołano ją na obiad i biegła do domu gdzieś z końca parku, witały ją ich sylwetki... Z wywiadów z byłymi pracownikami pałacu dowiedziała się, że figury zostały dokądś przeniesione... Tak jak ona... Czy naprawdę nie mogła ułożyć sobie tutaj życia? A czy byłoby to możliwe tam, w rodzinnych stronach? Nawet gdyby pałac przetrwał i gdyby mogła w nim dalej mieszkać, nie byłoby przy niej Wolfganga, jedynego mężczyzny, z którym pragnęła się związać na trwałe. Ale byłaby z nią ich córka... Jej wcześniej owdowiała matka także wychowywała ją sama, a jednak czuły się szczęśliwe. Pałac nadawał sens ich życiu, trwanie w nim – świadomość kontynuowania rodzinnych tradycji. Potem przekazałaby to swojej córce... Może dlatego nie szukała jej po wojnie, że nie miała już czego przekazywać, a swoje życie widziała jako strzaskane na zawsze.

– Jestem wrakiem – powtarzała Johnowi, który chciał się z nią ożenić i błagał, aby wyjechała z nim do Ameryki.

W ustach młodej kobiety musiało to brzmieć co najmniej dziwnie. Może dlatego jej nie wierzył, podejrzewał, że za odmową kryje się inny mężczyzna, dręczył ją swoją zazdrością.

A teraz była już stara i takie rachunki z dawnego życia nie miały sensu, tak samo jak dociekanie, co naprawdę stało się z córką. Nawet gdyby się miało okazać, że Julia żyje...

Wolno uniósł powieki i tuż nad sobą zobaczył piękną twarz, pomiędzy brwiami dziewczyny pojawiła się pionowa zmarszczka, pewnie z jego powodu. Leżał na ziemi, pośród straganów, zewsząd otaczali go ludzie, a ona klęczała obok.

– Co się stało? – spytał.

– Zemdlał pan, dzisiaj niedobra pogoda, idzie wiatr – odpowiedziała.

Chciał teraz jednego, żeby ci wszyscy ciekawscy zniknęli, a ona została.

– Wysłałam Madikę do misji, po pomoc – usłyszał jej głos.

Domyślił się, że chodziło o tę małą pomocnicę, nie wiadomo, siostrę czy córkę. Znowu powróciło pytanie: kim ona jest, czy ma jakiegoś mężczyznę, który stanie mu na drodze? Był zdecydowany o nią walczyć. Zaraz, natychmiast. Przedtem jednak musiał stanąć na własnych nogach. Usiłował się podnieść, ale przytrzymała go za ramiona. Leżał z uniesioną głową, pod którą coś podłożono.

– Nic mi nie jest, naprawdę. Już jestem zdrowy – tłumaczył, czując się bardzo źle w tej pozycji.

Czy się domyślała, co było bezpośrednią przyczyną jego zasłabnięcia? Chyba tak, kobiety mają przecież intuicję. A jeżeli tak, to podwójnie się skompromitował w jej oczach. Raz, że zasłabł, dwa, że zasłabł z emocji. Pewnie śmiała się teraz z niego w duchu. Na zewnątrz nie dawała niczego po sobie poznać, miała zatroskaną minę.

Chciał coś powiedzieć, zadawać jej pytania, jak najwięcej pytań, o wszystko, ale nie miał odwagi otworzyć ust. Tylko na nią patrzył, tak bardzo wygłodzony jej widoku, jej obecności. To, że była blisko, na wyciągnięcie ręki, jakoś go uspokajało, dodawało otuchy. Przechylił głowę w jej stronę i tuż obok miał teraz drobną, brązową dłoń, na której dziewczyna się wspierała. Nie zastanawiając się, co robi, dotknął jej ustami...

W tej samej chwili tłum gapiów zaczął się rozstępować i oczom Vaclava ukazało się dwóch misjonarzy. Mieli ze sobą nosze. Za nimi kroczył ojciec Josef w towarzystwie fryzjerskiej pomocnicy, Madiki.

– Zasłabł pan? – dopytywał się zakonnik, pochylając się nad nim. – Choruje pan na serce?

– Nie, nic mi nie jest, ale tutaj... nie pozwalają mi wstać – odpowiedział po francusku, żeby ona rozumiała.

– I słusznie, zaraz pana stąd zabierzemy, posłaliśmy też po siostrę Bertę.

– Ona jest lekarką? – spytał zdumiony.

– Ma wykształcenie medyczne, położnicze co prawda, ale tutaj leczy wszystko...

Kiedy siostra Berta przybyła do misji, Vaclav czuł się już zupełnie dobrze, a nawet zapowiedział, że przyjdzie do matki Elżbiety po południu na nagrywanie.

– Dobrze by było – odrzekła zakonnica – matka na pana czeka...

Kiedy wszedł do pokoju, zorientował się od razu, że zaszła jakaś zmiana. Było jaśniej, roleta okienna została podniesiona do połowy i przez okno wpadało dzienne światło, ale to nie wszystko, nad łóżkiem matki Elżbiety nie zobaczył moskitiery, zobaczył natomiast, po raz pierwszy, odkąd tu przyjechał, jej odsłoniętą twarz. Inną, zupełnie inną, niż sobie wyobrażał. Nie było w niej surowości, która kryła się w jej słowach, zaryzykowałby nawet stwierdzenie, że twarz matki Elżbiety była w jakiś sposób bezbronna. Patrzyły na niego bardzo jasne oczy.

– Słyszałam, że pan zasłabł.

– To było chwilowe.

– Ten klimat jest trudny dla Europejczyka.

Vaclav uśmiechnął się.

– Ja już jestem w części Afrykańczykiem, minęło właśnie dwa miesiące, odkąd tu przyjechałem. Czy mogę włączyć magnetofon?

*Zapis rozmowy z 11 grudnia 1999 roku*

*Vaclav Pavelka: Już dawno chciałem o to spytać: dlaczego przybrała matka imię Elżbiety? Czy święta Elżbieta była dla matki kimś ważnym?*

*Matka Elżbieta:* Tak... ja ją podziwiałam. Od dawna... byłam kilkunastoletnią dziewczyną, kiedy matka zabrała nas z braćmi w podróż po Francji. Byliśmy w Reims. Przy zwiedzaniu trzynastowiecznej gotyckiej katedry...

*V.P.:* Znam Reims, zwiedzałem tę katedrę.

*M.E.:* Pośród figur dostrzegłam Marię i świętą Elżbietę w scenie Nawiedzenia. Twarz Marii piękna, gładka, promieniejąca młodością, i twarz Elżbiety naznaczona wiekiem, pełna zmarszczek, bardzo ludzka. Twarz świadomej, myślącej kobiety... A Maria... Nie wymagano od niej zbyt wiele, tylko aby była uległa. Miała jedno zadanie: użyć swego ciała, by na świat przyszedł Syn Boży. Odebrano jej ziemską miłość do mężczyzny, wiążąc ze starym Józefem. Wojtyła taki obraz Marii kultywuje. Jego Maria to obraz kobiety w oczach wiecznie niedojrzałych mężczyzn.

*V.P.:* Mówi matka szokujące rzeczy.

*M.E.:* A czy tak nie jest? Czy Kościół nie wymaga od kobiet tylko jednego: aby rodziły?

*V.P.:* Macierzyństwo jest czymś pięknym.

*M.E.:* Ale nie można odbierać kobietom prawa do ciała, trzeba im pozwolić decydować, czy chcą rodzić, czy nie. Między innymi o tym napisałam do Ojca Świętego...

*V.P.:* O liście matki krążą tutaj legendy...

*M.E.:* Błagałam go o litość i chociaż cień zrozumienia dla tych ludzi tutaj. Odpowiedź nigdy nie nadeszła. Wolalabym o tym nie mówić... Chciałam pana o coś spytać. Dlaczego moja bratowa mieszka w domu starców, czy jest biedna?

*V.P.:* Nie wiem dokładnie, ale chyba nie chodzi o pieniądze. Skoro przywołaliśmy osobę pani Elizy, może zaczniemy nagrywać dla niej? Włączę magnetofon i będę w pokoju obok, pojawię się na każde matki zawołanie.

*M.E.:* Proszę zostać, Vaclavie, będę mówiła do pana... czuję taką potrzebę... potrzebę spowiedzi... I może pan to Elizie przekazać albo nie... to już nie ma znaczenia...

*V.P.:* Ale ja... ja się nie nadaję na spowiednika, może ojciec Josef?

*M.E.:* Ojciec Josef nic z tego nie zrozumie.

*V.P.:* Ale dlaczego ja?

*M.E.:* Może jest pan wysłannikiem zupełnie innej Osoby niż ta, o której myśleliśmy... Czy zgodzi się pan na nowy układ?

*V.P.:* Jeżeli matka mnie potrzebuje...

*M.E.:* Potrzebuję pana.

*V.P.:* Więc zgoda.

*M.E.:* Zaczniemy od podróży z Berlina na Pomorze jesienią czterdziestego szóstego roku, bo to początek mojej odysei. Wszyscy mi to odradzali, włącznie z bratową, matką dziecka, po które się wybierałam. Skręciła nogę, nie było więc mowy, aby mogła mi towarzyszyć. Uważała, że jadąc w pojedynkę, bardziej się narażam, że nie będę umiała sama w porę ocenić niebezpieczeństwa, prosiła, abym zaczekała parę tygodni, aż wydobrzeje. Ale za parę tygodni mogły się już zacząć chłody, jak wtedy podróżować z dzieckiem? Należałoby poczekać aż do wiosny. Więc zdecydowałam się jechać sama... Po prostu poszłam na dworzec i obserwowałam pociągi. Szybko doszłam do wniosku, że jedynym rozwiązaniem było dostanie się do pociągu rosyjskiego, który przejeżdżał granicę. Tylko jak tego dokonać? Nie było co marzyć o ukryciu się w nim bez wiedzy konwojujących. Należało więc jakoś to z nimi załatwić. Przez kilka dni z rzędu przychodziłam na bocznice kolejową spakowana do drogi, ale nie odważyłam się

podejść do nikogo z rosyjskiej obsługi. Byli to młodzi ludzie, wojskowi, od rana chyba pijani. Któregoś dnia zauważyłam starszego mężczyznę w mundurze z pagonami, który siedział w otwartym wagonie towarowym z nogami spuszczoneymi na zewnątrz. Podeszłam do niego. Słabo znał niemiecki, ale zrozumiał, o co chodzi.

– A po co chcesz wracać? – spytał.

– Zostawiłam tam dziecko.

To go przekonało. Kazał mi przyjść następnego dnia wcześniej rano. Ukrył mnie za jakimiś skrzyniami, była w nich chyba amunicja. Tak oto przekroczyłam granicę niemiecko-polską, dzięki pomocy dobrego człowieka. Kiedy mnie uwolnił z tego wagonu w Stettin, chciałam mu dać pieniądze, ale odmówił. Powiedział, abym zatrzymała je dla dziecka...

Recepcjonistka wręczyła jej kopertę. Eliza była pewna, że to nowe wiadomości od Pavelki, ze zdumieniem więc odkryła, iż przesyłka nadeszła z Polski. Bez trudu rozpoznała na znaczkach oblicze papieża Jana Pawła II i pomyślała, że to naturalne, skoro list został wrzucony do skrzynki w Warszawie.

*Kochana, Elizo,*

*zanim dotrze do Ciebie ten list, z pewnością będę już z powrotem w domu, a jednak pomimo to postanowiłem do Ciebie napisać. Nie wiem bowiem, czy odważę się opowiedzieć Ci o swoich przemyśleniach. Znasz dobrze miejsce, w którym się znalazłem, Elizo, żeby tu przyjechać, przedłużyłem służbowy pobyt w Polsce o dwa dni.*

*Kochana moja, jestem w Saarow, zatrzymałem się na zamku i mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, zrozumiesz moją potrzebę dotarcia do Twoich korzeni, skoro tak boleśnie do tej pory tkwią w tej ziemi. W rozmowie ze mną wypowiedziałas zdanie, że nie pamiętasz tamtej dziewczyny, jaką byłaś wtedy. Próbuję ją odszukać, Elizo...*

*Okna mojego pokoju wychodzą na park, na stare platany, dalej widoczna jest fosa okalająca zamek. Już się zdążyłem dowiedzieć, że w tej fosie jedna z dziewczyn kuchennych utopiła nieślubne dziecko, dawno temu, w latach dwudziestych, ale od tamtej pory w księżycowe noce z fosy dobiega płacz niemowlęcia. Wielu go słyszało, być może Ty też, mnie się nie udało, ale pewnie dlatego, że jest pochmurno i nie widać księżyca. Sporo się dowiedziałem na temat byłych właścicieli zamku. Miejscowi starzy ludzie znają niemiecki i łatwo dają się wciągnąć w rozmowę. Na zamku, w jednym z pokoi na parterze, utworzono coś w rodzaju „izby pamięci”. Piec z zabytkowych kafli, stare meble, obrazy i fotografie rodzinne Saarowów na ścianach. Jakże się wzruszyłem, rozpoznając na kilku z nich Ciebie, Elizo, taką młodą, uśmiechniętą. Jest tu także fotografia z Twojego ślubu z Ulrichem von Saarow. Ty w welonie, pan młody wyprostowany jak struna, otacza Was liczna rodzina, wszyscy mają zadowolone miny, oprócz trzymającego się trochę z boku młodzieńca. To z pewnością brat pana młodego, zresztą bardzo do niego podobny. Z łatwością odnalazłem też na tych fotografiach Twoją afrykańską szwagierkę. Dużo niższa od braci, mniej urodziwa, jeżeli wolno tak pisać o kobiecie. Zastanawiające, że na każdym ze zdjęć głowę ma zwróconą w Twoją stronę, jakby Cię szukała wzrokiem...*

*Trochę też pogrzebałem w starych dokumentach, jak wiesz, to moje ulubione zajęcie. Zrobiłem sobie przystanek w Danzig. Sądziłem nawet, że podwoje archiwum nie otworzą się dla przybysza zza granicy, i to granicy ciągle jeszcze dla obu narodów gorącej. Ale przyniesiono mi omszałą księgę, w której odnalazłem pierwszą wzmiankę o rodzie Twojego męża. Rycerz, który przybył do Prus wraz z wielkim księciem Hermanem von Salza, jako pierwszy podpisał się „de Saarow”, potem pojawili się Sarowscy, a po nich już von Saarowowie.*

*Polska, Elizo, jest zdumiewająca, znalazłem tu rozmówców niezwykle wykształconych, o naprawdę dużej wiedzy. Nasze pojęcie o Polakach jest dość mętne i wynika chyba z uprzedzeń i*

*braku zainteresowania. Może warto starać się to zmienić? Postrzeganie naszych sąsiadów jako tych, którzy skazali miliony niewinnych Niemców na cierpienia i wygnanie, jest u nas tak głęboko zakorzenione, że jeszcze przez długi czas trudno będzie to zmienić. Twoja postawa w tej sprawie jest naprawdę wyjątkowa. Ty obwiniasz historię, i słusznie, Elizo, przecież historia nie zaczęła się w czterdziestym piątym roku i składa się na nią cały łańcuch wypędzeń, poczynwszy już od Adama i Ewy...*

*W pociągu na trasie Warschau–Danzig ogarnęły mnie takie refleksje, że wypędzenia to nie tylko sprawa tyranów, zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że powojenne przesunięcia granic to również w dużym stopniu dzieło demokratycznie wybranych przywódców! Dopiero interwencja w Kosowie była pierwszym zdecydowanym krokiem przeciw wypędzeniom, zapewne nigdy się nie dowiemy, czy chodziło o sprzeciw moralny, czy o rachunek ekonomiczny i kalkulację polityczną.*

*Chciałbym poznać na to odpowiedź, ale chyba nie nadejdzie ona za mojego życia, a szkoda.*

*Droga moja, podróż do krainy Twojej młodości wzruszyła mnie, pozwoliła też lepiej Cię zrozumieć, nie odmówiłem sobie spaceru brzegiem morza, bo chciałem poczuć, niejako w Twoim zastępstwie, słony wiatr na twarzy. A może nie jest to taki zły pomysł, abyśmy powtórzyli to we dwoje?*

*Ściskam Cię serdecznie, kochana moja, oddany jak zawsze H.*

List, który miała przed sobą, był nie mniejszym zaskoczeniem niż tamten sprzed kilku miesięcy, z Afryki. Kto wie, czy teraz nie czuła się bardziej poruszona i przejęta. Więc on pojechał do Saarow, bez uprzedzenia, bez jednego słowa. Wszedł w progi domu, który dla niej dawno umarł, jak ci wszyscy ludzie z fotografii, Wolfgang, Ulrich, teść, teściowa... I ona, Eliza, która, jak jej się wydawało, odeszła razem z nimi. Jak miała się teraz do tego odnieść? Co o tym myśleć? Pamiętała ten moment, kiedy po jej ślubie wszyscy ustawili się do zdjęcia. Dla starszych członków rodziny wyniesiono fotele, żyli jeszcze dziadkowie Ulricha ze strony matki, oboje zginęli podczas ucieczki w czterdziestym piątym roku na okręcie, który został storpedowany. Jak się nazywał, wyleciało jej z pamięci... Tylu ludzi wtedy utonęło, a wydawało im się, że to ratunek przed dziczą nadciągającą ze Wschodu. Wszyscy dookoła, znajomi i nieznajomi, jakby nagle potracili instynkt samozachowawczy, jedni uciekali na Zachód, inni na Wschód, jeszcze inni w morze... Babka Ulricha w dniu ich ślubu dobiegała osiemdziesiątki, jej mąż był kilka lat młodszy. Dlaczego myśli „babka Ulricha”? To była „babka Wolfganga”, kochała go najbardziej ze wszystkich wnuków. I on ją kochał, jej jednej zawierzył tajemnicę ich uczucia, a ona mu powiedziała: „Serce nigdy nie grzeszy”. Powtórzył to Elizie i od tej pory Eliza nazywała ją w myślach tak jak jej wnuki: „babcią Leni”. Nawet się z nią nie pożegnała, tak to się wszystko szybko potoczyło. Trzeba było natychmiast podjąć decyzję, płynąć czy nie. Teść bardzo Elizę do tego namawiał, twierdził, że musi myśleć o mającym narodzić się dziecku, nie mogła się jednak zdecydować... Ale babcia Leni kochała życie i postanowiła ratować się za wszelką cenę, postanowiła zawierzyć losowi. A on tak okrutnie ją oszukał. Ale czy los nie oszukał ich wszystkich, żywych i umarłych?

Ujęła słuchawkę.

– Tu Eliza...

– Dostałaś mój list? – usłyszała niepewny głos Kirchhoffa.

– Dostałam.

– Chciałabys o tym porozmawiać?

– Chciałam cię prosić, abyśmy o tym nie rozmawiali.

Vaclav wyłączył mikrofon i zaczął pakować swoje rzeczy. Długie, kolejne nagranie dobiegło końca. Marianna miała wrażenie, że wielu jej wypowiedzi nie mógł zaakceptować, były nawet chwile, kiedy czuł się dotknięty. Dla niej to wszystko tym bardziej nie było łatwe, sprawy, o których starała się nie pamiętać, nagle powróciły. Była przekonana, że kiedyś musiało do tego

dojść. Pojawienie się tego młodego człowieka uruchomiło w niej jakiś ukryty mechanizm, sprawiło, że mogła zajrzeć głęboko w siebie, i odczuwała z tego powodu wdzięczność.

Zbierał się już do wyjścia, z lekko nachmurzoną twarzą, a może był tylko zmęczony. Nie chcąc, aby wychodził w takim nastroju, zagadnęła, czy nie napiłby się kawy. Chętnie się zgodził, więc nacisnęła dzwonek. Do pokoju zajrzała dyżurna siostra i Marianna poprosiła ją o zaparzenie mocnej kawy. Kiedy zakonnica się wycofała, Vaclav powiedział:

– To ona wyjechała po mnie do Lubumbaszi z Bertą, nazwałem ją siostrą Śmieszką.

– Dobra z niej dusza – stwierdziła Marianna – ale niezbyt bystra.

– Za to ładnie się uśmiecha.

– Niestety, nie jest to najważniejsze w działalności misyjnej, ale nieraz pomaga – przyznała. – Siostra Weronika ma bardzo dobry stosunek do dzieci i dzieci ją lubią.

Zakonnica wniosła tacę i postawiła ją ostrożnie na stoliku.

– Siostra Berta prosi, aby matka bardziej się oszczędzała – powiedziała z pewnym zakłopotaniem.

– Pilnujcie raczej szpitala, ja sobie dam radę – odrzekła na to żartobliwie, acz stanowczo.

Kiedy zostali z Vaclavem sami, nieoczekiwanie zapytała, czy w Niemczech zostawił kogoś, żonę lub narzeczoną. Odpowiedź na to pytanie sprawiła mu wyraźną trudność. Najpierw się trochę zmieszał, a potem z zakłopotaniem wyznał, że do czasu wyjazdu do Afryki kobiety go właściwie nie interesowały, poza jedną, nieżyjącą od dawna rosyjską poetką.

– Nawet mi się przez pewien czas wydawało, że jestem w niej zakochany... – mówił z pewnym zażenowaniem. – Nauczyłem się rosyjskiego, aby móc ją czytać w oryginale. Stworzyłem sobie jej obraz, zupełnie jakbym ją za chwilę miał zobaczyć, jakby miała wejść do pokoju... ale to było takie szczeniackie...

– Zakochał się pan nie tyle w niej, co w jej wierszach – powiedziała tym samym tonem intymnego wyznania – ja to znam z młodości, tylko że obiektem moich uczuć była para zakochanych, Abelard i Heloiza... Zna pan ich historię? Wydawało mi się, że kocham ich oboje, ich wzajemną miłość i oddanie... jakby byli obok, na wyciągnięcie ręki. Poruszała mnie siła tego uczucia, niezłomność ich dusz.

– Cwietajewa... była bezradna, zagubiona w niezrozumiałym dla niej świecie – odparł cicho.

Zapytała, czy zabrał ze sobą tomik jej wierszy, niestety, Vaclav nie miał przy sobie ich tłumaczenia na niemiecki.

– Najpiękniejszy na świecie wiersz o miłości wyszedł spod pióra Mariny – mówił przejęty – ale jest właściwie nieprzetłumaczalny... *Mnie nrawitsia, czto wy bolny nie mnoj, mnie nrawitsia, czto ja bolna nie wami...* Podoba mi się, że pan nie jest chory na mnie, podoba mi się, że ja nie jestem chora na pana, ale to po rosyjsku znaczy dużo więcej...

Po niemiecku też to znaczy dużo więcej, pomyślała, rozumiem to: *ja bolna toboj*.

– Ona mu potem dziękuje za słońce nie nad ich głowami, za brak spacerów pod księżycem i dziękuje mu, że on, nie znając jej, tak ją kocha... To po niemiecku nie brzmi... to naprawdę najczystsza poezja, musi mi matka uwierzyć na słowo... – mówił rozgorączkowany.

– Wierzę – odparła – musiałam przejść długą drogę, aby uwierzyć...

Spojrzał na nią uważnie i chciał o coś spytać, ale powstrzymała go ruchem głowy.

Od czasu zasłabnięcia u fryzjera Vaclav nie mógł wrócić do dawnej formy, czuł słabość w kolanach i zawroty głowy, szczególnie rano, zaraz po wstaniu z łóżka. Nikomu się na razie z tego nie zwierzył, kładąc wszystko na karb ostatnich przeżyć i zmian atmosferycznych. Prawie codziennie padały teraz ulewne deszcze, w nocy panowała taka wilgoć, że ubrania w szafie były mokre. Musiał je wyjmować i suszyć, ale i to niewiele pomagało. Myślał stale o tym, w jaki sposób zbliżyć się do swojej bezimiennej dziewczyny. Pójść na targowisko? Czy raczej spróbować zaczekać na nią przed domem? W końcu wybrał tę drugą możliwość, targ z niezrozumiałych powodów źle mu się kojarzył. Trochę błędził, zanim udało mu się odnaleźć ulicę bajkowych drzew



i jej dom. Czekał w pobliżu furtki dobrą godzinę, ale wyglądało na to, że nikogo tam nie ma. Zbierał się już do odejścia, kiedy u wylotu ulicy pojawił się starszy czarny mężczyzna z kocią bródką, niosący pod pachą spory, płaski pakunek. Szedł w stronę Vaclava z uśmiechem, jakby się dobrze znali.

– Czeka pan na mnie, *monsieur*? Wiem, że na mnie! Niech pan nic nie mówi, tylko wchodzi!

Niemal wepchnął Vaclava za furtkę i pierwszy ruszył w stronę schodów. Oszołomiony szedł za nim, starając się zebrać myśli. Kim był ten mężczyzna? Jej mężem? A może ojcem? I dlaczego tak go przywitał? Czy ona coś mu o Vaclavie opowiadała? Wszystko się wyjaśniło, kiedy mężczyzna zaprowadził go do swojej pracowni. Po prostu wziął go za kogoś, kto chce kupić od niego obraz.

– Tanio policzę, tylko czternaście milionów zairów. Za jeden! A za dwa siedemnaście milionów! Niech pan weźmie dwa – namawiał, wyciągając kolejne swoje dzieła, które były najczystszy kiczem, tyle że afrykańskim.

– Nie, nie, wezmę jeden – bronił się słabo, myśląc jednocześnie, jak zapytać o kobietę, która przysporzyła mu ostatnio tylu sercowych cierpień.

– Najlepiej niech pan kupi trzy za równe dwadzieścia milionów – nie ustępował malarz.

– Dobrze – zgodził się zrezygnowany.

– A za wszystkie sześć policzę tylko dwadzieścia pięć milionów! – wykrzyknął mężczyzna.

– Nie, nie, po co mi tyle obrazów?

– Zabierze pan do swojego kraju, na prezenty.

– Biorę tylko te trzy – odrzekł stanowczo, wskazując na rozmazane pejzaże w intensywnych kolorach.

Wszystko, niebo, drzewa i zwierzęta, przedstawione było na nich w formie bezkształtnych jaskrawych plam.

Malarz zaczął się krzątać, wycierając obrazy z kurzu i owijając w jakąś szmatę.

– Sam pan mieszka? – odważył się spytać, ale nie uzyskał odpowiedzi.

Udzieliła mu jej dopiero matka Elżbieta, kiedy jej opowiedział o swoim zakupie.

– To jego stary numer, każdy biały przez to przechodzi – powiedziała.

– Mieszka sam? – spytał niby mimochodem.

– Z córką. Rodzina męża mu ją zwróciła, bo jest bezpłodna. A tutaj, jak pan wie, to największe przestępstwo. Niektóre plemiona nawet zabijają takie kobiety...

Potem nagrywali rozmowę, a na odchodnym jeszcze raz zadał matce Elżbiecie pytanie, jak ma na imię córka malarza.

– Mafuriko – odrzekła – bo urodziła się w czasie powodzi.

– Co to ma do rzeczy?

– To, że imię dziewczyny znaczy: powódź. Nasza złota rączka nazywa się Mapinduzi, bo przyszedł na świat podczas kłótni w rodzinie. Mapinduzi to po tutejszemu: kłótnia. To jest właśnie Afryka!

*Zapis rozmowy z 14 grudnia 1999 roku*

*Matka Elżbieta:* Nie potrafię teraz dokładnie odtworzyć tamtego mojego myślenia, skąd wzięłam tyle odwagi, aby zataić przed matką prawdę o jej dziecku... Ale ja też się wtedy czułam matką tego dziecka, to chyba jedyne usprawiedliwienie...

*Vaclav Pavelka:* Jak to możliwe, że ona o nic nie pytała, że nie chciała znać szczegółów zaginięcia córki... trudno w to uwierzyć!

*M.E.:* Musiałby pan ją znać, aby zrozumieć, że to możliwe. To była wyniosłość, przeświadczenie, że nie wolno ujawniać uczuć przed nikim, nawet przed sobą. Ktoś z zewnątrz mógłby to odebrać jako obojętność. Ja wiedziałam, że ona cierpi...

*V.P.*: Ale... powiedziała matka pani Elizie, że jej córka zaginęła. Nie chciała jej dalej szukać?

*M.E.*: Może jej nawet szukała, może wracała potem do Polski, tego nie wiem. Jeżeli dotarła do swojej dawnej pokojówki, przekonała się, iż zabrałam od niej Julię... Miała całe lata na dochodzenie, co się naprawdę wydarzyło. Mogła myśleć, że córka zaginęła po drodze, ale mogła także dojść do tego, że ukradłam dziecko... Od tamtej rozmowy zaraz po powrocie z Pomorza, kiedy jej zakomunikowałam, że nie odnalazłam małej, już się nigdy nie spotkałyśmy. Wywiozłam dziewczynkę z Niemiec... Zgłosiłam się do Czerwonego Krzyża, oświadczając, że obrabowano mnie w drodze z dokumentów. Dopomóżono mi w wyrobieniu nowych, dla repatriantki Marianny Schollz i jej córki Elizy...

*V.P.*: Dlaczego podała matka fałszywe nazwisko?

*M.E.*: Chciałam zatrzeć za nami wszelkie ślady. Nazwisko Saarow należało do starego rodu, gdyby Eliza zdecydowała się nas odszukać, mogłoby jej się to udać. W tej sytuacji nie miała żadnych szans. Nadałam Julii jej imię, bo w ten sposób zachowywałam część Elizy dla siebie. Kochałam ją i nie mogłam się pogodzić z faktem, że znaczę dla niej tak mało... Traktowała mnie jak powietrze, podejrzewam, że mnie nie lubiła...

*V.P.*: Jakiego rodzaju było to uczucie?

*M.E.*: To była jedyna naprawdę bliska mi osoba. Nie wiem, dlaczego tak do niej przylgnęłam. Może na zasadzie przeciwieństwa, była tak inna ode mnie... piękna, podziwiana... Z matką nie łączyło mnie zbyt wiele, z resztą rodziny też nie, może z wyjątkiem najmłodszego brata, Wolfganga. Jako dzieci trzymaliśmy się razem, potem on wyjechał na studia. A ja... uważana byłam w domu za najmniej udane dziecko. Moje pomysły zawsze krytykowano, a chęć zostania aktorką wręcz wyśmiano. Chyba miałam ku temu zdolności, widziałam siebie jako wielką aktorkę dramatyczną, w szekspirowskim repertuarze. Znałam na pamięć większość kobiecych ról, odgrywałam w parku Julię, lady Makbet, wcielałam się w postaci antyczne, w Antygonę na przykład...

*V.P.*: Papież też próbował aktorstwa w młodości. Więc może się pogodzicie?

*M.E.*: Pozostał aktorem do dziś, ale nie jest to rola na miarę Szekspira...

*V.P.*: Przyjmując nową tożsamość, mogła matka już bez przeszkód zostać aktorką. Dlaczego matka nie spróbowała? A może próbowała i nie wyszło?

*M.E.*: Wylądowałam z Julią w Szwecji i przez kilka lat zarabiałam na życie pracą fizyczną, sprzątałam biura. Kiedy ona skończyła sześć lat, wyemigrowałyśmy do Ameryki. Tam początkowo też zarabiałam rękami, zatrudnił mnie na czarno rodak, właściciel masarni. Pracowałam przy produkcji wędlin. Pomógł mi dostać obywatelstwo, a potem znalazłam pracę tłumaczki w dużej firmie wysyłkowej. Pracowałam tam przez wiele lat, aż do wyjazdu do Afryki...

*V.P.*: W jakim mieście mieszkała matka w Ameryce?

*M.E.*: W Nowym Jorku. Eliza skończyła tam medycynę, potem pracowała w jednym ze szpitali, aż do swojego wyjazdu...

*V.P.*: Czy macie ze sobą dobry kontakt?

*M.E.*: Nigdy tak naprawdę nie nawiązałyśmy kontaktu. Ona jest bardzo podobna do swojej matki, nie tylko fizycznie...

*V.P.*: Nie czuje się już matka jej matką?

*M.E.*: Eksperyment się nie udał. Chciałam sobie wyhodować nową Elizę, bo tamta mnie odrzuciła, ale okazało się to za trudne. Może to mój grzech pierworodny nas rozdzielał, nosiłam to przecież w sobie, nie mogąc nikomu się zwierzyć. Tam, w Ameryce, moje serce zanikło, nie czułam go, zaczęło bić z

powrotem dopiero tutaj, w Afryce. Więcej mogłam ofiarować żebrzącemu na ulicy murzyńskiemu dziecku niż swojej przybranej córce... mimo że ją na swój sposób kochałam.

*V.P.:* Czy ona wie, na co matka jest chora?

*M.E.:* Straciłyśmy ze sobą kontakt wiele lat temu... Wyjechała z Nowego Jorku i nie zostawiła adresu...

*V.P.:* I nie szukała jej matka?

*M.E.:* Ona sobie tego nie życzyła, wyjaśniła mi w liście, jaki jest powód jej wyjazdu, tym powodem byłam ja...

*V.P.:* Ale dlaczego?

*M.E.:* W końcu jej wyjawiałam prawdę. Uważałam, iż jest na tyle dorosła, że zrozumie... i że mi wybaczy...

*V.P.:* Ale nie wybaczyła?

*M.E.:* Nie, nie wybaczyła. Czekałam na to cztery lata... potem wyjechałam do Afryki.

*V.P.:* Ale... to było trzydzieści lat temu? I od tego czasu nie miała matka od niej żadnych wiadomości?

*M.E.:* Niestety nie.

*V.P.:* To się nie mieści w głowie... Jak można się tak rozstać, po tym, co obie przeżyłyście?

*M.E.:* Widać można, w rodzinie von Saarow skrywało się uczucia... i trudno przychodziło wybaczenie...

*V.P.:* A może ona matki szukała? Tylko nic o tym nie wiadomo?

*M.E.:* Miała szansę mnie odnaleźć, gdyby naprawdę chciała. Nie przepadłam bez śladu, miejsce mojego pobytu było do ustalenia.

*V.P.:* Dla mnie jest to... nie do pojęcia... Tak wszystkie trzy siebie pogubiłyście... i tak chętnie przystawiałyście na rozstanie... Dlaczego, na miłość boską?

*M.E.:* Przez cały czas zadawałam sobie to pytanie, chciałam je też zadać Elizie von Saarow, ale wygląda na to, że mi nie odpowie... Vaclavie, czy pan się dobrze czuje?

*V.P.:* Chyba dobrze.

*M.E.:* Na pewno? Nie boli pana głowa, nie ma pan nudności?

*V.P.:* Może trochę tak...

*M.E.:* Niech pan tu poprosi siostrę Bertę, powiem jej, jakie ma pan wziąć lekarstwo. To mi wygląda na malarię...

Słowa Vaclava brzmiały jej w uszach. „Tak wszystkie trzy siebie pogubiłyście i tak chętnie przystawiałyście na rozstanie...” Czy mogło być inaczej? Czy z małą Elizą, w odróżnieniu od jej matki, miały szansę porozumienia? Gdyby wyjawiała jej prawdę wcześniej, gdyby wydała się pod osąd dziecka, a nie dorosłej kobiety? Czy to ten błąd popełniła wobec przybranej córki? Nie dowie się tego nigdy. Co prawda spytała o to Elizę, ale nie otrzymała odpowiedzi. Upłynęło dużo czasu, mogła rozważyć każde zdanie, każde słowo, jakie padło w ich ostatniej rozmowie.

Zapytała córkę, dlaczego stroni od ludzi, dlaczego nie ma przyjaciół, jakiegoś chłopaka...

– A dlaczego ty nie masz przyjaciół? – odpowiedziała dziewczyna pytaniem.

– Ja... brakowało mi czasu... musiałam walczyć o przetrwanie, ty byłaś mała... a potem... potem było za późno.

– A mężczyzna?

Eliza patrzyła na nią oczyma swojej matki, stawała się coraz bardziej do niej podobna, co dla Marianny było trudne do zniesienia. Chwilami miała nawet wrażenie, że czas się cofnął i ma przed sobą tamtą Elizę, tak samo zimną i nieprzystępną.

– Nie było go nigdy – odparła z uczuciem nagłej ulgi, że oto odważyła się wyznać prawdę.  
– To może mi wyjaśnisz, skąd ja się wzięłam?  
– Tak, wyjaśnię ci – powiedziała ze spokojem – dawno chciałam to zrobić, ale wydawało się to za trudne.

Eliza uśmiechnęła się ironicznie.

– A teraz już nie jest trudne?

– Zadałaś mi pytanie, którego nie zadała mi kiedyś twoja matka. Więc ci odpowiem...

– Jak to moja matka? Więc kim ty jesteś?

Patrzyły sobie prosto w oczy.

– Jestem twoją matką, ale nie ja cię urodziłam...

Siedziały przy stole, naprzeciw siebie, niemal do rana. Eliza wysłuchiwała Marianny w milczeniu, w oknach zaczynało szarzeć, kiedy się wreszcie odezwała:

– Więc ona nie spytała, co się ze mną stało, a ty postanowiłaś mnie przy sobie zatrzymać. Dobrze rozumiałam?

– Tak, Elizo. Czy chcesz się czegoś dowiedzieć o swojej rodzonej matce?

Na twarzy córki pojawił się wyraz niechęci.

– Nie, nie jest mi to już potrzebne. Kiedyś chciałam się dowiedzieć czegoś o swoim ojcu, ale ty o nim nie opowiadałaś, myślałam więc, że nie powinnam... Teraz wiem, że niechęć do zadawania pytań mam po matce.

Marianna знаła ją dobrze i wiedziała, że pomimo całego opanowania, wręcz chłodu, dziewczyna czuła się do głębi zraniona. Chciała jej jakoś pomóc, ale była bezradna. Przez te lata, które spędziły razem, nie nauczyły się cieplejszych gestów, nie przytulały się do siebie, nie ujawniały swoich uczuć. Jak miały to zrobić teraz? Spytała więc tylko:

– Czy... gdybym ci o tym opowiedziała wcześniej, byłoby ci łatwiej?

Odpowiedziało jej milczenie.

Od kilku dni Vaclav nie opuszczał swojego pokoju w budynku misji. Wstawał co prawda z łóżka, wykonując zwykle poranne czynności, mył się i golił, ale już sama myśl, że mógłby znaleźć się na zewnątrz w duchocie i ostrym słońcu, przyprawiała go o mdłości.

– Cóż to, przerwa w sesjach z matką Elżbietą? – zagadnął go wreszcie przy śniadaniu ojciec Josef.

Vaclav zmieszał się, jak przyłapany na lenistwie.

– Nie... nie – odpowiedział szybko – muszę uporządkować to, co już nagraliśmy...

Zakonnik pokiwał ze zrozumieniem głową, a Vaclav pierwszy wstał od stołu i wrócił do siebie.

Leżał z przymkniętymi powiekami, nie myśląc właściwie o niczym, kiedy odezwało się ciche pukanie.

–*Ja, bitte!* – powiedział, sądząc, że to jego troskliwy opiekun w osobie ojca Josefa.

Ale w drzwiach ukazała się A-isza.

– Matka Elżbieta mnie przysyła – zaczęła, urywając nagle.

Była wyraźnie onieśmielona. Vaclav sięgnął po stojące pod łóżkiem buty; wtedy tuż obok swojej stopy dostrzegł olbrzymich rozmiarów skorpiona. W nagłym odruchu wskoczył na łóżko, obserwując z przerażeniem, jak skorpion z dużą szybkością przemieszcza się w stronę drzwi, w których stała A-isza, chciał krzyknąć, aby uciekała, ale głos mu nagle uwiązł w gardle.

Wszystko odbyło się teraz w przyspieszonym tempie. Na jego oczach dziewczynka przygwoździła śmiertcionośne zwierzę gołą piętą, pozbawiając je życia.

– Mógł cię ugryźć – wyjąkał wreszcie.

– Ale nie ugryzł – odrzekła wesoło, a potem dodała: – Matka Elżbieta martwi się, że pan jest chory.

– Powiedz jej, że przyjdę jutro.

Obudził się w środku nocy, nie bardzo zdając sobie sprawę, co się z nim dzieje. Czuł się rozbity i obolały, po jakimś czasie zaczął go prześladować dziwny, niepokojący dźwięk. Potem dotarło do niego, że szczęka zębami. Było mu na przemian zimno i gorąco. Zataczając się, dotarł do szafy i wyciągnął stamtąd sweter, przykrył się też dodatkowym kocem, ale niewiele to pomogło. Trzęsła nim febra. Nad ranem zaczął wymiotować, ostre spazmy wyrywały mu żołądek. Po kilku godzinach miał trudności z dotarciem do łóżka, które zaraz zresztą musiał opuścić, powracając do łazienki. Ze zdziwieniem obserwował swoje bose stopy, całe w drgawkach, jakby zmuszone do przedziwnego tańca. Znalazł się na podłodze, próbował się podnieść, ale brakowało mu sił... A potem, potem czuł się tak lekko, niemal płynął nad ziemią... dookoła było zielono, tak soczyście zielono, jak na jednym z obrazów ojca jego ukochanej. I ona tam była, uśmiechała się do niego. Chciał ją wziąć za rękę, jednak mu się wywinęła. „Jest pan zadowolony, *monsieur*?” – usłyszał jej głos. „Nie odchodź, kocham cię” – zawołał, starając się do niej zbliżyć, ale ona odsunęła się znowu. „Dlaczego ode mnie uciekasz?” – spytał rozżalony; nie odpowiedziała, patrzyła tylko na niego z zagadkowym uśmiechem. „Śmiejesz się ze mnie, Mafuriko? A ja chcę być z tobą do końca życia, chcę się z tobą zestarzeć...” A potem nagle znalazł się na przednim siedzeniu dżipa obok siostry Berty, jechali przez dżunglę, dwa lwy zagroziły im drogę. Widział tuż przed sobą lekko zmrużone, żółte oczy drapieżników i zimny pot oblewał mu plecy, czuł, jak spływają po nim lodowate strugi, zęby szczękały coraz głośniejsze, a może... może to były kastaniety... Kiedy w oczekiwaniu na samolot włączył się po Brukseli, natknął się na uliczny pokaz tańców w wykonaniu pary młodych ludzi. Dziewczyna w kolorowej, pełnej falbanek spódnicy tańczyła w rytmie flamenco, a jej partner ubrany w białą, rozpiętą na piersi koszulę i obcisłe spodnie, w butach na obcasach, miał kastaniety... narastający w uszach dźwięk, zbyt głośny... Pani Eliza musi niemal krzyknąć: „Chcę, aby pojechał pan do Afryki, do mojej szwagierki. Podobno jest umierająca...” „Ale... co ja mam jej powiedzieć?” – pyta bezradnie. „To ona ma nam coś do powiedzenia, drogi Vaclavie” – mówi wyniosłe pani Eliza. „Ona ma się przed nami wytłumaczyć ze swojego życia, ta cała matka Elżbieta”. Właśnie ją widzi, w szarym fartuchu przypominającym habit, a może to nawet jest habit. Chodzi po pokoju, niewysoka, ma krótko obcięte siwe włosy i znajomą twarz. Jej ręce dotykające jego czoła przynoszą ulgę... Takie dobre, kochające ręce... i tamte ręce, o długich cienkich palcach, ich dotyk na szyi i przejmujący dreszcz... te kobiety... te dwie kobiety... stara i młoda... zlały się w jedną całość...

– Wypij jeszcze kilka łyków, to pomoże – słyszy nagle głos matki Elżbiety.

– A co to jest? – pyta.

– Coca-cola.

– Czy chorzy mogą pić colę? – pyta zdumiony.

Matka Elżbieta uśmiecha się, zmarszczki okalają jej oczy.

– To najlepsze lekarstwo na biegunkę...

– A gdzie ja jestem?

Ona się znowu uśmiecha, pochyla nad nim i delikatnie gładzi po włosach.

– U mnie. Kazałam cię tu przewieźć. Miałaś atak malarii, ale już mija... Już jest lepiej...

Vaclav mruga powiekami.

– Czy ja śnię? Czy to się dzieje naprawdę?

– Naprawdę.

– To... to dlaczego matka nie leży w łóżku?

– Bo ty je zająłeś...

Eliza zaprosiła Kirchhoffa na obiad w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, ustalając wcześniej z kucharką menu. Nagle zapragnęła, aby na stole pojawiły się potrawy, które podawane były na Pomorzu, w jej domu rodzinnym, a potem na zamku Saarow. Święta w Saarow obchodzono zawsze bardzo uroczyście. Z Zoppot zjeżdżała jej świekra i zaczynały się świąteczne porządki: wietrzenie pokoi, trzepanie dywanów, woskowanie posadzek, szczególnie starannie

pucowano piec w salonie, na którego kaflach uwieczniono historię Świętej Rodziny, od Zwiastowania i narodzin Zbawiciela, po Jego męczeńską śmierć, a potem Zmartwychwstanie. Przez szacunek dla tych rzeźbień przecierano je specjalną ściereczką, trzymaną pod kluczem w kredensie w pokoju stołowym, nawet prana była osobno.

W dzień Wigilii w holu głównym ustawiano choinkę, wysoką niemal pod sufit, zwykle był to wycięty z ich lasu okazały świerk. Ktoś ze służby wchodził na drabinę, aby zawiesić na jego czubku betlejemską gwiazdę, a także inne ozdoby, bombki, łańcuchy, anielskie włosy, cukierki w ozdobnych papierkach, pierniczki w polewie na cienkich nitkach. Pojawiały się też różnokolorowe lampki. Zawsze na początku sprawiały sporo kłopotu, bo któraś z żarówek albo się właśnie przepaliła, albo była niedokręcona i choinka nie chciała się świecić. Zaczynały się poszukiwania, która z lampek jest tego przyczyną. Lokaj Barts musiał sprawdzać po kolei wszystkie żarówki, kiedyś było nawet tak, że przepalona okazała się ta ostatnia, czyli dwusetna. Do holu wnoszono też stół, na którym rozkładano prezenty dla służby. Punktualnie o piątej wszyscy się tam gromadzili, rodzina i służba. Stary hrabia po kolei brał ze stołu paczki i wyczytywał nazwiska, a kiedy te osoby podchodziły – na zamku zatrudniane były całe rodziny – dzielił się z nimi opłatkiem, życząc wszystkiego najlepszego, zdrowia i pracowitości. Pracowitość hrabia stawiał na pierwszym miejscu, przed zdrowiem i szczęściem osobistym. Obdarowywani dziękowali, nisko skłaniając głowy.

– I my życzym panu hrabiemu i całemu rodowi długiego trwania w zdrowiu i dostatku.

Te życzenia nie miały się spełnić, oto w dalekiej Afryce umierała ostatnia z rodu von Saarow.

Zaprosiwszy swojego przyjaciela na obiad, Eliza zaczęła robić przygotowania, po naradzie z kucharką udała się taksówką na zakupy, taksówkarz czekał, a ona myszkowała po zakamarkach Viktualienmarkt. Chciała podać jako przystawkę śledzia po kaszubsku, w specjalnej zalewie z przyprawami korzennymi. Jako danie główne był przewidziany indyk z sosem żurawinowym. Ten sos to była specjalność Emmy von Saarow, tylko ona umiała tak go przygotować, aby zachował odpowiednią konsystencję.

– Bo żurawina już taka jest wredna – twierdziła pałacowa kucharka – że albo będzie za rzadka, albo za gęsta.

Tylko Emmie się udawało, aby była w sam raz.

Kirchhoff przyszedł wyświeżony, w ciemnym garniturze, z muszką. Eliza zapaliła do obiadu świece, potem przenieśli się do saloniku na kawę.

– Heini – powiedziała – nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z tego, że pijesz *capuccino* w podgrzanej filiżance i z pianką z gorącego mleka. Tego już prawie nie ma w Monachium.

– Zauważyłem – mruknął.

– Długo musiałam walczyć o to ze swoją pokojówką.

Kirchhoff pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Niemcy nie są już takim krajem, jakim były. Pociągi się spóźniają, w kawiarniach podają zimną kawę, a ostatnio ze swojego banku dostałem trzy takie same karty kredytowe. Kiedy poprosiłem o wyjaśnienia, młoda dama w okienku oświadczyła z rozbrajającą szczerością, bez cienia zażenowania: pomyliliśmy się.

Elizie nie dawały spokoju pojawiające się w prasie od kilku tygodni wzmianki o dziwnych operacjach finansowych łączących się z osobą Kohla. Miała przeczucie, że to początek jakiejś poważniejszej sprawy. Nie obchodziłoby to jej specjalnie, gdyby szło o inne partie i innych polityków, ale Kohl swoją postawą i wyglądem uosabiał niemiecką solidność. Miała nawet takie wrażenie, że trochę wbrew woli darzy go zaufaniem.

– Co myślisz o przesłuchaniach Kiepa, tego partyjnego skarbnika? – spytała ostrożnie.

Kirchhoff zrobił wiele mówiącą minę.

– A pamiętasz aferę Flicka? Lewe kasy, wyroki na polityków. Wtedy to się jakoś wszystko dziwnie skończyło, teraz, obawiam się, mamy tego kontynuację. Choroba leczona objawowo ujawnia się w innym miejscu ze zdwojoną siłą.

– Myślisz, że to rzeczywiście coś poważnego? – spytała, uważnie śledząc wyraz jego twarzy.  
– Myślę, że to bardzo poważne, ale trudno przewidzieć dalszy rozwój wypadków. Kohl jest żyjącym pomnikiem i lekkie trzęsienie ziemi nie może mu zagrozić.

Eliza poprawiła włosy energicznym ruchem.

– To ważne, bo jest on dla mnie symbolem odrodzonych Niemiec, pomimo jego rubasznego prostactwa – dodała pośpiesznie.

Kirchhoff ostrożnie odstawił filiżankę

– Wśród moich kolegów dużo się o tym mówi. Obawiam się, że wyjdą na jaw fakty o wiele bardziej szokujące. Elizo – zwrócił się do niej jak do małej dziewczynki – Kohl skoncentrował w swoich rękach wielką władzę, mówi się o systemie Kohla. Szesnaście lat rządzenia musi wpłynąć na każdą osobowość. Utrzymanie takiej władzy wymaga nieskrępowanego dostępu do dużych pieniędzy, co przy naszych ustawach jest praktycznie niemożliwe.

Patrzyła na niego lekko zdumiona.

– I to wszystko dzieje się w Niemczech?

– Gazety się o tym rozpisywały, ale przeciętny człowiek nie chce przyjąć tego do wiadomości...

Zapukała pokojówka z pytaniem, czy czegoś nie potrzebują.

– Napij się jeszcze kawy? – zwróciła się Eliza do przyjaciela.

– Dziękuję, ale jakbyś mi pozwoliła zapalić cygaro...

Spojrzała na niego z przyzwoleniem.

– Normalnie kazałabym ci wyjść na taras, ale w takim dniu możesz zapalić tutaj. Mój teść, graf von Saarow, też był amatorem cygar. To był żelazny prezent, którym go wszyscy obdarowywali...

– Masz może jakieś nowe wiadomości z Zairu?

Eliza zaprzeczyła ruchem głowy.

– Tylko ten jeden list. Mój sekretarz wciąż tam jest, stara się nagrywać rozmowy z Marianną von Saarow, ale... nie wiem, czy to w ogóle ma jakiś sens... W każdym razie z listu wynika, że moja krewna prowadzi wojnę z papieżem o dusze swoich afrykańskich podopiecznych.

Kirchhoff spojrzał na nią zaskoczony.

– Czy ona nie jest zakonnica?

– Jest, ale rogata, jak z tego widać – uśmiechnęła się. – A co ty myślisz o papieżu?

Zastanawiał się długą chwilę.

– Papież jest tylko człowiekiem – odpowiedział wreszcie – popełnia błędy, ale wydaje mi się, że widzi świat w głębszej perspektywie niż wszyscy jego krytycy...

Kirchhoff zaciągnął się dymem, po czym odłożył cygaro na popielniczkę, jakby o nim zapominając.

– Elizo... Muszę ci zadać to pytanie... chociaż może ci się wydać dziwne... Czy... czy Boerke... czy on wiedział?... Znał twoją przeszłość?

Roześmiała się, odchylając głowę do tyłu.

– Moją przeszłość, Heini? Moja przeszłość to właśnie Boerke, to ta część życia, której nie lubię wspominać jako kobieta... Chociaż muszę przyznać, że bardzo się starał mnie uszczęśliwić....

– To dlaczego byłeś z nim tak długo? – zapytał cicho.

Znowu się roześmiała.

– Byłam z nim do jego śmierci, chociaż nie mieszkaliśmy razem i miał legalną żonę... Byłam z nim, bo dlaczego nie?

Minęło dziesięć dni, odkąd wczesnym rankiem przybiegł do misji ojciec Josef z wiadomością, że Vaclav ciężko zachorował. Zakonnik znalazł go nieprzytomnego na podłodze. Odebrała tę wiadomość jak wstrząs, który postawił ją na nogi. Dosłownie. Usiadła na łóżku, a potem na oczach świadków, ojca Josefa i siostry Berty, wstała. Miała początkowo trudności z zachowaniem równowagi, musiała przytrzymywać się mebli, ale jej umysł działał sprawnie. Zarządziła, aby sprowadzić chorego tutaj.

– Do szpitala? – chciała się upewnić Berta.  
– Nie, będzie leżał w moim pokoju – odparła. – Przewlecście pościel na łóżku, a dla mnie wnieście leżankę, chcę być przy nim.

Berta patrzyła na nią z otwartymi ustami, widać było, że nie może wykonać żadnego ruchu.

– Szybko! – zakomenderowała. – On się może odwodnić! Przygotować kroplówkę! Berto! Natychmiast!!!

Siostra wreszcie zareagowała, ruszając z miejsca, ale na jej twarzy malował się ten sam wyraz zdumienia i niedowierzania.

– Tylko wymioty czy i biegunka? – spytała Marianna rzeczowo ojca Josefa, który też miał zaskoczoną minę.

– Jedno i drugie, niestety – odpowiedział.

– Tym bardziej trzeba się śpieszyć.

Kiedy wniesiono Vaclava do jej pokoju, był nadal nieprzytomny. Patrzyła na jego wymizerowaną twarz, na przymknięte powieki, i wydał jej się podobny do umarłego. Nigdy, pomyślała, nigdy do tego nie dopuszczę. Łatwiej zniosę swoją śmierć!

Berta zmierzyła mu ciśnienie, niestety było nieoznaczalne. Spojrzały na siebie.

– To już chyba koniec – szepnęła jej podopieczna.

– Żaden koniec! – odrzekła twardo. – Kroplówka z elektrolitami. Natychmiast!!!

Na czoło chorego wystąpiły krople potu, otarła je wierzchem dłoni, czując jego wilgotne zimno. Żaden koniec!, powtórzyła w myślach.

– Są w Kolwezi francuscy lekarze z Médecins sans Frontières, może zwrócić się do nich? – spytała Berta.

Wzruszyła na to ramionami.

– Mogą tyle co my. To malaria. Nie wiem, czy chory brał leki, które mu dałyśmy. Widocznie nie, skoro jego stan jest taki ciężki...

– To nie wołać nikogo? – dopytywała się siostra.

– Ja tu jestem, to wystarczy – odrzekła. – Wyciągnę go z tego.

Berta trwała jednak w jakimś uporze, nie mogły się niemal porozumieć.

– Ale matka sama jest chora – dowodziła – sama potrzebuje opieki... Jeszcze sobie tylko matka zaszkodzi...

– Berto, mnie już nic nie może ani pomóc, ani zaszkodzić. Nie rozmawiajmy więc o mnie, liczy się teraz tylko to, żeby on wyzdrowiał.

W oczach Berty pojawiło się pytanie, na które nie kwapiła się odpowiedzieć. Mniej więcej po godzinie ciśnienie chorego wynosiło już 100 na 80, a po dwu godzinach Vaclav otworzył oczy. Jego twarz zatracala z wolna trupią bladość i dla Marianny był to jeden z piękniejszych momentów w całym jej długim życiu. Vaclav rozpoznał ją, próbował się nawet do niej uśmiechnąć. I ona się uśmiechnęła.

Kazała przynieść Bercie butelkę coca-coli i zaczęła poić chorego łyżeczką.

– Pij, pij, kochany, to ci pomoże – przemawiała do niego łagodnie.

– Cola? – spytał słabo. – Czy chorzy mogą to pić?

Delikatnie pogładziła go po włosach.

– To naprawdę najlepsze lekarstwo na biegunkę.

– A gdzie ja jestem?

– U mnie. Kazałam cię tu przewieźć. Miałeś atak malarii, ale już mija... Już jest lepiej...

Po chwili chory spytał:

– Czy ja śnię? Czy to się dzieje naprawdę?

Patrzyli na siebie, oczy Marianny z wolna zasnuły się łzami.

– Naprawdę.

– To... to dlaczego matka nie leży w łóżku?

Uśmiechnęła się do niego.



– Bo ty je zająłeś...

Nie spała prawie tej nocy, wsłuchując się w oddech chorego. Był płytki, chwilami urywany. Kiedy następowała, jej zdaniem, zbyt długa przerwa, gotowa była go ratować, ale oddech powracał. Z każdym dniem było lepiej. Vaclav odzyskiwał apetyt, ciągle prosił o coś kwaśnego, najlepiej o zalewę z kiszonych ogórków. I ojciec Josef ją dostarczał.

– Niechże pan nam nie choruje, drogi Vaclavie – mówił z tym swoim uśmiechem – brakuje nam pana przy stole!

– Jakby mnie matka Elżbieta puściła, już bym mógł wracać – odpowiadał chory.

– Żebym znowu pana musiała ratować? – wtrącała. – Skończy pan brać lekarstwa przy mnie!

Zaaplikowała mu dwie półlitrowe glukozy i potężne dawki chlorochiny, do tego metakelfin. Berta była nieco zaniepokojona, czy to nie za dużo, czy chory to wytrzyma, ale ona wiedziała, co robi, przez te wszystkie lata nauczyła się postępować z malarią, nawet w jej najgorszym stadium. Czasami oczywiście było za późno, wołano ją do konającego. Paradoksalnie na malarię umierało w Afryce więcej ludzi niż na AIDS, a na badania nad AIDS przeznaczano się trzykrotnie więcej pieniędzy. Pewnie dlatego, że malaria była chorobą biedaków i to oni na nią umierali, AIDS zaś atakowało także ludzi bogatych. Taka jest ta ludzka sprawiedliwość, biedak umiera na uleczalną chorobę, bo brakuje mu pieniędzy na parę tabletek chininy...

Któregoś dnia przez uchylone drzwi dostrzegła kobiecą postać. Dziewczyna stała z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i wyciągając szyję, wyraźnie chciała zajrzeć do wnętrza pokoju.

– Kto to tam tak pokutuje pod drzwiami? – spytała Berty.

– Mafuriko, córka malarza – odpowiedziała.

– A nie wiesz, czego chce?

– Nie wiem, nic nie mówi, ale przychodzi od kilku dni.

Marianna odruchowo spojrzała na Vaclava i wyraz jego twarzy wszystko jej powiedział. Przypomniała sobie, jak mówił, że nie interesował się kobietami do czasu przyjazdu do Afryki. Teraz widać to się zmieniło...

Wyszła na korytarz i ująwszy dziewczynę za rękę, podprowadziła do łóżka chorego.

– Ma pan gości – powiedziała.

Tych dwoje patrzyło na siebie.

Eliza i jej przyjaciel Heinrich Kirchhoff przeciskali się przez tłumy zgromadzone na placu. Dochodziła dziesiąta i przybyłym tu ludziom udzielała się niezwykła atmosfera tego wieczoru. Wymieniano między sobą spostrzeżenia, mówiono o obawach, ale także oczekiwaniach. Co przyniesie nowe tysiąclecie? Optymizm mieszał się z niepokojem, podsycanym od dłuższego czasu przez gazety i telewizję. Mówiło się, że może dojść do awarii systemów komputerowych, a co za tym idzie, do innych katastrof, brak prądu, zakłócenia w środkach komunikacji. Najbardziej obawiano się niespodzianek ze Wschodu, na przykład niekontrolowanego wybuchu atomowego w Rosji, nowej Hiroszimy. Rząd powołał sztab kryzysowy, którego uspokajające wypowiedzi ustawicznie dementowali niezależni eksperci.

Tłum gęstniał z minuty na minutę, po raz pierwszy w Monachium sylwester miał być obchodzony tak hucznie na ulicach.

Kancelaria Kirchhoffa tej nocy miała pełnić wyjątkową rolę sylwestrowego obserwatorium, mieściła się na drugim piętrze w kamienicy przy Briennerstrasse, ale jej okna wychodziły na Odeonplatz i dalej na ogrody Pałacu Rezydencjonalnego. Na dole w salonie Mercedesa wystawiono najnowsze modele kabrioletów, co przy wyjątkowo mroźnej pogodzie sprawiało dość dziwne wrażenie. Kirchhoff otworzył drzwi wejściowe własnym kluczem i przepuścił Elizę pierwszą. Wchodzili na górę, okazała klatka schodowa była jasno oświetlona, a spoza mijanych drzwi docierały dźwięki głośnej muzyki i gwar rozmów.

Wnętrze kancelarii było pograżone w mroku, nie zapalając światła, podeszli do okna; chociaż do północy brakowało jeszcze prawie dwóch godzin, w niebo wystrzelały ogniste fajerwerki o przeróżnych kształtach i kolorach.

– Jak się czujesz, Elizo? – spytał Kirchhoff.

– Dziwnie. Tak jakby całe moje życie stanęło mi nagle przed oczyma.

W milczeniu objął ją ramieniem. Trwali tak długą chwilę, przypatrując się tłumom zgromadzonym na dole.

– To była podróż, Heini... nieustająca podróż – powiedziała wolno – i wcale a wcale nie sentymentalna... Ciekawe, co o swoim życiu myśli Marianna von Saarow. Doczekaliśmy końca wieku jako stare kobiety. Kto by pomyślał?

– Czy nadeszło coś nowego z Afryki? – zainteresował się jej przyjaciel.

Eliza potrząsnęła przecząco głową.

Niebo rozjaśniły kolejne fajerwerki, Eliza aż cofnęła się od okna i zmrużyła oczy. Kirchhoff stanął przy niej. Odniosła wrażenie, że chce jej coś powiedzieć od siebie, ale nie bardzo wie, jak to zrobić.

– Elizo – zaczął uroczystym tonem – czy nie uważasz, że już najwyższa pora, abyśmy byli razem? Tak długo na to czekałem.

– W jakiś sposób jesteśmy razem – odpowiedziała.

Pokręcił na to głową.

– To nie tak... chciałbym spędzać z tobą o wiele więcej czasu. Potrzebuję cię, Elizo.

– Ale ja... – urwała, przypominając sobie nagle rozmowę z Johnem sprzed wielu lat, kiedy będąc młodą dziewczyną, oświadczyła mu, że nie ma żadnych tęsknot, a jej związek z życiem jest przerażająco powierzchowny. – O nic mnie nie proś, moje życie zatrzymało się tam i wtedy... A poza tym, czy wiesz, że porzuciłam własne dziecko? Taka jest prawda o mnie. Nie starałam się odnaleźć córki, a wiadomość o jej zaginięciu przyjąłam z... ulgą.

Kirchhoff przytulił ją mocniej do siebie.

– Każdy coś w sobie nosi, Elizo. Ani tobie, ani mnie nie dano łaski późnego urodzenia.

– Co masz na myśli? – zapytała, odsuwając się lekko.

Nie widziała zbyt wyraźnie jego twarzy, ale wydawało się, że zaszła w niej jakaś zmiana.

– Napijesz się koniaku? – spytał.

I nie czekając, co mu odpowie, podszedł do barku i napełnił kieliszki.

Eliza uświadomiła sobie, że nic nie wie o jego przeszłości, nigdy o tym nie rozmawiali. Uważała go za uczciwego, prawego człowieka, teraz ze strachem pomyślała, że mogła to być tylko fasada. Czuli, że nie chce zmiany tego obrazu, nie ma na to dość siły. Ale rozumiała też, że po tym, co sama wyznała, nie wolno jej niczego mu zabraniać.

– Na początku lat czterdziestych odbywałem praktykę w I.G. Farben – usłyszała jego zmatowiały nagle głos. – Wydawało mi się, że dobrze trafiłem. Było mnóstwo pracy. Szefowie namówili mnie, żebym przerwał studia, czas na ich skończenie przyjdzie po wojnie. To, co robiłem, wydawało mi się ciekawe, nie paliłem się też specjalnie do noszenia karabinu... Tym bardziej że w swoich poglądach byłem przeciwnikiem tego, w co Niemcy, za sprawą Hitlera, były wplątane...

Jako indywidualistę nie porywało go uniesienie tłumów. Wydawało mu się, że wie, czego chce, i twardo stoi na ziemi. Pochłaniała go praca na rzecz koncernu, który wprawdzie działał dla Trzeciej Rzeszy, ale on starał się w to nie wnikać. Pomagał w przygotowywaniu umów, uczestnicząc nawet w poważnych negocjacjach finansowych, co mile łechtało jego ambicję. Wojna i okrucieństwo nie dotykały go bezpośrednio. Firma rozrastała się, powstawały nowe filie i zakłady.

W tym właśnie czasie odniósł swój pierwszy ważny sukces zawodowy. Wynegocjował niezwykle korzystny kredyt na budowę nowego zakładu, gdzieś na południu Generalnego Gubernatorstwa. Nazwa tej miejscowości nic mu nie mówiła. Nie dziwiło go nawet, że dyrektor Deutsche Bank, z którym prowadził rozmowy, okazał się nadzwyczaj uступliwy. Szybko zapomniał

o szczegółach, pamiętał tylko pochwały położonych i swoje twardo wywalczone 1,75 procent. Później przeniesiono go do innego wydziału, zajmował się coraz poważniejszymi sprawami. Dostawy dla wojska to najważniejszy sektor w każdej firmie w czasie wojny. Kiedyś zdziwiło go niepozorne zamówienie na środki owadobójcze, takimi rzeczami zajmowali się koledzy piętro niżej. Wezwał nawet piegowatą Klarę z sąsiedniego pokoju, pytając, czy nie zaszła tu jakaś pomyłka. Okazało się, że chodziło o zamówienie o specjalnym znaczeniu, a w takiej sytuacji nie wypada zadawać zbyt wielu pytań. Nie przywiązywał zresztą wtedy do tego większej wagi.

– Heini – przerwała mu nagle, słysząc własny głos, jakby dochodził zza ściany – czy ta miejscowość na południu Generalnego Gubernatorstwa to było Auschwitz?

Zapadła cisza.

Bez słowa odeszła od okna, sięgnęła po płaszcz i pchnęła drzwi na korytarz. Pośpiesznie, potykając się, schodziła po schodach, a właściwie uciekała.

Na zewnątrz jej pałające policzki owiało mroźne powietrze, zachwiała się niemal jak od uderzenia. A potem pochwyił ją tłum, włókł ją za sobą, osaczał, nie potrafiła się wyzwolić. Zewsząd otaczały ją ludzkie twarze, w taką noc jak ta powinna dostrzec w nich radość i optymizm, a widziała jedynie grymas bólu w kącikach ust, w oczach zaś brak wszelkiej nadziei. To byli uciekinierzy, wypędzeni ze swoich domów, bici i upokarzani jej współziomkowie, obarczani winą za zbrodnie, których nie popełnili. „Dobrze wam tak, mordercy!” – krzyczano za nimi, podczas gdy ci prawdziwi złoczyńcy, poza garstką nielicznych, wrócili do swoich domów, do oczekujących ich rodzin, tulili w ramionach stęsknione żony i splodzone z nimi liczne potomstwo, według zaleceń swojego wodza... Tuż obok niej jakiś mężczyzna o czerwonej, nalanej twarzy wznosił okrzyki, a ona słyszała: „Cicho tam! Niemieckie świny! Cieszcie się, że jedzicie do swoich, że wam łbów nie pourywaliśmy!”. Próbowwała wydostać się z żelaznych objęć tłumu, które zaciskały się wokół niej niby stalowe obręcze, bała się, że za chwilę zacznie jej pękać skóra. Chciała wołać o pomoc, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Upiory przeszłości osaczały ją ze wszystkich stron. Rozpoznała twarz urzędnika z Urzędu Repatriacyjnego. Szczerzył w uśmiechu zęby, patrząc jej beczelnie prosto w oczy: „Wy, Niemcy, zawsze jesteście niewinni, a kto wymordował pół Europy?”. A potem był wystrzał, jeden, drugi... piegowaty chłopiec wolno osunął się na brudną podłogę...

Nagle ktoś zupełnie obcy objął ją i ucałował w oba policzki.

– Szczęśliwego nowego dwutysięcznego roku!

Odruchowo spojrzała w okna na drugim piętrze kamienicy przy Briennerstrasse, w jednym z nich dostrzegła samotną sylwetkę.

Odkrycie, że tych dwoje się kocha, wzruszyło ją. Lubiała Mafuriko i chciała, aby wreszcie życie jej się ułożyło, ale czy to, iż wybranym okazał się Vaclav, mogło jej wyjść na dobre? Już raz przeżyła zawód, została odrzucona przez własne środowisko, teraz mogło ją to spotkać ponownie. Czy powinna ją ostrzec? Uświadomić dziewczynie, jak trudny może okazać się taki związek? On tutaj z pewnością nie zostanie, więc ona musiałaby z nim wyjechać. Gdyby nawet na coś takiego się zdecydowali, gdyby ją zabrał ze sobą, przeżywaliby naprawdę trudne chwile. Niemcy to nie jest kraj dla obcych, sama odczuła to boleśnie po wygnaniu z Pomorza, w Berlinie była obca, to ją zaskoczyło. Na Pomorzu odmiennosc nie była niczym niezwykłym, tam wszystko się wymieszało, ludzie, języki, obyczaje. Z drugiej jednak strony, Mafuriko, ulepiona z solidnej gliny, łatwo się nie poddawała, jak wszystkie afrykańskie kobiety. Marianna poznała dogłębnie ich życie, wiele umierało w młodym wieku, niektóre na jej rękach, ale też wiele zdołało się uratować w sytuacjach, w jakich nie przetrwałaby żadna biała kobieta. Pamięta ten moment, kiedy po raz pierwszy znalazła się na afrykańskiej wsi i poznawała panujące tam stosunki. Zrozumiała wtedy, że kobieta w Afryce jest niewolnicą mężczyzny, jej zadawniona niechęć do tej płci jeszcze się pogłębiła. W cywilizowanym świecie ten krzywdzący podział ról nie rzucał się tak w oczy, tutaj dostrzegało się go na każdym kroku. Wystarczyło przeżyć jeden dzień z wieśniaczką, która zrywała się już o

świcie i szcękając zębami, skulona z zimna, szła w dżunglę z motyką i siekierą pod pachą. Marianna zaryzykowałaby stwierdzenie, że jeszcze bardziej niż niewolnicą własnego męża afrykańska kobieta była niewolnicą manioku, który gdyby nie to, że ratował mieszkańców Afryki od głodu, byłby niewątpliwie ich przekleństwem. Maniok odbierał siły, naznaczał twarze bruzdami, przyspieszając starość i śmierć. Wyjaławił grunt tak, że przez wiele lat nic już na nim nie chciało rosnąć, trzeba więc było szukać nowego miejsca pod uprawę. Kobiety latami wydzierały kawałek po kawałku dżungli, karczowały ją narażone na niebezpieczeństwa, stanowiły pokarm dla lwów i innych drapieżników, często umierały od ukąszeń węży. Zdarzało się, że któregoś dnia nie wracały z pola do domu. I nikt się temu nie dziwił, a na pewno nie dziwili się ich mężowie, którzy po prostu szukali nowej żony. Głównym zajęciem mężczyzn było wysiadywanie przed chatą i prowadzenie niekończących się prabów, czyli dyskusji z każdym, kto się nawinął.

Jej obserwacje potwierdził francuski lekarz, który wiele lat spędził w Afryce, on też jako głównego winowajcę śmiertelności kobiet, obok połów, wskazywał maniok.

Maniok to przede wszystkim korzenie, dziwacznie powykęcane, mięsiste, dla Afrykańczyka są jak dla europejskiego chłopca zboże. Aby uzyskać z nich mąkę, trzeba się jednak dużo bardziej napracować. Bardziej napracować muszą się afrykańskie kobiety. Najpierw obdzierają korzenie z grubej, brunatnej kory, która osłania miąższ, gorzki i trujący, gdyż zawiera spore ilości kwasu pruskiego. Aby doszło do fermentacji, korzenie muszą leżeć przez kilka dni w wodzie. A w wilgotnej dżungli nad wodą mają swoje siedliska muchy tse-tse, dlatego tyle kobiet w Afryce zapada na śpiączkę, niewspółmiernie więcej niż mężczyzn. Potem maniok suszy się na słońcu, a następnie uciera na mąkę. Przed każdą prawie wiejską chatą można zobaczyć wydrażony pień drzewa, przy nim stoi kobieta z kijem i godzinami tłucze grudki manioku, aż się zamienia w sypki proszek. Jej obowiązki się na tym nie kończą, będzie musiała wykonać wiele innych ciężkich, przerastających jej siły prac. Oprócz karczowania dżungli i uprawiania manioku nosi wodę, drewno, zbiera orzechy, różne inne owoce, szarańczę i gąsienice, ścina trawę na budowę domu i zdobywa potrzebną do tego glinę. Będzie ten dom budowała, wyplatała maty, lepila garnki, w międzyczasie rodząc i niańcząc dzieci. Będzie obsługiwała swojego leniwego męża, nosząc za nim jego rzeczy w podróży. A na jej złanej potem twarzy dostrzeże się tylko uśmiech. Gdyby jej ktoś powiedział, że można żyć inaczej, nie uwierzyłaby... Ale Mafuriko wie, że można żyć inaczej. Mafuriko znosiła swoją sytuację wyrzuconej poza nawias kobiety z godnością, znała swoją wartość. Więc może jej związek z Vaclavem miał jakąś szansę. On raczej szukałby w niej oparcia, kruchy i niepewny z natury. To najbardziej Mariannę ujęło i zdumiało, delikatność, do jakiej, sądziła, żaden mężczyzna nie jest zdolny... Musi porozmawiać z młodymi, zapytać o ich plany i powiedzieć im, że jeżeli są pewni swojego uczucia, nie wolno im go zniszczyć. Chyba nie musi przekazywać Mafuriko tego, co usłyszała w młodości od Elizy: „To jest inaczej”. Mafuriko z pewnością o tym wie...

Po przeprowadzce do swojego okratowanego pokoju Vaclav nie czuł się jeszcze zbyt dobrze. Kilka kolejnych dni spędził w łóżku, misjonarze przynosili mu posiłki, ale talerze powracały nietknięte. Musiało to zaniepokoić ojca Josefa, bo pojawił się osobiście z miską rosółu z kury. Miał taki wyraz twarzy, że Vaclav bez protestu ujął łyżkę. Przeliykając z trudem gorący płyn, spytał zakonnika o matkę Elżbietę. Okazało się, że nazajutrz po opuszczeniu przez niego misji matka Elżbieta nie wstała z łóżka. Siły wyraźnie ją opuszczały. Odmawiała jedzenia, zmuszając się, po wielu prośbach siostry Berty, do przełknięcia kilku łyżeczek kleiku. Francuski lekarz, po którego siostry posłały, zaproponował przetransportowanie matki Elżbiety do szpitala w Lubumbaszi, ale chora nie wyraziła na to zgody. W trzy dni później zapadła w śpiączkę.

Wiść o tym błyskawicznie rozniosła się po mieście i okolicy. Przekazywana z ust do ust, rozchodziła się coraz dalej i dalej. Przed misją zebrała się niewielka grupa czuwających, tych, którym matka Elżbieta pomogła w potrzebie. Ludzi przybywało coraz więcej. Po zapadnięciu zmroku zapłonęły pochodnie. Niektóre kobiety trzymały w rękach zapalone świece. Słowa modlitw

i religijnych pieśni zagłuszyły uderzenia w bębny, narzucając tłumowi swój biologiczny niemal rytm. W ciemnościach wypełnionych dymem pochodni i zapachem świec modlitwy zaczęły przekształcać się w odwieczne afrykańskie obrzędy. Tylko za zamkniętymi drzwiami kaplicy grupka zakonnic odmawiała monotonnie litanie za konających.

W południe następnego dnia do misji dotarł specjalny papieski wysłannik, *monsignore* Giacomo B. Giordani z nuncjatury w Kinszasie. Niemłody już mężczyzna, przywykły do chodzenia, pomimo skwaru w czarnej sutannie, przeciskał się przez tłum zebrany przed budynkiem misji. U wejścia oczekiwała go siostra Berta. Wyraźnie zaskoczony prałat, zapominając o słowach powitania, spytał ją, dlaczego ci ludzie się tu zgromadzili.

– Przyszli do matki Elżbiety – odpowiedziała.

Zaprosiła go do refektarza. Jedna z sióstr wniosła tacę z zimnymi napojami. Prałat wytarł chusteczką mokre czoło i zaczął oficjalnie:

– Przybywam z listem od Jego Świątobliwości. Chciałbym go osobiście przekazać matce Elżbiecie.

Siostra Berta, spuszczać głowę, odrzekła cicho:

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe. Matka Elżbieta jest nieprzytomna, umiera.

*Monsignore* bez słowa podał jej kopertę z wyłoczonym herbem papieskim.

#### *SEKRETARIAT STANU*

*Sekcja pierwsza – sprawy ogólne*

*N.470255 A*

*Watykan, 15 stycznia 2000*

*Czcigodna Matko Elżbieto,*

*W imieniu Jego Świątobliwości Jana Pawła II dziękuję Matce za list z 7 marca 1995 roku. Uwagi zawarte w liście Czcigodnej Matki zostały wzięte pod uwagę i rozważone.*

*W wigilijną noc w Bazylice Świętego Piotra zostały otwarte Drzwi Święte, a w samą uroczystość Narodzenia Pańskiego we wszystkich diecezjach na świecie rozpoczęły się obchody Wielkiego Jubileuszu. Rok 2000 będziemy świętować w szczególny sposób zjednoczeni z Bogiem i ludźmi.*

*Ojciec Święty życzy wszystkim ludziom, aby Wielki Jubileusz stał się dla nich czasem uwielbienia i wdzięczności Bogu za Jego ustawiczne miłosierdzie oraz czasem żarliwej modlitwy i szczerego nawrócenia poprzez przemianę życia. Niech duch Roku Świętego przeniknie każde serce ogniem miłości.*

*Na owocne przeżywanie Wielkiego Jubileuszu Odkupienia Jego Świątobliwość z serca udziela Matce swego Apostolskiego Błogosławieństwa.*

*Łączę wyrazy szacunku*

*Arcybiskup Giacomo C. Re*

*Substytut Sekretariatu Stanu*

Minęło kilka kolejnych dni, a stan chorej nie uległ zmianie. Tłum przed wejściem do misji stale się powiększał, przybysze z różnych stron Zairu koczowali wprost na ulicy, tak że ruch w mieście został praktycznie sparaliżowany. Vaclav, który drogę do misji pokonywał w kilkanaście minut, tym razem miał kłopoty z przedarciem się przez ludzkie zbiorowisko. Napierano na niego ze wszystkich stron, widział z bliska czarne od potu twarze, czuł ostry, zapierający oddech zapach. Jakaś kobieta niemal przygniotła go ogromnym biustem, w panice zaczął się odpychać od niej obiema rękami.

– Nic nie poradzisz, synku – powiedziała po francusku – tyle ludu się zjechało...

Po kilku godzinach tej niemal walki dotarł wreszcie do budynku misji. Tuż przy schodach stała A-isza w towarzystwie starej kobiety, której twarz robiła niesamowite wrażenie, zwłaszcza ukryte

w głębokich zmarszczkach oczy. Wydało mu się, że te oczy wszystko o nim wiedzą, że znają każdą jego myśl.

– Co ty tutaj robisz, A-isza? – spytał.

– Przyszłam do matki Elżbiety, modlę się za nią – odpowiedziała smutno. – Moja babcia też tu jest...

Vaclav czuł, że nie powinien tego mówić, a jednak nie mógł się powstrzymać:

– Ona się chyba za matkę Elżbietę nie modli?

– Ona pilnuje, żeby duchy przepuściły matkę do jej Boga.

– I myślisz, że to się uda? – spytał gorzko.

Dziewczynka z powagą przytaknęła głową.

Kiedy zdołał wreszcie wejść do środka, oparł się plecami o ścianę, oddychając ciężko. Czuł słabość w kolanach, dręczyło go pragnienie. Na jego widok siostra Berta pokiwała tylko głową.

– Ona by tego nie pochwaliła – powiedziała – za wcześniej pan wstał.

– Chciałbym pójść do niej.

Zakonnica poprowadziła go korytarzem.

Matka Elżbieta leżała na łóżku. Jej twarz i zamknięte powieki nie sprawiały wrażenia spokoju. Urywany, świszczący oddech, drgające kąciki ust mogły wskazywać na toczącą się gdzieś w jej podświadomości walkę. Nie odchodziła pogodzona ze sobą... Poczul nagły żal, że ich rozmowy w tak dramatyczny i nieodwołalny sposób zostały przerwane. Był pewien, że gdyby dano im czas, potrafiliby wspólnie z matką Elżbietą nadać inny sens wydarzeniom jej życia, które w swej samotności oceniała zbyt surowo i jednostronnie.

Podszedł bliżej, bezwiednie dotykając jej nieruchomej ręki. Była ciepła, pulsująca życiem. Wzbudziło to w nim nadzieję, że nie wszystko jeszcze stracone. Nabral też przeświadczenia, że jest świadoma jego obecności.

– Nie umieraj – powiedział cicho – musimy skończyć nasze nagrania...

Po twarzy chorej przebiegł nagły skurcz, tak jakby dotarły do niej jego słowa.

– Ona potrzebuje spokoju – usłyszał głos siostry Berty, z której obecności nie zdawał sobie sprawy.

Dopiero teraz dostrzegł, jak bardzo była zmieniona, miała poszarzałą twarz, nos jej się wydłużył, pod oczy zakradły się głębokie cienie. Widać było, że nie spała od wielu nocy.

– Jest silna – rzekł schrypniętym głosem – wyjdzie z tego...

Zakonnica w milczeniu potrząsnęła przecząco głową.

– Tylu ludzi się za nią modli – nie dawał za wygraną – chyba cały Zair się tu zgromadził.

Siostra Berta uśmiechnęła się smutno.

– Wyruszyły już pielgrzymki z Zambii, Angoli i Tanzanii... zewsząd, gdzie ona działała. Ludzie ją pamiętają... wczoraj przybyły siostry z misji w Mombasie ze swoimi podopiecznymi... Nie wiem, gdzie ich wszystkich pomieścić... Boję się jakiejś epidemii...

Vaclav patrzył na nią zaskoczony.

– Skąd się dowiedzieli? Przecież nie ma żadnej komunikacji...

– Jest – odpowiedziała – najszybsza na świecie, tam-tamy... Odkąd matka Elżbieta straciła przytomność, przekazują tę wiadomość Afryce...

Z uczuciem przygnębienia, niemal rozpacz, opuścił pokój. Pod drzwiami natknął się na Mafuriko, miała na sobie prostą czarną sukienkę. Jej piękną twarz przepelniał smutek. Chwilę patrzyli sobie w oczy. Pomyślał, że to naturalne, że czekała tutaj na niego. Wziął ją za rękę i bez słowa ruszyli ku wyjściu.

Eliza siedziała samotnie przy stoliku pod oknem w kawiarni „Seehaus” w Ogrodzie Angielskim, skąd rozciągał się widok na zaśnieżone jezioro. Śnieg skrzył się i mienił w promieniach styczniowego słońca. W oddali ostro rysowała się wieża kościoła Świętego Sylwestra. Była niedziela i alejami spacerowały, pomimo kilkustopniowego mrozu, całe rodziny. Dzieci rzucały w

siebie śniegiem, zaobserwowała nawet scenkę, jak przejeżdżający właśnie rowerzysta dostał śnieżką w głowę, zachwiał się i spadł z roweru.

Kelner przyniósł jej zamówione *capuccino*. Eliza wypła łyk i stwierdziła zdegustowana, że kawa jest zwyczajnie zimna. Przypomniała sobie niedawną rozmowę na ten temat z Kirchhoffem i zrobiło jej się przykro. Od czasu ich rozstania w noc sylwestrową telefonował kilka razy, ale nie potrafiła z nim rozmawiać tak jak przedtem. Po raz kolejny przeszłość rzuciła cień na jej życie.

Z zamyślenia wyrwał ją głos kelnera:

– Czy pani Eliza von Saarow?

Potwierdziła zaskoczona.

– Telefon do pani – rzekł, wręczając jej słuchawkę.

– Mówi Gabriele Winkler. Czy rozmawiam z panią Elizą von Saarow? – usłyszała.

Nic jej to nazwisko nie mówiło, odparła więc krótko:

– Tak, to ja.

– Powiedziano mi w pensjonacie, że tu panią mogę znaleźć – wyjaśniła kobieta. – Jestem matką Vaclava Pavelki. Od czasu jego wyjazdu otrzymałam od niego tylko jedną krótką wiadomość. Zaczynam się coraz bardziej niepokoić...

Co ja jej mam powiedzieć, pomyślała z odcieniem zniecierpliwienia, sama wiem niewiele. To dorosły człowiek, dlaczego miałabym rozmawiać z jego rodziną? Wiedział, co robi, decydując się na wyjazd do Afryki. Powinien częściej do matki pisać, ale nie mam na to żadnego wpływu.

– To mój jedyny syn...

W głosie kobiety wyczuła coś takiego, że nagle podjęła decyzję.

– Spotkajmy się zatem. Czy może pani przyjechać do „Seehaus”? Tu jest tak przyjemnie.

– Dobrze, przyjadę – odparła matka Vaclava – będę najdalej za kwadrans.

Dlaczego tak szybko zgodziła się na spotkanie z zupełnie obcą kobietą, co o tym zdecydowało? To był ten rodzaj niepokoju o bliską osobę, który Eliza знаła kiedyś i który zniknął z jej życia wraz ze śmiercią Wolfganga. Już o nikogo nie musiała się tak bać... nie musiała ani nie potrafiła... Jej niepokój o los córki wynikał raczej z obowiązku niż z prawdziwego uczucia. Nie rozumiała, dlaczego tak się działo. Julia była dzieckiem mężczyzny, którego bardzo kochała, a mimo to nie udało jej się przenieść na jego córkę tej miłości. Nigdy nie mogła tego pojąć. Być może w tamtej chwili, kiedy dowiedziała się o jego śmierci, obumarły w niej wszystkie uczucia. Szła obok furmanki, na której leżały jego zwłoki, odrętwiała z bólu, ratując się myślą, że to ktoś obcy, czuła, jak wszystko w niej zamiera. Niepokój w głosie kobiety był jak bolesne przypomnienie czegoś, co odeszło. Eliza przyłapała się na tym, że tamtej zazdrości.

Do kawiarni weszła wysoka blondynka, ubrana w sportową kurtkę i spodnie. Spytała o coś kelnera, a on dyskretnym ruchem głowy wskazał na Elizę. Kobieta podeszła do niej.

– Pani Eliza von Saarow? – śmiałym ruchem wyciągnęła rękę.

Było coś takiego w sposobie jej zachowania, co Elizę dobrze do niej nastawiło.

– Nie wiem, czy ma pani dzieci, ale jest pani kobietą... więc powinna mnie pani zrozumieć... – zaczęła tamta. – Tyle się teraz o tej Afryce pisze, wczoraj w dzienniku mówili o napadzie na konwój z pomocą humanitarną... zginęli ludzie. Jeżeli nawet w Zairze nie ma teraz wojny, to są przecież jakieś napady, rabunki, i te wszystkie choroby... Vaclav nie ma najlepszego zdrowia...

– Nie sprawił na mnie takiego wrażenia – odrzekła uspokajająco. – Jest młodym, pełnym życia człowiekiem, tak jak pani. Wydawało mi się nawet, że w głębi duszy coś go do tej Afryki ciągnie.

Matka Vaclava uśmiechnęła się.

– To prawda, miał zawsze dziwne pomysły.

– No tak – podchwyciła Eliza – to jego sekretarzowanie dla mnie...

Podszedł kelner i przyjął zamówienie. Kiedy się oddalił, Gabriele Winkler zapytała:

– Wiem, że mój syn do pani pisał. Jak on tam sobie radzi? Mam ostatnio jakieś niedobre sny, może jest chory?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odrzekła Eliza – a z listu wynika, że radzi sobie nieźle. Mieszka w misji u zakonników i odbywa rozmowy z moją krewną... Nie widziałyśmy się od ponad pięćdziesięciu lat, od wypędzenia z Pomorza.

Matka Vaclava pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Moja rodzina też to przeszła, musieliśmy opuścić Sudety, miałam wtedy kilka miesięcy. Nie pamiętam niczego, ale rosłam w domu, który nie był prawdziwym domem, wszyscy mieli głowy odwrócone w tamtą stronę. Matka niosła mnie na rękach ponad sto kilometrów w śniegu i mrozie...

Po tych słowach Eliza poczuła bolesne ukłucie w okolicy serca. Ta kobieta była przecież w wieku Julii...

– Ojciec Vaclava jest Czechem – powiedziała, chcąc to w sobie zagłuszyć.

– Pojechałam tam. Z ciekawości, a może z wewnętrznej potrzeby sprawdzenia tego, co opowiadali matka i moi starsi bracia. Ale niczego nie odnalazłam, nie mogłam żyć w tamtym świecie. Moje małżeństwo szybko się rozpadło... podobnie jak następne, już tu, w Niemczech...

Kelner przyniósł zamówioną kawę dla pani Winkler, a dla Elizy filiżankę gorącej tym razem czekolady. Zaskakując samą siebie, Eliza poprosiła o koniak.

– Ja mojej córki nie niosłam na rękach w śniegu i mrozie – powiedziała gorzko – i to jest największa tragedia mojego życia...

Gabriele spojrzała na nią uważnie.

– Moja córka zaginęła, a ja jej nie szukałam...

– Dlaczego?

– Byłam rozbitkiem, nie czułam się na siłach być matką. Gdyby Julia żyła, byłaby dokładnie w pani wieku... Ale pani pewnie trudno to zrozumieć...

– Są różne sytuacje w życiu – odpowiedziała matka Vaclava – nauczyłam się nikogo nie sądzić.

Eliza wypiła koniak jednym haustem i zakręciło jej się lekko w głowie. Ta rozmowa dotyczyła czegoś bardzo głęboko ukrytego w jej duszy. Pomyślała też, że mają z Gabriele coś wspólnego.

– Wydaje mi się, że my wszyscy jesteśmy naznaczeni wypędzeniem – powiedziała tamta – nawet ja, chociaż nie mogę tego pamiętać. Często mam uczucie, że to nie jest to powietrze, którym powinnam oddychać, ale w Czechach też go nie odnalazłam. Więc skoro pani córka tam została, może jest od nas szczęśliwsza...

– Chciałabym, żeby tak było – powiedziała cicho Eliza, a potem dodała: – Z Vaclavem na pewno jest wszystko w porządku.

Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest. Jego wzrok błądził po obcym pokoju, oprócz tapczanika, na którym leżał, znajdowało się tu kilka bambusowych giętych mebli, niski stolik, dwa foteliki, na nich barwne poduszki. Za szybą majaczyły gałęzie drzew gęsto obsypane kwiatami. Widok był tak inny od tego, do jakiego przywykł za oknem misji, że wprawiło go to w zdumienie. Wreszcie dotarło do niego, że spędził noc w dzielnicy jakarandowych drzew w domu Mafuriko. Poprzedniego wieczoru usiłował prowadzić dyskusję z jej ojcem, który przyjął go z wielkim entuzjazmem, z miejsca traktując jak przyszłego zięcia. Nie dopuszczał Vaclava do głosu. Miał wrażenie, że uczestniczy w jakimś targu, a Mafuriko jest towarem, który tamten chce za wszelką cenę wypchnąć z domu. Pili szklankami whisky i pod koniec wieczoru pewne fragmenty rozmowy zatarły mu się w pamięci. Zdaje się, że oficjalnie poprosił ojca Mafuriko o jej rękę i został przyjęty. Nie wiedział tylko, co na to jego narzeczona. Przez cały czas siedziała z zagadkową miną, nie wypowiedziawszy jednego słowa. Wydawało mu się nawet, że w pewnym momencie wstała i wyszła z pokoju. Dotarło do niego, że nie rozmawiał z nią przedtem na ten temat, a co gorsza, do tej pory nawet nie myślał o małżeństwie. Ale przecież ją kochał, a powrót do Europy oznaczałby rozstanie na zawsze. Tylko... czy ona chciałaby z nim jechać? Nawet jej o to nie zapytał.

Wstał z łóżka i z ciężką głową ruszył w poszukiwaniu łazienki. Otwierał różne drzwi, ale widział tylko blejtramy, zwoje płócien, zakurzone, stare meble. Cały czas towarzyszył mu dziwny odgłos dochodzący z zewnątrz, jakby głuche uderzenia w bębny. Ten natarczywy dźwięk potęgował jeszcze pulsujący ból głowy. Obszedł cały dom i wreszcie otworzył drzwi wejściowe,



na ganku siedziała Mafuriko. Zobaczył jej obnażone plecy, miała na sobie zwiewną sukienkę. Z bijącym sercem usiadł obok na schodkach. Wydało mu się, że nie zmieniła się od poprzedniego wieczoru i ma ten sam zagadkowy wyraz twarzy.

Nagle odwróciła głowę w jego stronę, zobaczył jej pełne powagi oczy.

– Matka Elżbieta umarła nad ranem – powiedziała.

– Skąd o tym wiesz?

Uśmiechnęła się smutno.

– Posłuchaj, co mówią tam-tamy...

Po zapadnięciu zmroku przed misją Serca Jezusowego zapłonęły ogniska, ludzie, którzy do tej pory trwali nieruchomo, niczym czarne posągi, poczęli się przemieszczać, zupełnie jakby ktoś nimi kierował, wielu z nich miało ogolone głowy, a wokół szyi okręcone powrozy ze słomy. Kobiety nosiły na biodrach spódniczki z białych wstążek. Vaclav zauważył też maski przedstawiające dzikie zwierzęta: lwy, tygrysy, krokodyle.

Na ganek wyszła siostra Berta, starał się więc precyzyjnie w jej stronę, nie wypuszczając ręki Mafuriko, i w końcu mu się to udało. Zakonnica miała zmęczoną twarz, widać było, że ledwo trzyma się na nogach.

– Nie mogę się doprosić, aby stąd odeszli – powiedziała z żalem. – Zakłócają spokój matki Elżbiety. Mówiłam im, aby pożegnali ją modlitwą i zadumą, ale nikt mnie nie słucha.

– Oni ją żegnają, jak potrafią – odrzekła na to cicho Mafuriko.

Na twarzy siostry pojawiła się niechęć.

– To nie są obrzędy chrześcijańskie!

Jej dalsze słowa zagłuszyło walenie w bębny, które wydawały rytmiczny, głucho dudniący odgłos. Powtarzał się ten sam rytm: dwa słabsze uderzenia i trzy mocniejsze, jakby akcentujące te poprzednie. Mimo że nie rozumiał ich mowy, ten dźwięk wydawał się fascynujący, przykuwał uwagę. Dla Afrykańczyków był to środek komunikacji, potrafili przekazywać na odległość wiadomości, które trafiały w najdalsze zakątki buszu. Gdzieś przeczytał, że jeden z podróżników dowiedział się w ten sposób o śmierci królowej Wiktorii. Tam-tamy ogłosiły, że wielka biała królowa umarła. A dzisiaj od wczesnego rana ogłaszały, że umarła wielka królowa Afryki...

Po chwili zaczął im wtórować chór głosów, ten sam monotony, złowrogi pomruk. Na środek, pomiędzy płonące stosy, wysunęła się grupka nagich kobiet, tylko na biodrach powiewały im przymocowane na sznurku wstążki. Rozpoczęły jakiś dziwny, konwulsyjny taniec, który z okrzykiem przerwał Afrykańczyk w masce krokodyla. Po kolei przeskakiwał ogniska, ogień rzucał refleksy na jego czarne, świecące od oliwy i potu ciało. Tłum zgromadzony wokół kołysał się rytmicznie, ludzie przytupywali, klaskali w dłonie. Dla Vaclava, który nigdy czegoś podobnego nie oglądał, widok był niesamowity, miał wrażenie, że znalazł się w pobliżu rozpętanego żywiołu, który go za chwilę pochwyci, unicestwi. Przybysze z buszu odnosili zwycięstwo nad pozorami europejskiej cywilizacji w Kolwezi. Fakt, że tajemnicze obrzędy odbywały się na ruchliwej ulicy, którą jeszcze kilka godzin temu jeździły samochody i rowery, wydał się Vaclavowi absolutnie niewiarygodny. Płomienie ognisk w ciemności, łoskot bębnow, przeraźliwe dźwięki grzechotek przywracały temu miejscu jego pierwotne, prawdziwe oblicze.

Człowiek w masce usiłował wydostać się poza krąg tancerek ze wstążkami na biodrach, ale zastępowały mu drogę z kijami w rękach, próbując go osaczyć. Zmusiły go w końcu, by padł na kolana, a potem położył się na plecach, przygwoździły do ziemi. On wił się, wydając przeróżne nieartykułowane dźwięki.

– W jego ciele uwięzione są złe duchy – wyjaśniła Mafuriko.

Vaclav wziął ją za rękę, chcąc wyprowadzić z tłumu, posłusznie poszła za nim. Wokół panowała nieprzenikniona afrykańska noc, głośno koncertowały cykady. Przypomnił mu się pojedynek z jedną z nich, ukrytą w zakamarkach jego pokoju w misji. Przez długi czas nie mógł odkryć, skąd dobiega przeraźliwy odgłos, przypominający piłowanie metalu tępym narzędziem. Przeszukał

wszystko, wyrzucając rzeczy z szafy, zaglądając w każdy kąt, bez rezultatu. W dodatku nie wiedział, co to za stworzenie nie daje mu spać po nocach, poskutkowało dopiero interwencja ojca Josefa.

– Cykada – powiedział zakonnik od razu i przyniósł jakiś środek owadobójczy, który na szczęście zadziałał.

Teraz ten koncert w ciemności był przyjemny dla ucha, zharmonizowany z otoczeniem, a może przyzwyczał się już do najprzeróżniejszych dźwięków, jakie się tu pojawiają po zapadnięciu zmroku.

Szli obok siebie, trzymając się za ręce.

– Ona by im wybaczyła – powiedziała cicho Mafuriko. – Siostra Berta nigdy nie zrozumie duszy czarnych...

– A ja? – spytał ostrożnie.

Nie odpowiedziała mu i poczuł nagły niepokój.

– Czy ty i ja będziemy się rozumieć?

Znowu brak odpowiedzi.

– Wczoraj poprosiłem ojca o twoją rękę... – zaczął z desperacją.

– Wiem – usłyszał.

– I jaka jest twoja odpowiedź?

– Przecież ty nic o mnie nie wiesz... przyjechałeś tu z innego świata i wydaje ci się, że poznałeś mój. Nawet matka Elżbieta nie potrafiła tego zrozumieć do końca, mimo że żyła tu z nami przez tyle lat... ta obcość będzie zawsze...

– Myślę, że się mylisz. Ty nie jesteś dla mnie kimś obcym i nie będziesz nigdy...

– Chciałabym, żeby tak było – powiedziała cicho – ale... jest coś jeszcze... Nie wiem, czy myślałeś o dzieciach... ja ci ich nigdy nie urodzę...

Po tych słowach objął ją i mocno przytulił do siebie.

– Nie chcę ich mieć z nikim innym – odparł – a więc nie chcę ich w ogóle.

Vaclav i Mafuriko przybyli do Kinszasy pod koniec stycznia 2000 roku, mieli się tu spotkać z inżynierem Wittmanem, który przebywał służbowo w stolicy Zairu. Ta okoliczność przyspieszyła decyzję Vaclava o opuszczeniu Kolwezi, bo przewidywał, że formalności związane z wyjazdem Mafuriko z Afryki będą długie i żmudne. Wittman znał wszystkich w wydziale konsularnym ambasady niemieckiej i mógł się okazać naprawdę pomocny.

Spotkali się na obiedzie w restauracji hotelu „Hilton”, w którym zatrzymał się przyjaciel Vaclava. Przy wejściu powitał ich czarny szwajcar w liberii i od razu poprowadził do stolika inżyniera. Ten na widok towarzyszkę Vaclava zerwał się na równe nogi i odsunął jej krzesło, aby mogła wygodnie usiąść. Widać było, że jej uroda zrobiła na nim duże wrażenie, był wobec niej bardzo szarmancki, wręcz zalotny, co irytowało Vaclava.

– Czy przewidujesz jakieś kłopoty z przyznaniem wizy Mafuriko? – spytał.

– Żadnych – odparł inżynier – uroda twojej towarzyszkę stanowi najbardziej przekonujące uzasadnienie jej wniosku wizowego. Niemcy powinny czuć się wdzięczne, że chce przyjąć ich obywatelstwo. – Tym samym tonem uwielbienia dodał: – Jestem pewien, że te nudzące się w ambasadzie urzędasy będą sobie wyrzywały jej zdjęcia paszportowe...

Rozmawiali po francusku, Mafuriko słuchała tych wszystkich komplementów z widocznym dystansem, lekko się uśmiechając.

– Nie boi się pani tej wielkiej życiowej zmiany? – spytał ją Wittman.

– To moja decyzja – odrzekła ze spokojem – nikt mnie z Afryki nie wypędza.

Ta odpowiedź bardzo się Wittmanowi spodobała, ujął jej rękę i ścisnąwszy lekko, powiedział:

– Afryka wiele straci bez pani.

Kelnerzy przynieśli zamówione dania, dla panów strogonowa, dla Mafuriko zestaw sałatek. Vaclav z dużą przyjemnością zabrał się do jedzenia, europejska kuchnia stanowczo bardziej mu

odpowiadała. Słynne placki kukurydziane w polowie ojca Josefa nieodwołalnie przechodziły już do historii. Przy kawie, kiedy Mafuriko wyszła do toalety, Wittman przeszedł na niemiecki.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że wasze życie w Niemczech może nie być łatwe? Nawet uroda twojej wybranki nie przekona wszystkich...

Vaclav uśmiechnął się na to.

– Mam pewien trening, jestem w połowie Czechem i w szkole niejednokrotnie dawano mi to odczuć...

– Pewnie dawno nie czytałeś niemieckich gazet – odpowiedział Wittman – mam wrażenie, że na nowo rozgorzała dyskusja rodem z początku lat trzydziestych. Ostatnio kanclerz wystąpił z propozycją ściągnięcia trzydziestu tysięcy fachowców komputerowych z Europy Wschodniej i krajów Trzeciego Świata, co głęboko poruszyło naszych rodaków. Okazało się, że nie przybywają stamtąd wyłącznie nielegalni imigranci, złodzieje i prostytutki. Najwyższy przedstawiciel władzy wykonawczej oznajmił nagle, że u nas brakuje fachowców, którymi dysponują te biedne kraje, i że bez nich nie rozwiążemy naszych problemów... – Wittman był wyraźnie przejęty, chociaż starał się tego nie okazywać. Ten temat wydawał się dotyczyć go w jakiś sposób osobiście. – I wiesz, jaka była odpowiedź? – kontynuował. – Poważni politycy opozycji podnieśli rasistowskie w swej treści hasło: *Kinder statt Inder*. Zastanów się tylko, co to znaczy.

– To oznacza dla mnie, że obecność Mafuriko w moim kraju jest jak najbardziej na miejscu.

Przyjaciel uważnie mu się przyjrzał.

– Jeżeli tak myślisz, to macie moje błogosławieństwo – zakończył już po francusku, widząc, że Mafuriko zbliża się do stolika.

Spojrzała uważnie na Vaclava, jakby chcąc wyczytać z jego twarzy, o czym rozmawiał z obcym mężczyzną, kiedy jej nie było. Intuicyjnie wyczuwała, że dotyczyło to jej osoby.

Vaclav pocałował ją z czułością w policzek.

– Jest dobrze, kochana – powiedział, a ona uśmiechnęła się do niego.

– Patrę na was z przyjemnością – wtrącił Wittman – zakochani zawsze mają rację i proponuję, abyśmy za to wypili.

Potem Vaclav i Mafuriko pojechali do swojego hotelu, który był o wiele mniej wykwinny niż okazały „Hilton”, nie miał klimatyzacji, tylko wentylatory pod sufitem, co niewiele dawało. W pokoju było niemożliwie duszno. Mafuriko zdjęła sukienkę i położyła się na łóżku.

– O czym rozmawialiście, kiedy zostawiłam was samych? – spytała.

– Mówiliśmy o sytuacji w Niemczech – powiedział – taka nudna rozmowa dwóch facetów.

– Mówiliście o kraju, w którym będę żyła – odpowiedziała.

– Musisz wiedzieć, Mafuriko – rzekł z pewnym wahaniem Vaclav – że Niemcy to dziwny kraj, równie dziwny jak dla mnie Zair, ale nie mamy wyboru, nasze uczucie jest warte tej próby...

Bez słowa wyciągnęła ramiona i przytuliła się do niego jak małe dziecko, odczuł nagły przypływ czułości, którą zagłuszyło pożądanie.

Po tygodniu odezwał się Wittman z wiadomością, że wszystko załatwił w ambasadzie i ma nawet paszport Mafuriko z wklejoną wizą niemiecką. Była to dobra wiadomość, gdyż Vaclavowi kończyły się pieniądze i każdy kolejny dzień oznaczał uszczuplenie skromnej kasy. Natychmiast zadzwonił do biura słynnej linii lotniczej „Air peut-être” i, o dziwo, okazało się, że są miejsca w samolocie do Brukseli na następny dzień. Oczywiście należało brać pod uwagę wszelkie możliwe zmiany. Umówili się z Wittmanem w porcie lotniczym, dla pewności na kilka godzin wcześniej przed odlotem. Vaclav, nauczony doświadczeniem, namówił Mafuriko, aby udać się na lotnisko już rano. Przezorność ta okazała się w najwyższym stopniu uzasadniona, gdyż, jak wynikało z ostatniej zapowiedzi, samolot odlatywał za godzinę. Pomyślał nawet, że jest w tym jakaś metoda na wyjście linii zairskiej z długów, spóźniony pasażer uiszczal należność, a musiał czekać na następny samolot. Wykupienie biletu dla Mafuriko okazało się kolejnym problemem, gdyż nie mogła okazać paszportu z ważną wizą niemiecką. Urzędnik linii lotniczych z szerokim uśmiechem, prezentującym niezwykłą biel zębów, odmówił sprzedaży biletu, powołując się na umowy

międzynarodowe. Dopiero ostatnie pieniądze, jakie wysupłał Vaclav, załatwiły sprawę. Zostali bez grosza, mieli co prawda bilety, ale wciąż nie było Wittmana z paszportem Mafuriko, a urzędnik po raz kolejny z rozbijającym uśmiechem oznajmił, że za kwadrans zamykają odprawę.

Mafuriko została przy bagażach, a Vaclav wyszedł przed halę odlotów. Z ulgą rozpoznał samochód Wittmana. Inżynier wysiadł, ocierając czoło chusteczką, i popędzany przez Vaclava niemal wbiegł do środka budynku. Wręczając Mafuriko paszport, wypowiedział swoim na wół żartobliwym, na wół poważnym tonem:

– Witaj, nowa mieszkanko starej Europy!

Po raz pierwszy od dłuższego czasu zawiodły proszki nasenne i przez całą noc Eliza nie zmrużyła oka. To z pewnością nie był dobry pomysł, aby swoją podróż w przeszłość zaczynać wieczorem, ale nie mogła tego odkładać. Jak tylko zamknęły się drzwi za Vaclavem Pavelką, włączyła magnetofon. Ten głos... głos kobiety, którego nie rozpoznawała, a może zapomniała po prostu. Minęło tyle lat. Po pewnym czasie głos z taśmy zaczął brzmieć jakoś inaczej, bardziej znajomo, prawie zobaczyła twarz osoby, która do niej przemawiała. Ta twarz była młoda...

W oknach zaczynało szarzeć, kiedy Eliza ponownie wcisnęła klawisz magnetofonu.

*Głos Marianny:* Już? Już mogę mówić? Dobrze... na czym skończyliśmy? Chyba na mojej rozmowie z tym rosyjskim oficerem na boczniczy kolejowej w Berlinie?

*Głos Pavelki:* Nie mogę pojąć, dlaczego matka wracała na Pomorze po dziecko, a nie jego rodzona matka. Z powodu tej skręconej kostki? To chyba nie była poważna kontuzja? Moim zdaniem dramat zaczął się od tego, że wasze role się odwróciły...

*M:* Jak to odwróciły się? Ona była matką, a ja ciotką dziecka...

*P:* Ale po dziecko powinna wrócić matka. Chciałem powiedzieć, że powód, dla którego tego nie zrobiła, nie był wystarczający.

*M:* Nie można było zwlekać, bo noce stawały się coraz chłodniejsze. A Eliza nie była w stanie chodzić. To nie w tym momencie nasze role się odwróciły, jak pan to ujął. To się dokonało po moim powrocie z Pomorza, w jej oczach dostrzegłam jakby wyraz ulgi, że jestem sama, że nie ma ze mną Julii... I wtedy postanowiłam zatrzymać małą...

*P:* A może matka źle odczytała to spojrzenie? Przecież to było dziecko miłości, jego ojcem był mężczyzna, którego pani Eliza kochała... chyba matka wiedziała, że to córka Wolfganga, a nie Ulricha?

*M:* Wiedziałam.

*P:* No właśnie... więc ona musiała kochać to dziecko...

*M:* Może wydawało mi się, że ja je kocham bardziej. Eliza nie mogła pogodzić się ze śmiercią Wolfganga, ta śmierć była w niej... nie dopuszczała innych uczuć...

*P:* A matka się pogodziła?

*M:* Ja straciłam trzech braci i mój ból był podzielony, a ona straciła wszystko. Wtedy, w Berlinie, Eliza była wrakiem, ktoś taki nie mógł wychowywać dziecka...

*P:* Ale o tym ona powinna zdecydować.

*M:* I zdecydowała. Czasami, kiedy do tamtego spotkania wracam, wydaje mi się, że dobrze wiedziała, iż Julia jest ze mną w Berlinie... Ja byłam zawsze bardzo blisko Elizy, czasami miałam uczucie, że czytam w jej myślach. To się zaczęło już w dniu jej wesela. A nic jeszcze nie zapowiadało dramatu... Może tylko ten taniec...

*P:* Taniec?

*M:* Na weselu się przecież tańczy, istnieje nawet zwyczaj, że pierwszy taniec należy do młodej pary. Ale Ulricha nie było w sali balowej, wszyscy go szukali, w końcu z panną młodą zatańczył mój najmłodszy brat... Oni... tylko we dwoje na parkiecie. Byli jakby stworzeni do tego tańca, Eliza lekko przegięta do tyłu, wpatrzona w niego, a on w nią. I wie pan, jej welon jakoś tak zaczepił o ramię mojego brata i zaczął się wokół nich okręcać, był wyjątkowo długi... Patrzyłam na to z przerażeniem...

*P:* Dlaczego?

*M:* Nie umiem tego wytłumaczyć, kiedy ten materiał ich oplątywał, odczuwałam coraz większy niepokój... Chciałam, żeby walc się wreszcie skończył, ale on trwał i trwał... a gdy muzyka ucichła, oni oboje tak byli omotani tym tiulem, że nie mogli się rozdzielić...

Czy to się naprawdę zaczęło od tego tańca? To się zaczęło wcześniej, rano, od pierwszego spojrzenia w oczy. Kiedy Wolfgang poprosił ją do walca, już się kochali.

Powiedziała wtedy, w tańcu:

– Przyjdę do ciebie w nocy.

On odrzekł:

– Nie przychodź.

Ale oboje dobrze wiedzieli, że do niego przyjdzie.

*M:* To nie o to chodzi, abyśmy sobie coś wybaczyły... bo co mają do wybaczenia dwie stare kobiety dwóm młodym dziewczynom, jakimi wtedy byłyśmy. Chodzi o to, aby tym razem Eliza odnalazła Julię...

Eliza zobaczyła przez okno swojego pokoju nieco staroświecki samochód Kirchhoffa i pomyślała, że jego klienci muszą mu wybaczać te dziwactwa.

Jak zwykle przybywał punktualnie na jej wezwanie. Otworzył bagażnik, wyjmując z niego czarną walizczkę i zapakowany w papier bukiet kwiatów, po namyśle jednak kwiaty wrzucił z powrotem. Szybkim krokiem skierował się w stronę wejścia.

Eliza powitała go słowami:

– Dziękuję ci, że znalazłeś czas, aby do mnie przyjechać.

Pochylił się do jej ręki.

– Wiesz przecież, kim dla mnie jesteś, Elizo. W tym względzie nic się nie zmieniło.

– Nie wracajmy do tego, Heini – odrzekła nieco oschle – oboje jesteśmy starymi ludźmi, nie pora na zmiany. Pozostanemy przy dawnej przyjaźni... Mam ci coś ważnego do zakomunikowania, co być może zmieni sens całego mojego dotychczasowego życia. Liczę na to, że mi pomożesz.

Kirchhoff wydawał się zaintrygowany.

– Wiesz, że zawsze możesz na mnie polegać – usłyszała.

– To dobrze – odrzekła z powagą. – Otóż powrócił z Afryki mój sekretarz, notabene nie sam, przywiózł ze sobą afrykańską żonę...

– Jest czarna? – spytał zaskoczony Kirchhoff.

– Jak palisander – odrzekła – ale wygląda na miłe stworzenie...

– Młody człowiek nie marnował tam czasu – uśmiechnął się.

– Z pewnością. Przywiózł odpowiedź na pytanie, które przez wiele lat bałam się sobie zadać. Co się stało z moją córką? Moja szwagierka ją po prostu ukradła!

Kirchhoff patrzył na nią, mrugając oczami.

– Jak to ukradła? Co przez to rozumiesz?

Eliza uśmiechnęła się gorzko.

– To co słyszysz, Heini. Wywiozła ją podstępnie z Niemiec, zmieniając przedtem nazwisko. Nazwała Julię moim imieniem...

– Musisz ją spytać, dlaczego to zrobiła.

– Mogę się tylko tego domyślać, ona już nie żyje.

Zapadła cisza. Kirchhoff, nie pytając o pozwolenie, zapalił papierosa.

– Miałem w swojej karierze najdziwniejsze sprawy, ale tego jakoś nie potrafię poskładać...

– Mnie się to nie udało przez pół wieku, Heini – powiedziała. – Chyba zadzwonię na pokojówkę, aby nam przyniosła kawę...

Kiedy pokojówka wyszła, powrócili do przerwanej rozmowy.

– Mam wrażenie, Elizo, że w całej tej układance ty jesteś szczególnie tajemniczym elementem...

Eliza poprawiła znajomym, nerwowym ruchem włosy.

– Ja teraz schodzę na drugi plan – oświadczyła – ona jest ważna, moja córka... Mam nadzieję, że tym razem ją odnajdę, i chciałabym, abyś mi w tym pomógł...

W dwa tygodnie później Kirchhoff zatelefonował do niej z wiadomością, że zatrudniony przez niego detektyw przesłał mu z Ameryki materiały, w tym zdjęcia.

– Znalazłeś ją? – spytała przez ściśnięte gardło.

– Musisz obejrzeć zdjęcia – odrzekł krótko – przywiozę ci je wieczorem.

– Nie, nie, ja zaraz przyjadę do kancelarii – powiedziała zdecydowanym tonem.

– Dobrze, Elizo, spróbuję odwołać swoje najbliższe spotkanie.

Zamówiła taksówkę, potem nerwowo szukała okularów, rękawiczek, gdzieś jej się zawieruszyła portmonetka z pieniędzmi, wreszcie jednak była gotowa. Kiedy weszła na drugie piętro kamienicy, gdzie mieściła się kancelaria Kirchhoffa, nie mogła złapać tchu. Stała oparta o balustradę, ciężko oddychając.

Wychodzący z sąsiednich drzwi mężczyzna spytał ją, czy nie potrzebuje pomocy.

– Nie, nie, to nic – odrzekła zawstydzona – trochę się tylko zmęczyłam.

Wyjęła lusterko, przypudrowała nos i poblądłe policzki i pchnęła drzwi do kancelarii.

Kirchhoff pomógł jej zdjąć płaszcz, przysunął krzesło, po czym sięgnął po okazałych rozmiarów kopertę.

– Znaleźliśmy kilka osób, które pasują do opisu twojej córki. Trudno opierać się wyłącznie na dokumentach, bo przecież nazwiska, a nawet daty urodzenia mogły się różnić. Pomimo coraz ostrzejszych przepisów o ochronie danych osobowych pieniądze i dobre kontakty mogą wiele załatwić.

– Ale co z Julią? – przerwała mu niecierpliwie.

Bez słowa wręczył jej kopertę. Znalazła w niej komputerowe wydruki zdjęć kilku kobiet, wśród nich zdjęcie młodej dziewczyny. Ta twarz... Zobaczyła siebie, taką jaką była tam, w prawdziwym swoim życiu. Miała na sobie nieznaną sukienkę i trochę inną fryzurę, ale to były jej włosy, niesforne, niedające się ujarzmić kilkoma spinkami, zawsze jakiś kosmyk się wymykał nad uchem albo nad czołem. Tak. Nie mogło być żadnej pomyłki. Rozpoznawała swoją twarz sprzed kilkudziesięciu lat. To było jej czoło, jej wykrój brwi, jej nos, oczy i usta.

– Heini – powiedziała zdumiona – skąd się wzięło to moje zdjęcie?

Spojrzał na nią z powagą.

– To nie ty na nim jesteś, Elizo, to twoja wnuczka Marianna – odrzekł.